

Pianka z duszą

Osem małych browarów,
które uwodzą polskich piwoszy → 44

Podróż bez happy endu

Paweł i Marcel Łozińscy
walcą ze sobą na filmy → 54

Więcej niż striptiz

Mistrzynie burleski uczą,
jak pokochać własne ciało → 76

P O D W Ó J N E W Y D A N I E

PRZE KROJ

nr 32/33 (3549), 12 sierpnia 2013, cena: 5,90 zł (w tym 8% VAT)
www.przekroj.pl



Odłącz się!

Wszyscy jesteśmy uzależnieni od Internetu – twierdzi
prof. Bohdan T. Woronowicz. My podpowiadamy,
jak skutecznie walczyć z e-nałogiem → 6, 18, 22

INDKES
371424



ISSN 0033-2488

"Przekrój" ukazuje się od 1945 roku

32 >



Let's play!

Capital Market Games

Centralny Ośrodek Sportu Zakopane

20-21 września 2013

Rywalizacja sportowa, jak giełda, niesie za sobą wielkie emocje. Zamiłowanie do sportu z reguły drzemie w nas od najmłodszych lat. Piłka nożna, biegi, siatkówka, tenis... W natłoku codziennej pracy, obowiązków, śledzenia trendów i wykresów, często zapominamy o sportowej pasji. Capital Market Games to 2 dni, podczas których ciasne garnitury zamieniamy na luźne stroje sportowe – to czas sportowej rywalizacji i zabawy na najwyższym poziomie!



Zgłoszenia uczestnictwa
przyjmowane są do 31 sierpnia 2013

www.capitalmarketgames.pl

Organizatorzy

Stowarzyszenie
Inwestorów
Indywidualnych

PARKIET

ZUZANNA ZIOMECKA



Zawsze byliśmy uzależnieni od mediów. Rodzice to nogi wystające zza gazety. Dziadkowie przyrośnięci do radia i pierwszych telewizorów. My mamy jeszcze lepiej, bo nosimy nasze odbiorniki przy sobie. Tymczasem terapeuci alarmują, że nowe technologie i ciągły dostęp do Internetu są groźne. Skąd ta selektywna troska o netofilów? Obiad przy włączonym telewizorze jest przecież taki fajny, tak skutecznie związuje przerwana nić więzi rodzinnych. A książki? Fabuoholików pochłaniających czytała Stephenie Meyer bądź thrillery masowej produkcji à la Stephen King nikt nie gani, choć ich nałóg raczej do rozwojowych i prospołecznych nie należy. Z wywiadu okładowego z profesorem Woronowiczem (str. 6) oraz z rozmowy z terapeutką od uzależnień cyfrowych Anitą Egglar (str. 18) wynika, że głupiejemy od nadmiaru informacji. Ale na moje oko największy grzech Internetu to brak linearnej narracji. Książka, gazeta, film czy program radiowy zaczynają się, rozwijają i kończą, a Internet taką konstrukcją gardzi. Czytasz tekst na portalu, po dwóch akapitach klikasz w link, który przenosi cię do filmu w innym serwisie, który pochodzi ze strony twórców, którzy robią też miksy

na sound cloudzie, których fani mają stronę na Facebooku, wśród których jest znajomy, który właśnie opublikował zdjęcia z wakacji, które skomentowała koleżanka, która zaprasza na wydarzenie, i tak można skakać do rana. Podobno tak działa siatka neurologicznych powiązań w naszych mózgach, ale to nie rozgrzesza Internetu. Potęga ludzkich osiągnięć tkwi w porządkowaniu informacji, układaniu, katalogowaniu, wyciąganiu wniosków i systematycznym dorabianiu kolejnego rozdziału do wiedzy, którą posiadamy. Oras we współdzieleniu, którego nie sposób zbudować na wiecznych dygresjach. Wyobrażacie sobie plac budowy, gdzie każdy robotnik podąża własną ścieżką skojarzeń? Dygresja bywa domeną sztuki wysokiej, źle wyczuła tworzy mętlik w głowie odbiorcy, rozprasza uwagę i rozmywa sens przekazu. Satysfakcję odczuwamy wtedy, gdy jesteśmy u celu. Im ciekawsze widoki po drodze, tym lepiej, ale dotarcie do wniosku to potrzeba człowieka Zachodu, której Internet nie daje. Podobnie jak William Borroughs. Z tego względu zgadzam się z radą ekspertów, żeby Internet (oraz książkę „Nagi lunch” – przyp. red.) podsuwać dzieciom jak najpóźniej.

RACZKOWSKI



MARCIN PROKOP



„Zdarzają się przypadki niedożywienia i napady drgawkowe, amputacje kończyn, a nawet zgony z powodu zakrzepicy żył w kończynach dolnych” – wbrew pozorom to nie jest zapis doświadczeń frontowego medyka, który właśnie wrócił z wojny, tylko fragment rozmowy z prof. Woronowiczem (str. 6) o zagrożeniach wynikających z uzależnienia od Internetu. Wielu czytelników, dowiadując się o tak drastycznych przypadkach, pomyśli pewnie: „mnie to nie dotyczy”. Błąd. Sieciowa narkomania, w różnej formie i natężeniu, to problem większości osób korzystających dziś z komputerów (a znacie kogoś, kto nie korzysta?). Według badań regularnie

spada globalna liczba wykonywanych połączeń telefonicznych. Skraca się również przeciętny czas ich trwania (aktualnie ok. 90 sekund, pięć lat temu – dwa razy tyle). Konwersacja umiera. Żyjemy wśród ludzi tekstujących i czatujących. Wyrażających uczucia za pomocą emotikonów i hashtagów. Konsumujących świat w formie memów i krótkich newsów. Nerwowo spoglądających co chwilę na ekran smartfona w przeświadczeniu, że suma rzeczywistości, które się tam rozgrywają, jest ciekawsza niż ta jedna wokół. Przeróżające. „I wanna disconnect myself right now!” – jak to kiedyś śpiewał Henry Rollins.



AKTUALNOŚCI

- 6 → TEMAT TYGODNIA** Zerwij z siecią Czy możliwe jest odłączenie się od Internetu choćby na czas wakacji? O to, jak walczyć z technologicznym nałogiem, profesora Bohdana Woronowicza wypytuje Dorota Woronowicz
- 12 → AKTUALNOŚCI** Polacy w „Kongresie” Ari Folman („Walc z Bashirem”) zekranizował „Kongres futurologiczny” Lema. Premiera we wrześniu

GRUBE SPRAWY

- 18 → SIEĆ** Ratujcie swoje mózgi Z terapeutką Anitą Egger rozmawia Anna Przybył
- 22 → RELAKS** Cisza, proszę! Andrzej Hołdys
- 26 → FOTOGRAFIA** Irańska melancholia Ewa Kaleta
- 30 → ZJAWISKO** Fakty i mity feminizmu Agnieszka Lisak
- 34 → PSYCHOLOGIA** Aaaaktualnie szukam kreatywnych Ula Ryciak
- 38 → START-UP** Gdzie bzyczy głośno rój Dominika Kaźmierczyk
- 40 → INNOWACJE** YouTube Space: przestrzeń niewirtualna Marianna Saska

- 44 → BIZNES** Miłość do browaru Grzegorz Siemionczyk
- 48 → REPORTAŻ** Tadek Uciekinier Mirosław Wleky

KULTURA

- 54 → FILM** Przycinanie pępownicy Z Pawłem Łozińskim rozmawia Łukasz Knap
- 58 → KABARET** Pożar w burdelu! Prosimy nie gasić! Mike Urbaniak, foto Katarzyna Chmura-Cegiełkowska
- 62 → MUZYKA** Pierwsza Mi-La Z raperką Mi-Lą rozmawia Karolina Sulej
- 66 → FILM** Recenzje Chrobak poszła do kina, Nowakowska ogląda TV
- 68 → LITERATURA** Recenzje Marcin Kube o Papuszy
- 70 → MUZYKA** Recenzje Angelika Kucińska, Bartek Winczewski
- 72 → ZWIASTUN LITERACKI** Sześciu fotografów i dwa Peerele Fragment książki „Autobiografia PRL. Opowieści reporterów” Łukasza Modelskiego

ROZMAITOŚCI

- 76 → BURLESKA** Bezwstydnice Olga Świąćicka
- 80 → PIERWSZA PRACA** Konie, golasy, wilki

- i koniaczek Z Anją Orthodox rozmawiają Bartosiak & Klinke

- 83 → POP-ATRZ** Wiśnie kwitną w Wielkim Jabłku Kuba Dąbrowski
- 84 → PORADNIK** Niezbędnik detoksu cyfrowego Anna Zielińska
- 86 → KRYMINAŁ** Wino, farby i krew Janina Blikowska, Marek Kozubal
- 88 → OD RZECZY** Za wolność naszą i naszą O smyczy, chociaż bardziej w rozumieniu przenośnym, dywaguje z rysunkami Franciszek Barwiński
- 90 → MOTORYZACJA** Pod prąd Hubert Kropielnicki o elektrycznym BMW i3
- 92 → KUCHNIA** Słodka rewolucja Małgorzata Minta o nowych przepisach na stare łakocie
- 94 → WINO** Subiektywny ranking marketów Wojciech Bońkowski

FELIETONY

- 15 → MAX CEGIELSKI** Hipster, czyli tam i z powrotem
- 17 → MARIUSZ ZIOMECKI** Bóg i historia, nikt więcej, czyli o niezastąpionych pomnikach

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,
22 463 03 00, www.przekroj.pl,
e-mail: doredakcja@przekroj.pl

Redaktorzy naczelni:
Zuzanna Ziomecka
Marcin Prokop

Zastępcy redaktorów naczelnych:
Hanna Rydlewska
Monika Brzywczy
(redaktor działu Kultura)

Redaktor działu Grube Sprawy:
Hubert Kropielnicki

Redaktor:
Grzegorz Sobaszek

Sekretarz redakcji:
Katarzyna Czarnecka

Współpracownicy:

Wojciech Bońkowski, Max Cegielski,
Kuba Dąbrowski, Aga Kozak,
Angelika Kucińska, Roman
Kurkiewicz, Katarzyna Nowakowska,
Cezary Polak, Marek Raczkowski,
Marianna Saska, Karolina Sulej,
Stech Szablowski, Mike Urbaniak,
Jerzy Ziemacki

Projekt graficzny:
Magdalena Piwowar

Pracownia graficzna:
Andrzej Figatowski

Fotoredykcja:
foto@przekroj.pl,
Dorota Majka-Czarnecka

Korekta: Dominika Stepien,
Agnieszka Ujma

Projekt strony internetowej:
KRCMedia.pl

Wydawca: GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

Promocja i marketing:
Cezary Piernikowski – p.o. Dyrektora
Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska
(p.berska@rp.pl)

Biurowa Reklamy i Ogłoszeń:
GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa;
tel. 22 629 86 14; 22 621 48 69;
fax: 22 621 46 58; 22 625 61 57;
reklamainfo@presspublica.pl

Dyrektor Biura Sprzedaży
Korporacyjnej Witold Trzciński
tel. 22 463 05 53

Dyrektor Działu Agencyjnego
i Magazynów Filip Weichert
tel. 22 463 01 88



PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”
Prenumerata redakcyjna:
Cena prenumeraty 2013 r.:
Roczna: 175 zł, kwartalna: 46,80 zł
Zamówienie na prenumeratę należy
składać e-mailem:
prenumerata@przekroj.pl
Dodatkowe informacje
tel. 800 120 195; 22 463 00 87

Prenumerata kolporterska:
Oddziały Ruch SA, tel. 801 800 803
lub 22 693 70 00 – telefoniczne Biuro
Obsługi Klienta czynne w godz. 7-18,
www.prenumerata.ruch.com.pl,
urzędy pocztowe

Prenumerata Elektroniczna
(e-wydanie, wydanie na tablet):
tel. 801 15 15 15, e-mail:
serwis@platne@rp.pl
www.przekroj.pl
www.sklep.rp.pl
www.e-kiosk.pl
www.e-gazety.pl

Ilustracja na okładce:
Zdjęcie: Wojtek Gardaś
Paper craft: Natalia Mleczak

RACZKOWSKI



W tym tygodniu nie piszemy...

...o durszlaku. Z tym kuchennym przyrządem na głowie Lukáš Nový, młody informatyk z Brna, występuje na zdjęciu w świeżo wydanym przez władze Czech dowodzie osobistym. Powód? Jest pastafarianinem, czyli wyznawcą latającego Potwora Spaghetti, co uznają instytucje państwowe. Nie piszemy o tym, bo zazdrościmy naszym południowym sąsiadom życiowego luzu.

...o wrześniowym numerze amerykańskiego „Vogue’a”. „September issue” tym razem liczy, bagatela, 900 stron. Dlaczego milczeć będziemy? Znow z zawiści.

...o walce, którą na Twitterze toczą Sylvester Stallone oraz Bruce Willis. Sły zarzucił koledze po fachu, że jest chciwy i leniwy. Może, ale nieładnie tak skarżyć.

...o tym, że w sezonie ogórkowym nasi posłowie bawią się w recenzentów książkowych. Marzena Wróbel z Solidarnej Polski w wywiadzie telewizyjnym oceniła „Pięćdziesiąt twarzy Greya”. Oczywiście uznała, że to Sodoma i Gomora. Chętnie pożyczymy pani Wróbel coś gorącego. Może jakąś pozycję Chucka Palahniuka?

...o tym, że naród nam znika. Według prognozy przygotowanej przez ZUS w 2060 r. Polaków będzie o 8 milionów mniej niż dzisiaj. Zamiast załamywać ręce, proponujemy przejść do rękoczynów.

A Wy nie chcecie czytać...

...o pobiciu Miecugowa. *Girl on Canvas*

...o Edku Snowdenie, Madzi Waśniewskiej, Jarku Gowinie. To tercet wysoce egzotyczny. I wysoce niezjadliwy, bo wszechobecny. *Spotted Biblioteka UEP*

...o Lewandowskim, jego niedoszłych transferach i pieniądzach, które wydał na wesele. *Maciek Czubak*

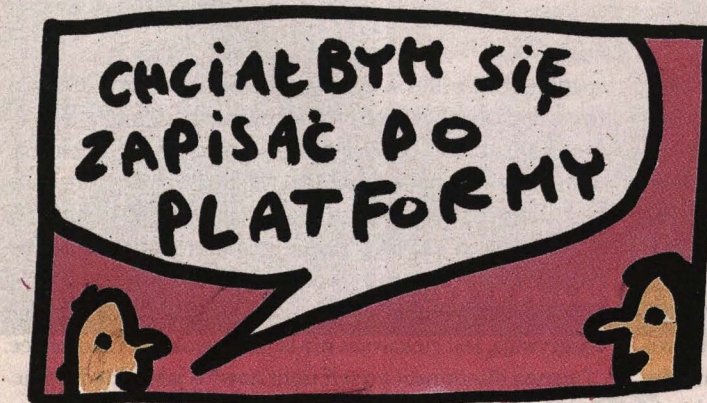
...o tym, że po raz pierwszy od dłuższego czasu temperatura nie podnosi się ze względu na obrady Sejmu, ale ot tak po prostu, bo powodów już brak. *Marta Adamska*

...o utonięciach, wypadkach i pijanych kierowcach. Napiszcie coś pozytywnego. *Beata Figurna*

W środy pytamy Was na Facebooku, jakie sprawy umieścilibyście w tej rubryce. Wybrane odpowiedzi publikujemy w wydaniu papierowym!



RACZKOWSKI





ROZMAWIA DOROTA WORONOWICZ, WSPÓŁPRACA KRYSTYNA ROMANOWSKA

Zerwij z siecią

W dzisiejszym świecie od realnych kontaktów coraz częściej wolimy te wirtualne. Żyjemy razem, ale osobno.

Czy możliwe jest odłączenie się od Internetu choćby na czas wakacji? A może wszyscy jesteśmy już uzależnieni od sieci, tylko jeszcze o tym nie wiemy? O to, jak walczyć z technologicznym nałogiem, pytamy profesora Bohdana T. Woronowicza.

Typowa randka dzisiejszych 20-latków: siedzą obok siebie, przytuleni i... wpatrzeni w ekrany smartfonów.

Zamiast patrzeć sobie w oczy? No tak. To przedstawiciele tzw. generacji C (connect, communicate) i generacji V (virtual). Ci młodzi ludzie nie pamiętają świata bez komputera, nie potrafią żyć bez Internetu, laptopa, smartfona, blogów. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że na naszych oczach rodzi się całkiem nowe pokolenie z bardzo charakterystyczną „osobowością cyfrową”. Pokolenie niewolników nowych technologii, które nie potrafi bez nich funkcjonować.

Nie ich wina, że urodzili się „z myszką w ręku”. Jeżeli rodzice niemal od pierwszych chwil życia dziecka podsuwają mu komputer, dziecko – chcąc czy nie – przyzwyczaja się do niego. Dwu-trzylatki same go włączają i grają w gry, często bez nadzoru rodziców. Tymczasem psychologowie twierdzą, że do drugiego roku życia dziecko nie powinno w ogóle mieć do niego dostępu, w wieku 2-7 lat spędzanie czasu przed ekranem komputera nie powinno przekraczać godziny dziennie (im krócej, tym lepiej), w wieku 7-12 lat czas ten może wynosić 1-2 godziny, a po 13. roku życia – 2 do 3 godzin. Poza tym, przed ukończeniem 7. roku życia, dziecko nie powinno mieć dostępu do gier wideo na konsoli, a dostęp do smartfona przed 16. rokiem życia powinien być zabroniony. Oczywiście to nie są sztywne granice, a o dostępie do nowych technologii powinna decydować dojrzałość młodego człowieka.

Czym grozi zbyt wczesny kontakt dziecka z nowymi technologiami? Czy jeżeli maluch,

zamiast poznać zapach siana i zobaczyć, jak wygląda prawdziwa krowa, zanurzy się zbyt wcześnie w e-swiat, będzie bardziej podatny na uzależnienie od Internetu?

Dziecko musi wiedzieć, że to realne uniwersum dostarczy mu niezapomnianych i o wiele bardziej ciekawych doznań niż wirtualna rzeczywistość. Musi poczuć na własnej skórze, że prawdziwa przygoda ukryta jest poza ekranem. I dlatego nie należy pozostawiać dziecka sam na sam z komputerem. Komputer, który stał się nieodłącznym elementem życia osób dorosłych, zaczyna jednocześnie coraz częściej zastępować dzieciom kontakty z rodziną, zabawy z rówieśnikami, czytanie książek czy uprawianie sportu. Nie wolno przegapić momentu, kiedy – ciesząc się,

Uzależnieni spędzają przy komputerze średnio 35 godzin tygodniowo, poza obowiązkami wynikającymi z zatrudnienia.

że dziecko woli spędzać czas w domu zamiast z kolegami na podwórku – rodzice nie zdają sobie sprawy, że robi to nie z przywiązania do rodziny, tylko dlatego, żeby być bliżej komputera.

Potem jest już za późno?

Często tak, bo za zamkniętymi drzwiami pokoju dziecko coraz bardziej zagłębia się w wirtualny świat. Jeżeli rodzice ograniczą dziecku dostęp do komputera dopiero gdy pojawią się

poważne problemy z nauką, traktowane to będzie zawsze przez dziecko jako akt wrogi. Czyn polegający na odbieraniu mu czegoś, co – za nieświadomym przyzwoleniem rodziców – stało się dla dziecka niezmiernie ważną częścią jego życia. Od Internetu (ale także od innych doznań) uzależniają się bowiem najczęściej dwie kategorie osób. Jedną z nich to ci, którzy zbyt często odczuwają dyskomfort psychiczny i znajdują jakąś substancję lub zachowanie, które poprawiają ich samopoczucie. To tacy „poszukiwacze ulgi”. Druga kategoria to osoby, dla których w normalnym, codziennym życiu jest zbyt mało bodźców i które poszukują dodatkowych doznań, przyjmując jakieś substancje lub realizując określone zachowania...

Co to właściwie znaczy być uzależnionym od Internetu? Jeżeli sprawdzam pocztę na smartfonie kilka razy dziennie, zaglądam do Facebooka i Twittera, jadąc autobusem, to znaczy, że mam już problem?

Kłopot zaczyna się wtedy, kiedy korzystanie z Internetu przynosi wyraźne szkody osobie korzystającej oraz jej otoczeniu. Kiedy wypiera ono inne formy spędzania czasu, a także pociąga za sobą niewywiązywanie się z ról społecznych. Na przykład ktoś notorycznie spóźnia się do pracy, bo musi dawać „lajki” na Facebooku, zawala terminy i projekty, lekceważy uczucia bliskich osób. Pierwszy etap uzależnienia to tzw. nadużywanie. Osoba nadużywająca jeszcze „wyrabia się” w życiu, ale staje się to dla niej coraz trudniejsze. Pojawiają się pierwsze sygnały ze strony bliskich, ze szkoły, z uczelni czy z pracy. Ludzie są zaniepokojeni, mówią: „Ciągłe siedzisz na Facebooku! Nie masz dla nas czasu!”. Jeżeli na tym etapie taki ktoś nie uświadomi sobie, że ma problem, jest na prostej drodze do uzależnienia.

Jak ono wygląda?

Jak wiele innych uzależnień: brak czasu na inne, do tej pory lubiane zajęcia, ogólne poczucie, że nie daje sobie rady w życiu. Kimberly Young, amerykańska badaczka z University of Pittsburgh, pionierka badań nad uzależnieniem

od komputera, stwierdziła, że osoby uzależnione spędzają przy nim średnio 35 godzin tygodniowo (poza obowiązkami wynikającymi z zatrudnienia). Ludźmi uzależnionymi od Internetu miotają sprzeczne uczucia: wstyd, lęk, strach. Usiłują bezradnie i zwykle nieudolnie kontrolować czas spędzony przed ekranem. Do tych wszystkich nieprzyjemnych uczuć dochodzą także najzwyczajniejsze w świecie dolegliwości fizjologiczne: pogorszenie wzroku, problemy ze snem, bóle głowy (często o charakterze migrenowym), zespół cieśni nadgarstka, skrzywienia kręgosłupa, bóle pleców oraz karku. W ekstremalnych przypadkach obserwujemy zaniki mięśni grzbietu czy mięśni pasa biodrowego lub zespół powtarzających się urazów wynikających z przewlekłego przeciążenia układu mięśniowo-stawowego, charakteryzujący się bólami ramion, przedramion, nadgarstków i dłoni. Zdarzają się też przypadki niedożywienia i napady drgawkowe (tzw. padaczka ekranowa), amputacje kończyn, a nawet zgony z powodu zakrzepicy żył w kończynach dolnych jako powikłania z powodu wielogodzinnego siedzenia przy komputerze.

Z badań naukowców wynika, że Polska, Rumunia i Hiszpania mają najwyższy współczynnik osób, które korzystają z Internetu w sposób dysfunkcyjny.

Długotrwałe przebywanie przed promieniującym ekranem też nam szkodzi.

Pojawiły się doniesienia z Chin i wielkiej Brytanii mówiące o negatywnym wpływie na strukturę włókien nerwowych w okolicy okołoczodołowej kory czołowej mózgu u osób uzależnionych od komputera i Internetu, podobnie jak ma to miejsce w uzależnieniach od substancji psychoaktywnych.

Badania wykazały, że rozwój uzależnienia następuje stosunkowo szybko, bowiem 25 proc. internautów uzależnia się już w ciągu pierwszych sześciu

miesięcy od rozpoczęcia wędrówek po sieci, 58 proc. – w ciągu 6–12 miesięcy, a 17 proc. – po ponad roku.

Niech pan nie straszy! To brzmi jak charakterystyka większości informatyków, których znam! Czy to zagrożenie jest większe w zależności od środowiska bądź grupy społecznej?

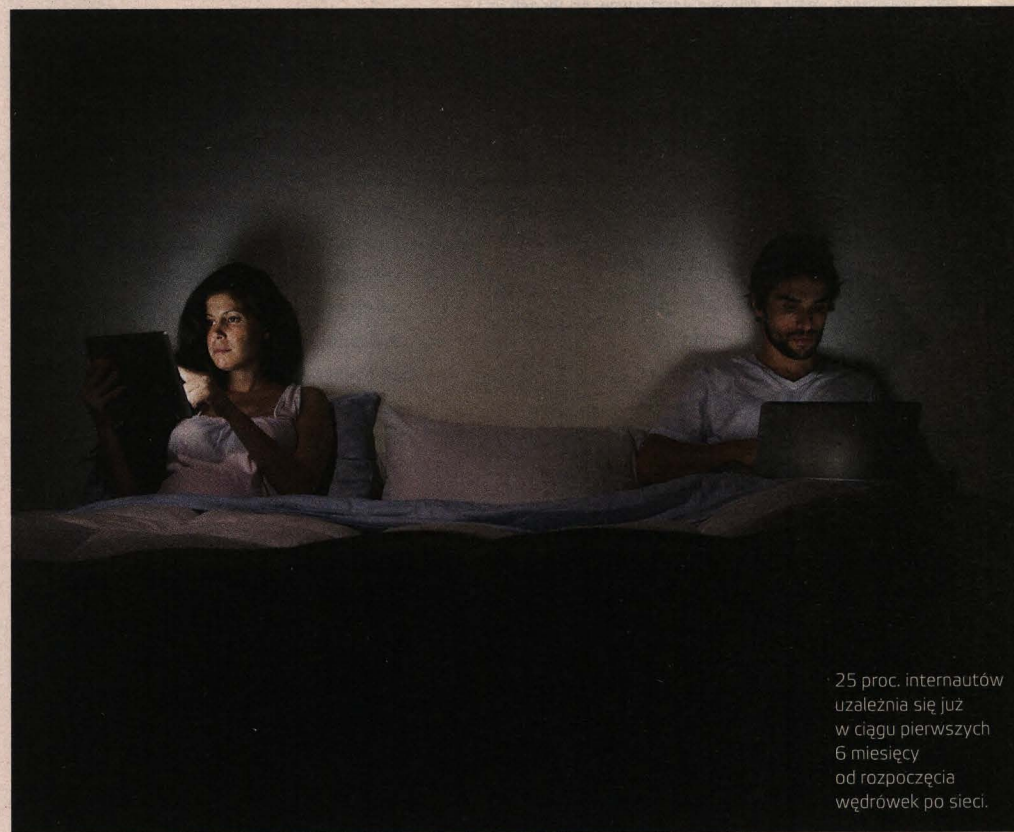
Oczywiście, że są zawody bardziej narażone na ten typ uzależnienia. Jeśli chodzi o informatyków, to należałoby postawić pytanie, co było pierwsze – janko czy kura, bo wybór zawodu mógł być zdeterminowany chęcią „zalegalizowania” swojego uzależnienia lub skłonności do uzależnienia. Z badań wynika, że bardziej zagrożone uzależnieniem od komputera i sieci są osoby, które mają problem z nawiązywaniem bezpośrednich kontaktów z innymi, osoby z zaburzeniami emocjonalnymi, z fobią społeczną, z poczuciem niskiej wartości, z nieleczonymi dysfunkcjami seksualnymi, a także osoby młode, zwłaszcza chłopcy, sfrustrowane i zagubione w świecie dorosłych, żyjące w rodzinach zaburzonych, które traktują Internet jako ucieczkę do bardziej przyjaznego świata. Najczęściej w rodzinach, w których rodzice mają wykształcenie podstawowe.

Z badań naukowców wynika też, że Polska razem z Rumunią i Hiszpanią ma najwyższy współczynnik osób, które korzystają z Internetu w sposób dysfunkcyjny (stosunkowo najlepiej radzą sobie Niemcy i Islandczycy). Co ciekawe, istnieje silna zależność między uprawianiem hazardu, korzystaniem z portali społecznościowych, graniem w gry online a dysfunkcyjnym korzystaniem z Internetu. Jest też związek pomiędzy nadużywaniem Internetu a innymi problemami społecznymi oraz psychicznymi, takimi jak depresja, wycofanie, agresja, zaburzenia myśli i uwagi. Może to wskazywać zarówno na fakt, że osoby mające problemy uciekają w nadmierne używanie Internetu, jak i na to, że nadużywanie sieci może się przyczyniać do pogłębienia niektórych problemów. Nie da się jednoznacznie stwierdzić, co jest skutkiem, a co przyczyną.

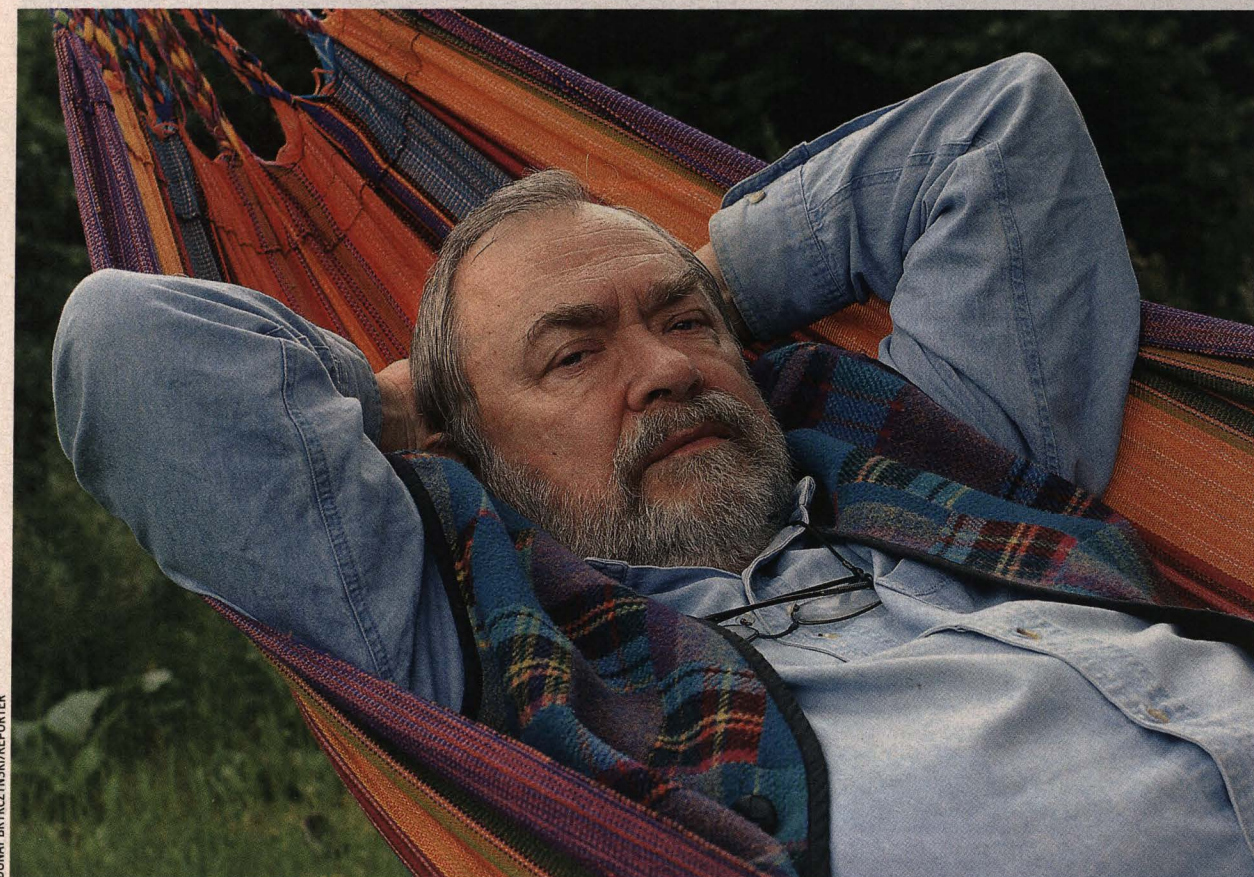
Komputer nie powinien zastępować dziecku zabaw z rówieśnikami, czytania książek czy rodzinnych posiłków.

Czy uzależniamy się po prostu od Internetu, czy każdy uzależniony ma swoją „specjalizację”?

Wspomniana Kimberly Young wyróżniła pięć podtypów uzależnienia. Można się więc uzależnić od cyberseksu, od oglądania pornografii w sieci. Coraz częściej wpadamy także w socjomanie internetową, czyli uzależnienia od internetowych kontaktów społecznych, jak grupy dyskusyjne czy poczta elektroniczna. To z tej grupy wywodzą się wszelkiej maści hejterzy, którzy komentują wszystko i wszystkich w najbardziej negatywny z możliwych sposobów. Są osoby uzależnione od hazardu w kasynach sieciowych, od gier sieciowych, w których przeciwnik jest żywym człowiekiem siedzącym przy innym monitorze, od aukcji czy zakupów online. Ludzie uzależniają się także od poszukiwania nowych informacji. Jest także spora grupa osób uzależnionych od blogów. Ci maniacy komputerowi śledzą namiętnie cudze historie życia opisywane na stronach internetowych lub opisują własne



25 proc. internautów uzależnia się już w ciągu pierwszych 6 miesięcy od rozpoczęcia wędrówek po sieci.



BOHDAN TADEUSZ WORONOWICZ

(ur. w 1943 r. w Nowogrodku), psychiatra, seksuolog, specjalista terapii uzależnień. Jeden z fundatorów Fundacji Biuro Służby Krajowej Anonimowych Alkoholików w Polsce oraz pierwszy powiernik klasy A (niealkoholik) w polskiej Wspólnocie Anonimowych Alkoholików. Kieruje Ośrodkiem Terapii Uzależnień w Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie, a także Niepublicznym Zakładem Opieki Zdrowotnej „Centrum Konsultacyjne AKMED”. Jest prezesem zarządu fundacji „Zależni Nie Zależni”. Odznaczony przez prezydenta RP Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi i zaangażowanie w działalność na rzecz ludzi uzależnionych”.

Co robić, kiedy okazuje się, że bliska osoba jest uzależniona? Jak ją namówić na wizytę u specjalisty?

Nalógowcy bardzo rzadko zgłaszają się po pomoc, z prostego powodu: trudno ich skłonić do spotkania „twarzą w twarz” ze specjalistą, ponieważ są przyzwyczajeni do obcowania z ekranem bądź do porozumiewania się za pomocą klawiatury. Stąd pierwszym krokiem w terapii jest wyrwanie tych osób z izolacji, a kolejnym uregulowanie snu, bo to jest najczęstszy problem. Decyzja o podjęciu leczenia następuje dopiero wtedy, gdy osoba zainteresowana zacznie zauważać u siebie różnicę między zdrowym a patologicznym korzystaniem z komputera.

A gdy bliscy sygnalizują: „Chyba masz problem z komputerem. Nawet w wakacje godzinami siedzisz na Facebooku”.

Nie powinno się bagatelizować sprawy. Należałoby zrewidować swoją hierarchię wartości. Jak zrobić to w miarę obiektywnie? Po prostu każdego dnia zapisujemy szczerze sposób spędzania czasu. Wtedy znacznie łatwiej jest uświadomić sobie, co takiego się dzieje. Po takiej analizie być może należałoby starać się stopniowo odbudowywać życie prywatne, ograniczając czas korzystania z komputera. A jeśli to by nie wyszło, trzeba by zwrócić się po pomoc do specjalisty.

Jaki jest limit czasowy dziennego korzystania z Internetu w czasie wolnym?

Do dwóch godzin. Nie ulega wątpliwości, że jeżeli robimy to dłużej, jesteśmy na dobrej drodze do uzależnienia. Z kolei osoby, które zauważyły, że coraz trudniej im żyć bez komputera, powinny pomyśleć o stopniowym ograniczeniu czasu przy nim spędzanego. Dobrze robić dłuższe przerwy w korzystaniu z sieci. Można przestawić komputer w ogólnie dostępne miejsce i korzystać z niego tylko w obecności innych osób.

Wypisać się z Facebooka?

Można to zrobić, choć wiem, że może to być bolesne. Ale może wystarczy tylko zmienić pory korzystania z sieci

i skrócić czas? Trzeba po prostu wrócić do właściwych proporcji w korzystaniu z życia tego prawdziwego i tego wirtualnego.

Coraz częściej słychać o drastycznych metodach leczenia osób uzależnionych od komputera. Dlaczego wprowadza się takie terapie?

Ponieważ komputer jest nalogiem – można powiedzieć – „intelektualnym”, wydaje się, że powinno się go leczyć wyłącznie psychoterapią. Czasem jednak trzeba uciec się do metod behawioralnych, stricte fizjologicznych. I tak np. w Centralnym Szpitalu Wojskowym w Pekinie, gdzie skoszarowani są uczestnicy terapii, stosowana jest kontrowersyjna metoda leczenia uzależnień od Internetu i gier komputerowych. Polega ona m.in. na tym, że pacjenci, przepisując zadany tekst na komputerze, poddawani są bolesnym uderzeniom w palce dłoni prądem o mocy 30 V. Terapia ma wytworzyć nieprzyjemne skojarzenia z nadmiernym korzystaniem z komputera. Oczywiście nie polecam tej metody i nie jestem jej zwolennikiem, zwracam tylko uwagę, jak ciężkie może być leczenie tego – zdawałoby się – niezbyt szkodliwego uzależnienia.

A inne, bardziej humanitarne sposoby leczenia?

W leczeniu uzależnienia od komputera ważna jest zmiana sposobu korzystania ze sprzętu, z którego i tak trzeba korzystać w związku z pracą czy nauką. Jedną z metod jest zamontowanie w komputerze alarmu, który po upływie określonego czasu przypomina: „koniec, zajmij się czymś innym”. Osoby, które chcą wyjść z uzależnienia, przygotowują szczegółowy, realistyczny plan dnia uwzględniający określenie ram czasowych korzystania z Internetu i – oczywiście – innych codziennych aktywności, z wypoczynkiem włącznie. Taki plan to dobre wyjście i powrót do dawnych, zapomnianych pasji, do obszarów życia, które zostały zaniedbane. To nie jest proste, bo – przypominam – człowiek leczy się z uzależnienia!

10 zasad wspomagających leczenie uzależnienia od komputera

1. umieścić komputer w miejscu uniemożliwiającym izolowanie się,
2. korzystać z niego w obecności innych osób,
3. zmieniać pory korzystania z komputera oraz robić przerwy,
4. odnotowywać codziennie wszystkie aktywności (w tym czas spędzany przy komputerze),
5. nie używać w sieci pseudonimów,
6. rozmawiać o swoim problemie z bliskimi,
7. wykonywać ćwiczenia fizyczne,
8. robić, stopniowo coraz dłuższe, przerwy w korzystaniu z Internetu (komputera),
9. starać się kontrolować swoje myśli dotyczące Internetu,
10. stosować techniki relaksacyjne.

Według Kimberly Young udzielenie pozytywnej odpowiedzi na pięć pytań przemawia za tym, że masz problem z uzależnieniem od Internetu.

- Czy czujesz zaabsorbowanie Internetem do tego stopnia, że ciągle rozmyślasz o odbytych sesjach internetowych i/lub nie możesz się doczekać kolejnych sesji?
- Czy odczuwasz potrzebę zwiększenia ilości czasu spędzanego w Internecie, aby uzyskać większe zadowolenie?
- Czy masz za sobą wielokrotne, nieudane próby kontrolowania, ograniczania lub zaprzestania korzystania z Internetu?
- Czy dopadł cię wewnętrzny niepokój, nastrój depresyjny albo rozdrażnienie lub próbie ograniczenia lub przerwania dostępu do Internetu?
- Czy spędzasz w Internecie więcej czasu, niż planowałeś?
- Czy groziło ci ryzyko utraty bliskiej osoby, ważnych relacji z innymi ludźmi, pracy, nauki albo kariery zawodowej przez zbyt długi czas spędzony w sieci?
- Czy zdarzyło ci się skłamać bliskim, terapeutom albo komuś innemu, żeby ukryć nadmierne zainteresowanie Internetem?
- Czy używasz Internetu, żeby uciec od problemów albo uniknąć nieprzyjemnych uczuć (np. poczucia bezradności, poczucia winy, niepokoju lub depresji)?

Z badań Fundacji „Dzieci Niczyje” przeprowadzonych w 2012 r. wynika, że 13,3 proc. polskich respondentów korzysta z Internetu w sposób mogący zagrozić ich zdrowiu psychicznemu. Zagrożeni uzależnieniem od Internetu rekrutują się obecnie głównie spośród osób poniżej 25. roku życia. I co ważniejsze, e-nalóg jest częstszy wśród młodzieży niepełnoletniej niż u osób mających 18 lat i więcej. Badania przeprowadzone w kilku krajach europejskich wykazały, że w Finlandii wśród codziennych użytkowników sieci 5 proc. dziewcząt i chłopców to osoby uzależnione, w Norwegii najwyższy wskaźnik uzależnienia stwierdzono w grupie młodzieży w wieku 16 – 29 lat. W Niemczech u 3,5 proc. nastolatków stwierdzono objawy uzależnienia od Internetu. W Stanach Zjednoczonych takich osób jest powyżej 8 proc.

historie. Hakerstwo także należy traktować jako uzależnienie od Internetu.

Po czym poznać, że nasze dziecko, partner, przyjaciel są uzależnieni?

Żartobliwie mówiąc: po zespole „jeszcze jednej minuty”. To typowa odpowiedź osób uzależnionych od komputera. Kiedy prośzone są o wyłączenie sprzętu, odpowiadają w taki właśnie sposób. Przy czym, „ta jeszcze jedna minuta” rozciąga się w nieskończoność. Można przymierzyć się samemu do wstępnej diagnozy, ale lepiej porozmawiać o tym ze specjalistą.

Nie pozostawajmy obojętni na fakt, że nie potrafimy powstrzymać się od sprawdzenia po raz kolejny poczty czy Facebooka, kiedy siadamy do komputera i tracimy rachubę czasu. Albo jeżeli dziecko wpada we wściekłość, gdy rodzice chcą mu ograniczyć czas spędzany przy komputerze albo rano nie można go dobudzić, bo prawie całą noc spędziło przed monitorem. W Korei Po-

łudniowej doszło do tego, że 9–10-latkom robi się testy przesiewowe, dzięki którym wychwytuje się dzieci z rozwijającym się uzależnieniem. Kierowane są one do ośrodków terapeutycznych, w których przez pierwsze dwa tygodnie prowadzony jest detoks, czyli całkowite odstawienie od komputera. Następuje wielomiesięczna praca terapeutyczna z dzieckiem i jego rodzicami. Niestety, w Polsce dopiero raczkujemy z leczeniem uzależnienia od komputera, sieci i innych nowych technologii.

Może jeszcze nie ma się czego obawiać?

Trzeba bić na alarm! Co dziesiąty nastolatek w Polsce jest zagrożony uzależnieniem od Internetu i ta liczba będzie stale rosła. 1/3 gimnazjalistów deklaruje, że gra w sieci w gry hazardowe. Wzorem Koreańczyków powinniśmy wprowadzić testy przesiewowe. To zadanie dla Ministerstwa Edukacji Narodowej. Kiedy dwa lata temu organizowałem konferencję na temat hazardu, na którą

przyjechali wybitni specjaliści z Europy i Kanady, z ministerstwa nie pojawił się nikt. Niestety, nie mam pomysłu, jak wpłynąć na urzędników, żeby zechcieli się zastanowić nad przygotowaniem materiałów edukacyjnych dla rodziców i nauczycieli, nie mówiąc o włączeniu problemowego korzystania z komputera i kwestii hazardu do szkolnych programów profilaktycznych. Uważam, że co najmniej dwa razy w roku rodzice dzieci w wieku szkolnym przy okazji omawiania postępów ucznia w szkole powinni być edukowani na temat zasad zdrowego korzystania przez ich dzieci z komputera i z tzw. nowych technologii. Powinny powstać punkty konsultacyjne dla rodziców, którzy mogliby skonfrontować swoje obserwacje i niepokoje ze specjalistami od uzależnień. Chętnie widziałbym w działaniach profilaktycznych także księży i katechetów – dobrze, aby wytłumaczyli rodzicom, że smartfon nie jest najlepszym prezentem na Pierwszą Komunię.



RADOŚLAW KAZMIERCZAK

FESTIWAL

Energia nowej muzyki

W przedostatni weekend sierpnia Dolinę Trzech Stawów wypełnią rytmy z pogranicza jazzu, muzyki elektronicznej i tanecznej. Katowicki festiwal Tauron Nowa Muzyka opuścił tymczasowo industrialne przestrzenie byłej kopalni węgla kamiennego, jednak nie zmienia charakteru. Uczta dla miłośników nowych brzmień rozpocznie się już w czwartek 22 sierpnia w Galerii Szyb Wilson koncertem w wykonaniu kanadyjskiego tria BadBadNotGood.

Oprócz niego w Polsce po raz pierwszy wystąpią: Thundercat, London Grammar, LFO, Sherwood & Pinch, Holly Herndon i Dawn Day Night. Najnowsze albumy zaprezentują m.in.:

Moderat, Jon Hopkins, Jamiel Lidell, The Brandt Brauer Frick Ensemble.

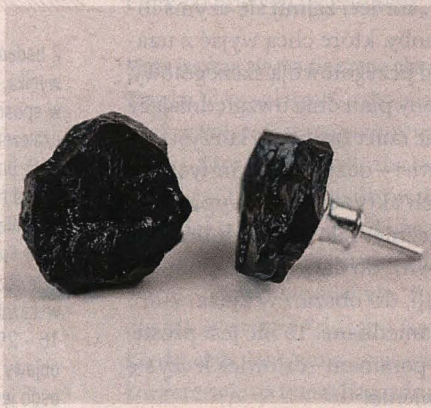
Brytyjskie trio Darkstar powraca albumem „News from Nowhere” i zagra na zakończenie festiwalu w niedzielę na specjalnym koncercie w kościele ewangelickim w Katowicach. Wśród polskich wykonawców znalazły się duety Niwea, Mr Lex & Rawski i Niewinni Czarodzieje, wystąpią też KAMPI, Novika, Kixnare i UL/LR.

Tych, którzy jeszcze myślą: jechać czy nie jechać, może przekonać internetowe TNM Radio 2013 prezentujące twórczość związaną z Nową Muzyką. Link i więcej informacji znajdziecie na www.festiwalnowamuzyka.pl. → eb

DESIGN

Przedmioty z duszą

The Spirit of Poland, inicjatywa polskich projektantów promująca ich dokonania za granicą, będzie mieć kolejną odsłonę. Tym razem na największym brazylijskim festiwalu designu DWI São Paulo Design Weekend pod hasłem „Duch – dusza materiału”. Prace, które powstały z fascynacji projektantów danym tworzywem, pokażą m.in. pracownia bro.Kat, studio Malafor i Marek Cecuła. → eb



ARCHITEKTURA

Sauna w bibliotece



Konkurs na projekt nowej Biblioteki Głównej w Helsinkach wygrała fińska pracownia ALA. Miejscowi architekci wiedzą, co może zadowolić przeciętnego Finą. Bryla.pl podaje, że położony w centrum miasta budynek z elewacją wykonaną z naturalnych, lokalnych surowców, m.in. z modrzewia syberyjskiego, ma być otwarty na potrzeby mieszkańców – oprócz obszernego, publicznego placu przed budynkiem na amatorów czytania będzie czekała chwila relaksu w postaci sauny. → eb

MUZYKA

„Brunetki, blondynki” w Krynicy-Zdroju



Festiwal im. Jana Kiepury z powodu remontu zabytkowej Pijalni Zdrojowej gości w tym roku głównie na krynickim deptaku, a za sprawą nowej dyrektorki artystycznej, śpiewaczki Alicji Węgorzewskiej, do jego repertuaru trafiły również rock i jazz. Jedną z festiwalowych gwiazd będzie Leszek Możdżer, który wystąpi z duńską wokalistką Caecillie Norby. → eb

EDUKACJA

Popieramy Malalę

Pamiętacie historię Malali Jusafzaj z Pakistanu? Nastolatka została ukarana przez talibów za to, że walczyła o dostęp do edukacji i o równouprawnienie. Pod pseudonimem Gul Makai prowadziła blog internetowy, w którym opisywała życie w dolinie Swat. W zeszłym roku, kiedy wracała ze szkoły do domu, została postrzelona w głowę. Przeżyła.

Informacja o jej historii obiegła świat i stała się inspiracją akcji „Girl With a Book” (Dziewczynka z książką). Jej organizatorzy propagują ideę wolnego dostępu do edukacji. – Zgodnie z danymi ONZ nie ma go 57 milionów dzieci na świecie, w tym 30 milionów dziewczyn – mówi „Przekroju” Magdalena Chodownik, która wraz z dr Agnieszką Kuszewską i Daria Nurkiewicz realizuje projekt w Polsce. – Wszystko zaczęło się 8 marca, kiedy opublikowałam zdjęcie, na którym pozuję z kartką z napisem „I stand with Malala” (Popieram Malalę) na prowadzonej na Facebooku przez Amerykanki Olivie Curl i Lenę Shareef stronie. Zauważyli to moi znajomi i pytali, o co chodzi. Postanowiliśmy rozpocząć akcję w naszym kraju.

NAUKA

Burger in vitro

Pierwszego hamburgera z mięsa wołowego wyhodowanego w laboratorium podano w Londynie. Stworzył go zespół prof. Marka Posta z holenderskiego Uniwersytetu w Maastricht. Produkcja polegała na namnażaniu w próbkach komórek mięśni pobranych od żywego zwierzęcia. Skrawki tkanki połączono w 140-gramowy kotlet, dodano przyprawy i... rzucono na patelnię (z odrobiną masła). Przyrządzaniem burgera zajął się mistrz kuchni Richard McGowan. Testerami zostali krytycy kulinarni Hanni Ruetzler i Josh Schonwald oraz sam prof. Post. Ponieważ komórki z laboratorium były pozbawione tłuszczu

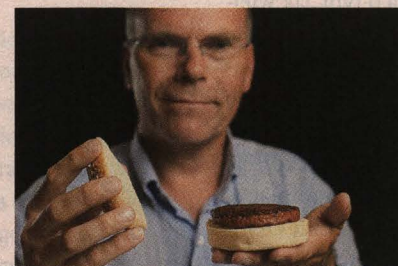


PAWEŁ BAL

Udało się, projekt poparło Centrum Studiów Polska-Azja, Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej i znane osoby, m.in. Magdalena Cielecka i Bogusław Linda. Organizatorzy jeżdżą po Polsce z wykładami na temat Pakistanu, Kambodży, Birmy i dostępu do edukacji w tych krajach.

Od lewej: Daria Nurkiewicz, dr Agnieszka Kuszewska i Magdalena Chodownik.

Towarzyszy temu wystawa zdjęć osób z książkami i z napisem „I stand with Malala”. Ma powstać album; oprócz fotografii znajdują się w nim wypowiedzi dziewcząt i kobiet z całego świata. Dochód z niego przeznaczony będzie na zakup książek do pakistańskich szkół. → eb



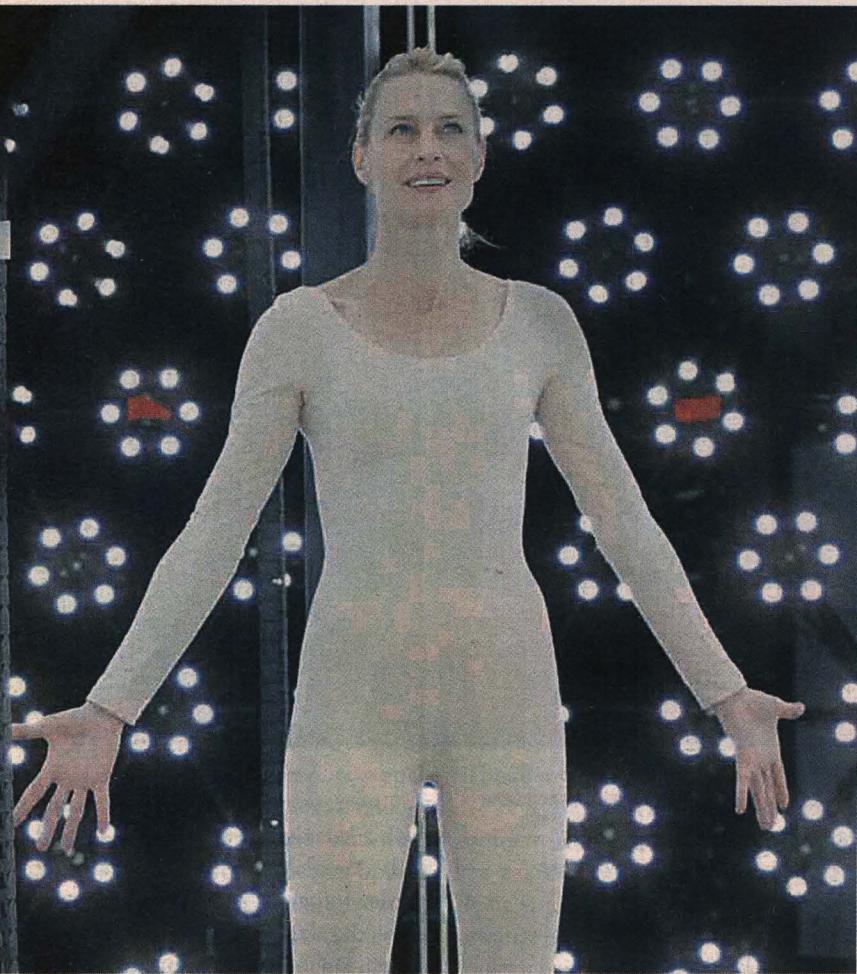
DAVID PARRY/REUTERS/FORUM

i krwi, smak burgera pozostawiał nieco do życzenia, prof. Post był jednak zadowolony z degustacji. – Tłuszcz, a zatem i smak, można dodać później – zauważył. Za burgera in vitro 220 tys. funtów zapłacił współzałożyciel Google’a Sergey Brin. W przyszłości takie mięso ma być tańsze i bardziej ekologiczne od wołowiny z uboju zwierząt. → peka

TECHNOLOGIE

Linie papilarne komórek

Sygnal radiowy z telefonu komórkowego zostawia cyfrowe „linie papilarne”. Według niemieckich inżynierów daje to stróżom prawa szansę śledzenia telefonu, którego właściciel zmieni kod identyfikacyjny. Metodę opracował Jakob Hasse z Politechniki Drezdeńskiej. Wykorzystuje ona różnice w jakości elementów elektronicznych telefonu. To one są źródłem niedokładności sygnału radiowego. W trakcie łączenia się telefonu ze stacją bazową błędy są korygowane według wzoru unikalnego dla każdego urządzenia. Testując 13 telefonów, inżynierowie byli w stanie rozpoznać aparaty z dokładnością do 97,6 proc. → kru



FILM

Polacy w „Kongresie”

We wrześniu w kinach pojawi się majstersztyk sztuki filmowej – zrealizowany na podstawie „Kongresu futurologicznego” Stanisława Lema obraz Ariego Folmana. – Lem, zaliczający się razem z Philipem K. Dickiem do grona największych proroków i filozofów science fiction, nawet sobie nie wyobrażał, jak bardzo jego wizja może być aktualna na początku trzeciego tysiąclecia – mówi izraelski reżyser, twórca nominowanego do Oscara animowanego dokumentu „Walc z Baszirem”. „Kongres” jest izraelsko-niemiecko-polsko-luksembursko-francusko-belgijską (uff) koprodukcją. Występują w nim takie sławy, jak Robin Wright (gwiazda „House of Cards”), Harvey Keitel, Paul Giamatti i znany z serialu „Mad Men”

Jon Hamm. Opowiada o tym, jak wielkie hollywoodzkie studio zwraca się do grającej samą siebie Wright z propozycją, by ją „zeskanować” i w ten sposób dać jej wieczną filmową młodość. Rzeczywistość miesza się z fikcją, a zdjęcia Michała Englerta łączą się z animacją, zrealizowaną m.in. przez polskie Orange Studio. Rodzimym koproducentem jest Opus Film. – Twórcom trudno było sobie wyobrazić, żeby film inspirowany prozą Lema nie był tworzony bez Polaków, którzy czują jego ducha. Zwłaszcza po uznanych za nieudane realizacjach „Solarisa” – mówi Ewa Puszczyńska z Opus Film. – Poza tym Ari Folman ma polskie obywatelstwo. Choć urodził się w Hajfie, jego rodzice pochodzą z Łodzi. Z kraju wyjechali w latach 50. → eb

NAUKA

Denerwujący klimat

Ocieplenie zwiększa ryzyko konfliktów między ludźmi, ale także między społecznościami i państwami. Do takiego wniosku doszli amerykańscy naukowcy na podstawie badań we wszystkich rejonach świata. Pod lupę trafiły m.in. przypadki przemocy domowej w Indiach, napady i morderstwa w USA, konflikty na tle etnicznym w Europie czy przypadki użycia siły przez policję holenderską. Wszędzie wzrost liczby konfliktów związany był z takimi czynnikami jak wyższa od średniej temperatura czy susza. U progu XXI wieku wyniki tych badań mają kluczowe znaczenie dla społeczeństwa. W najbliższym stuleciu według prognoz średnia temperatura ma wzrosnąć o 2 st. C. → kru

WNĘTRZA

Przemeblowanie w smartfonie

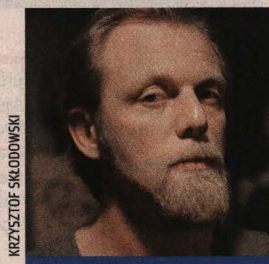
Najnowsza elektroniczna wersja katalogu IKEA 2014 umożliwia wirtualne ustawianie mebli w mieszkaniu. Wykorzystuje do tego obraz z wbudowanego w tablet lub smartfon aparatu fotograficznego. Na tle prawdziwego pokoju „ustawia” wybraną kanapę lub stół, a my możemy ocenić, czy mebel pasuje do tego, co już mamy. Można nawet przesunąć obraz, przedstawiając jednocześnie wirtualny mebel. Niestety, nie wszystkie elementy wyposażenia wnętrza można w ten sposób przetestować. Podgląd 3D jest już w amerykańskiej wersji aplikacji. Na polską będziemy musieli jeszcze poczekać. Katalog działa z systemami Apple iOS i Google Android. → kru



PRZEKRÓJ numer 32/33

Max Cegielski

Hipster, czyli tam i z powrotem



KRZYSZTOF SKŁODOWSKI

Dziś każdy chciałby być Rimbaudem, ale w tłumie ambitnej bohemy XXI wieku ciężko znaleźć swoje Lascaux, skoro prawie każdy szuka jaskini poza społeczeństwem.

Mrużę oczy w sierpniowym słońcu i zamiast rzezi Woli wizualizuję sobie epokę lodowcową. W głębi jaskini prehistoryczni hipsterzy odziani w skóry przyświecają ogniem pierwszemu „poeście wyklętemu”, który maluje mamuty i sylwetki myśliwych. Starszyzna plemienia jest oburzona naruszeniem ustalonego porządku i rzuca klątwę na nowy obyczaj. Jednak wąskiej grupie młodzieży „podążającej za najnowszymi trendami” ta innowacja wydaje się interesująca. Tworzą pierwszy krąg wiernych fanów albo – innymi słowy – wyznawców, a reszta społeczności brzydzi się nimi i piętnuje zwyrodniałców. Potem jednak coraz większe grupy myśliwych przed wyprawami i po nich schodzą się do pieczary. Kiedy nowa moda przeradza się w styl oficjalny, jej pierwsi propagatorzy stają się gwiazdami ubóstwianymi przez tłumy. Później zaś (po paru tysiącach lat) przychodzi na świat młode pokolenie, które dorasta w cieniu skostniałej kultury malowideł i zaczyna śpiewać eposy o bohaterach-myśliwych oraz czcić dusze upolowanych zwierząt. I znowu cały cykl się powtarza, ale im szybciej następują zmiany cywilizacji, tym bardziej przyspiesza, tak jak czas w tym felietonie.

W XIX wieku w Europie pęcnieją miasta, gdzie najbardziej odważni odszczepieńcy wielkich metropolii zostają poetami przekłętymi nowej epoki: pojawiają się Baudelaire, Verlaine i Rimbaud. Szczególnie ten ostatni, prototypowy „teenager”, rozpala wyobraźnię, bo pisze wszystkie wiersze za młodu. Pojawia się więc cała rzesza hipsterów – naśladowców nowego stylu życia poetów, tworzących załączki bohemy artystycznej. 100 lat później wychodząca z wojennej zapaści cywilizacja Zachodu produkuje już kontrykulturę na skalę masową, tak jak telewizory. Zaczyna się od owych nominalnych „hipsterów”, czyli wielkomiejskich fanów jazzu w USA, za którymi idą „bitnicy”, białasy fascynujące się czarną muzyką i właśnie francuskimi poetami. Wbrew obiegowej opinii Jack Kerouac, Allen Ginsberg i William Burroughs, żeby wymienić trzech najważniejszych, nie są antyakademiccy. Ich koncepcja „życiopisania” (aby użyć sformułowania ich polskiego odpowiedni-

ka – Mirona Białoszewskiego) jest rezultatem zarówno skomplikowanych biografii, jak i studiów nad przeszłością na uniwersytecie. A potem „W drodze” Kerouaca staje się lekturą inicjacyjną dla buntowniczych straceńców lat 60.: Janis Joplin schodzi na złą drogę po jej przeczytaniu, a Jim Morrison chce być skrzyżowaniem Ginsberga i Rimbauda epoki kultury masowej. Za nowymi przeklętymi podążają już miliony młodych ludzi szukających nowości. I znowu, jak w Lascaux, styl życia hipisów z elitarnego staje się powszechny.

Kolejne muzyczno-kulturowe rewolty, jak punk w latach 70. i grunge w 90., są nie tylko nowościami, lecz także kontynuacjami. Kurt Cobain nie tylko ćpa, ale też czyta, szczególnie namiętne „Nagi lunch”, i dlatego nagrywa z Burroughsem jedno z jego opowiadań. Ekranizacje bitnikowskich biografii rodem z Hollywood pokazują, jak bardzo mechanizm kultury przyspiesza i ile produkuje. Oskarżani kiedyś przed sądami za niemoralność homo- i biseksualni wyklęci prozy i poezji trafiają do fabryki snów i są reprodukowani w milionach kopii. Dziś każdy chciałby być Rimbaudem, ale w tłumie ambitnej bohemy XXI wieku ciężko znaleźć swoje Lascaux, skoro prawie każdy szuka jaskini poza społeczeństwem.

Historia kontrykultury wzięta pod mikroskop jest przekazywanym przez pokolenia kodem genetycznym kolejnych nawiązań. Struktura zmiany jest zawsze taka sama, treść podobna – bycie poza „systemem”. Jednak tylko pierwsi poeci przekłęci z epoki lodowcowej nikogo nie naśladowali, muszą wymyślić coś naprawdę nowego. Po nich cywilizacja żywi się już zawsze sama sobą, w twórczym mechanizmie ciągłego samoodświeżania przez bunt. Ktoś musi stanąć z boku, aby znaleźć odbiegające od standardu spojrzenie na społeczeństwo, które da ludziom nową energię do rozwoju. Dziś nie tak spektakularnie jak kiedyś, ale przecież ciągle ktoś to robi, choćby tylko w Internecie albo na własnym podwórku. Warto przedtem poczytać trochę poezji z XIX wieku, a z tym coraz większy kłopot. ☞

Autor jest dziennikarzem i pisarzem. Prowadzi blog maxmasala.blox.pl.

ARTUR OSIECKI

Euroliderzy poszukiwani

Można już zgłaszać kandydatów na **Euroliderów 2013** w konkursie Ministerstwa Rozwoju Regionalnego.



Euroliderzy to osoby, które dzięki skutecznemu wykorzystaniu pieniędzy europejskich oraz zaangażowaniu na rzecz lokalnego i regionalnego rozwoju zmieniają na lepsze najbliższe otoczenie, aktywizując przy tym mieszkańców lokalnych wspólnot. Takie osobowości są wyróżniane przez Ministerstwo Rozwoju Regionalnego w konkursie Eurolider organizowanym od 2009 r. Jego tegoroczna, piąta już edycja wystartowała i ministerstwo przyjmuje zgłoszenia kandydatów.

W pierwszej edycji nagrody Euroliderom wręczyli Elżbieta Bieńkowska, minister rozwoju regionalnego, oraz premier Donald Tusk. – Polską jest jednym z liderów wykorzystania funduszy europejskich. Ten sukces to ogromny wysiłek wielu instytucji oraz ludzi. Dziś poznaliśmy bohaterów codziennej pracy ze środkami europejskimi – mówił wtedy premier. Tymi bohaterami byli Dorota Bójko, inspektor ds. obsługi rady gminy, samorządu mieszkańców oraz spraw UE i zamówień publicznych w Urzędzie Gminy Gródek, Dariusz Dąbek, prezes Stowarzyszenia „Lokal-

na grupa działania – wokół Łysej Góry” i kierownik Referatu Rozwoju Zasobów Ludzkich i Turystyki Urzędu Gminy Bieliny, oraz Bożena Zarecka, radna miejska w Łobzie i prezes Stowarzyszenia Przyjaciół Karwowa, która wygrała również w głosowaniu internautów.

W kolejnych latach wygrywali: Michał Tokarski, główny specjalista w Urzędzie Gminy w Rozprzy, Iwona Janicka, założycielka Fundacji Aktywności Lokalnej, Sławomir Białas, kierownik Referatu Rozwoju Lokalnego i Programów Pomocowych w Urzędzie Miasta i Gminy Nowa Dęba (laureaci w 2010 r.), Joanna Kuchta, kierownik Biura Rozwoju i Inicjatyw Europejskich w Starostwie Powiatowym w Inowrocławiu, Ryszard Zwójewski, kierownik Referatu Programów Rozwojowych w gminie Prudnik, oraz Krzysztof Początek, wiceprezydent Opola (laureaci edycji 2011), a także Izabela Joachimczak, podinspektor ds. zamówień publicznych, promocji i rozwoju gminy w Urzędzie Gminy w Wilczynie, Lidia Kozieł-Siudut, kierownik zespołu ds. pozyskiwania funduszy w Muzeum Narodowym w Krakowie, Krzysztof Mar-

Euroliderzy – laureaci poprzedniej edycji konkursu organizowanego przez Ministerstwo Rozwoju Regionalnego.

gol, prezes Nidzickiej Fundacji Rozwoju Nida, oraz Jolanta Kopeć, kierownik Biura Partnerstwa i Funduszy w Urzędzie Miasta Piotrkowa Trybunalskiego, która zwyciężyła też w głosowaniu internetowym (laureaci 2012).

Wszyscy wymienieni zrealizowali od kilku do kilkudziesięciu przedsięwzięć, które przyczyniły się do rozwoju bliskich im gmin, miast i regionów. Jednak aby pieniądze europejskie tam trafiły, trzeba najpierw przygotować dobre projekty i zrealizować je z korzyścią dla społeczności lokalnych. Ministerstwo również w tym roku chce wyróżnić osoby, którym się to udało. Na kandydatury w tegorocznej edycji konkursu resort rozwoju czeka do końca września. Zgłoszenia można przysyłać pocztą (dokumentacja na stronie www.eurolider.gov.pl). Spośród wszystkich zgłoszeń kapituła konkursu wybierze do 10 nominowanych, a następnie wyselekcjonuje spośród nich trzech laureatów. Ponadto jednego laureata wybierają Euroliderzy z poprzednich edycji konkursu, a jeden wyłaniany jest w głosowaniu internetowym.



MINISTERSTWO
ROZWOJU
REGIONALNEGO

UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ
ROZWOJU REGIONALNEGO



Cykl informacyjny realizowany w ramach konkursu dotacji organizowanego przez Ministerstwo Rozwoju Regionalnego współfinansowanego ze środków Unii Europejskiej w ramach Programu Operacyjnego Pomoc Techniczna.

Sięgnij po informacje o Funduszach Europejskich na stronach:
www.funduszeuropejskie.gov.pl

Napisz, zadzwoń lub odwiedź najbliższy Punkt Informacyjny Funduszy Europejskich: www.funduszeuropejskie.gov.pl/punkty

Mariusz Ziomecki

Bóg i historia, nikt więcej



Temat odpowiedzialności zaniknął. Wolimy płakać na grobach bohaterów, niż rozliczać tych, co posłali ich na śmierć.

Mamy sierpień, w Warszawie syreny ogłosiły powstanie. A za małą chwilę heinkle sypną bombami w telewizji i będziemy znów przeżywać kampanię wrześniową. Co roku odhrywa się to z grubsza tak samo: żenujące przepychanki na wojskowych Powązkach, a w eleganckim świecie spór między romantykami i pragmatykami, niekończąca się wojna pozycyjna wzdłuż tych samych frontów historycznego myślenia.

Wybuchu powstania można było uniknąć albo wcale nie, bo patriotyczna młodzież akowska rwała się do czynu. Zryw wbił nas w ziemię – albo przeciwnie, danina krwi uratowała Naród. Jałowa rzeź, polski intelektualny Verdun. Naszym najważniejszym wnioskiem z historii jest brak wniosków.

Z kampanią wrześniową będzie nawet gorzej. Bo w przypadku powstania przynajmniej trochę gadamy o chybotliwych rachubach politycznych i o koszarnej dysproporcji w kosztach akcji: po naszej stronie obrócone w perzynę miliony, a po stronie niemieckiej straciła około 4 tys. personelu wojskowego i kilka pojazdów opancerzonych. Przynajmniej część polskiej opinii odmawia uznania tego wyniku za sukces. Tymczasem w rocznicę września nie będzie nawet namiastki historycznej dyskusji, analiz klęski.

Politycy i generalicja ruszą pod pomniki, obłowią się kwaciarnie. Gładko popłyną frazesy o heroicznej obronie, poświęceniu żołnierza i barbarzyństwie hitlerowskiego najeźdźcy. Ani słowa o tym, jak inteligentnie ówczesni polscy przywódcy, wojskowi i polityczni, wykonali zadanie przygotowania oraz przeprowadzenia obrony kraju.

Nawet za komuny, gdy propaganda atakowała powstanie, przegraną wojnę obronną traktowano delikatnie. Dla mojego pokolenia problem września wyczerpywały emocjonalne wersje Gałczyńskiego o żołnierzach z Westerplatte, co „czwórkami do nieba szli”, i Broniewskiego o krwi, której ojczyźnie nie odmówi nikt, bo „wyszczyliśmy ją z pierśi i z pieśni”. Kuliliśmy to na pamięć w szkole i puchliśmy z dumy, mali członkowie bohaterskiego narodu.

Utrwaliło się przekonanie, że we wrześniu 1939 r. przegraliśmy, bo przewaga Niemców była miażdżąca. A i tak bro-

niliśmy się super, „dłużej niż Francja”. Historycy wojskowości, szczególnie anglosascy, wskazują jednak, że zasoby wojskowe obu krajów były jesienią 1939 r. zbliżone, choć nacisk Niemców na lotnictwo i broń pancerną dawał im the upper hand. Mobilizacja rezerwistów w sierpniu była jednak dramatycznie spóźniona (wahania polityków) i chaotyczna. Tylko około połowy polskich żołnierzy zdołało dotrzeć do swoich oddziałów. Co gorsza, plan obronny był najgorszy z możliwych, zakładał rozłożenie licznych armii wzdłuż wszystkich granic kraju i zażartą obronę każdej pędzi ojczystej ziemi. Niemiecy teoretycy „wojny błyskawicznej” publikowali już od połowy lat 30. artykuły, a nawet popularne książki o taktyce klinów pancernych; najsłynniejsza z nich to „Achtung – Panzer!” Heinza Guderiana. Polska generalicja czytała, ale wierzyła w „czołgi z tektury”. Dali się zaskoczyć. Ups!

Gorzko i dużo mówiono o tych sprawach bezpośrednio po klęsce, szczególnie na emigracji. Z czasem jednak, z powodu naszego tajemniczego odruchu kulturowego, temat odpowiedzialności zaniknął. Wolimy płakać na grobach bohaterów, niż rozliczać tych, co posłali ich na śmierć. Cofamy się przed personifikowaniem odpowiedzialności.

Słynna formuła z konstytucji kwietniowej z 1935 r. o odpowiedzialności „przed Bogiem i historią” jest fikcją. Nie będę mówił za Boga, ale przed historią żaden polski wódz faktycznie odpowiedzialności nie poniósł. Endecka elita, z marszałkiem i naczelnym wodzem Edwardem Rydzem-Śmigłym na czele, jednym z największych przegranych w naszej historii, właśnie wjeżdża do narodowego panteonu.

Sprawcy późniejszych polskich klęsk, porażek, skuch i zwykłej partaniny u steru państwowej nawy znajdują w tym nie lada otuchę. Wszyscy ci geniusze w mundurach i w garniturach, od autorów stanu wojennego po twórców sknoczonych reform czy prokuratorskiej republiki IV RP (nie piszę nazwisk, bo znudziło mnie przesiadywanie w sądach), muszą tylko uzbroić się w cierpliwość. Dostaną swoje pomniki i ulice.

A my – kolejne wpadki. To jest cena, jaką zawsze płaci społeczność, która się wzdryga przed przykrą prawdą i nie przerywa cyklu nieudacznictwa.

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem. U nas pisze o cywilizacji.

ROZMAWIA ANNA PRZYBYLL

Ratujcie swoje mózgi

Nie palisz, nie pijesz, nie używasz. Jesteś czysty? Niekoniecznie. Terapeutka **Anitra Egglar** przekonuje, że w dzisiejszym świecie prawie wszyscy jesteśmy uzależnieni od Internetu.



Niemiecki wokalista Tim Bendzko śpiewa w jednej z piosenek „Muszę jeszcze sprawdzić 148 maili, bo kto wie, co mi się przydarzy, skoro dzieje się tak dużo. Potem muszę jeszcze tylko uratować świat, a później znowu będę przy tobie”. – Gdy w całości oddajemy się w niewolę nowoczesnym technologiom, na pewno nie zdążymy uratować świata ani nie spotkamy się z ukochaną osobą – mówi Anitra Egglar,

zwana cyfrową terapeutką. Po tym, jak zaledwie przez półtora roku wysłała ponad 3,5 mln e-maili i większość czasu marnowała na kompletnie bezcelowe wędrówki po zakamarkach Internetu, postanowiła zrationalizować swoje podejście do sieci. W dwóch przebojowych książkach („Email/Facebook czynią głupim, chorym i biednym”) przekonuje, że nie warto być niewolnikiem nowoczesnych technologii.

Określa się pani jako „terapeutka cyfrowa”. Kto dziś potrzebuje kuracji odwykowej? Prawie wszyscy internauci.

Naprawdę?

Jako dowód przedstawię garść statystyk. Ocenia się, że przy globalnej populacji liczącej ok. 7 mld ludzi każdego dnia wysyłanych jest 200 mld e-maili. Dzienna sprzedaż smartfonów jest wyższa niż liczba urodzonych dzieci. 4,8 mld ludzi posiada telefon komórkowy, a tylko 4,2 mld szczoteczkę do zębów. 68 proc. z nas odnosi fałszywe wrażenie, że telefon w kieszeni wibruje, choć tak naprawdę nikt do nas nie dzwoni. Młody człowiek, który dziś dorasta, do swoich 75. urodzin spędzi osiem miesięcy na usuwaniu zbędnych wiadomości. Jeżeli ktoś spędza dwie godziny dziennie na Facebooku, w ciągu całego życia poświęci na to sześć lat. Czy mam kontynuować?

OK, Houston. Mamy problem. Skoro tak, poproszę o diagnozę. Na co dokładnie cierpimy jako użytkownicy Internetu?

Przede wszystkim na „szaleństwo skrzynki odbiorczej”. Pojawia się ono wtedy, gdy twórcza praca zmienia się w nieustanne śledzenie i porządkowanie skrzynki odbiorczej oraz planowanie powiązanej z nią agendy. Kalendarz w komputerze to bardzo przydatna rzecz, ale nie wtedy, gdy pół dnia zabiera mi wypełnienie jego pustych przestrzeni. Gdy to e-maile zamiast rozsądku dyktują, co mamy robić w następnej kolejności, nasza uwaga jest rozproszona,

a my ciągle reagujemy, zamiast naprawdę działać.

Dlaczego tak się dzieje?

Jesteśmy bezustannie narażeni na wpływ ogromnej ilości informacji, które chcemy natychmiast przyswoić. Każdy z nas ma kilka służbowych i prywatnych kont pocztowych, a do tego odbiera wiadomości na Facebooku czy portalach towarzyskich. To trochę tak, jakby za każdym razem, gdy ktoś wysłał do nas analogowy list – krótki czy długi, ważny czy śmieciowy – natychmiast do naszych drzwi dzwonił listonosz. Gdy pojawia się informacja z alertem „masz wiadomość”, proces myślowy momentalnie się zatrzymuje i skupia na nowej treści, a poprzednią porzuca.



ANITRA EGGLER

(ur. 1973 r.) autorka książek, wykładowca uniwersytecki oraz ekspert od komunikacji internetowej. Jej imię pochodzi z dramatu Ibsena „Peer Gynt”, gdzie Anitra to uwodzicielska córka wodza Beduinów. Prowadziła wykłady z zakresu „terapii cyfrowej”, m.in. dla firm IBM, Procter & Gamble, Daimler, Tchibo, KPMG czy L'Oréal. Jej motto to „Be a warrior, not a worrier” (bądź wojownikiem, zamiast się zamartwiać).

Co z pozostałymi internautami, którzy nie używają tak często e-maila?

Ich też dotyka choroba, którą nazwałam „syndromem bezsensownego surfowania”. Googlujemy pierwszą rzecz, która nam przyjdzie do głowy. Później naszą uwagę przykuwa reklama albo ładny obrazek i po godzinie bezmyślnego oglądania kolejnych stron oraz filmików już nie możemy sobie przypomnieć, po co właściwie otworzyliśmy przeglądarkę. Można to porównać do różnicy między „chodzeniem po sklepach” a „wyjściem po zakupy”. Jeśli idę się poszpendać po galerii handlowej, to przynajmniej dobrze robić to z pełną świadomością i w wolnym czasie. Natomiast jeśli planuję podczas przerwy obiadowej kupić szminke w pobliskiej drogerii, to przecież nie zaczynam przymierzać sukienek w sąsiednim sklepie z odzieżą, bo akurat była na nie promocja, a następnie nie odwiedzam sklepu zoologicznego, bo zobaczyłam na wystawie słodkie króliczki. A tak właśnie wygląda bezsensowne przeglądanie Internetu.

Dlaczego pani zdaniem jest to tak szkodliwe?

Po pierwsze, trzeba zrozumieć, że błaskanie się po stronach niezwiązanych

z pracą to okradanie pracodawcy i marnowanie własnego cennego czasu, którego nikt nam nie zwróci. W ramach relaksu o wiele zdrowiej jest poplotkować chwilę z kolegą, niż stukać w klawiaturę. Przy czym w większości korporacji zarówno czas pracy, jak i działalność online są szczegółowo nadzorowane, więc samodyscypliny szczególnie potrzebują wolni strzelcy czy osoby pracujące bez stałego monitoringu. W czasie wolnym również szkoda marnować cenne chwile na bezsensowne klikanie.

Skoro to takie bezsensowne, to dlaczego racjonalny umysł oszukuje sam siebie i wynajduje preteksty do „kilku minutek na Twitterze”?

Większość osób „żyje w skrzynce”, bo poza komputerem mają smartfon, który zabierają nawet do toalety, aby móc odebrać wiadomość w czasie rzeczywistym. Tak postępuje aż 40 proc. ludzi, to jest choroba naszych czasów. Internet wytwarza w nas sztuczny wewnętrzny przymus, aby przyswajać wszelkie wydarzenia na bieżąco i reagować na nie „lajkiem” lub dezaprobatą. Kiedyś, w czasach zdominowanych przez gazety, ludzie czytali o ważnych zdarzeniach po ich przeminięciu, poznawali całokształt sprawy okraszony analizą. Dziś zbieramy strzępy informacji, nasz umysł śpi i nikogo nie interesuje pogłębiona treść. To gra o to, żeby szybko coś wiedzieć i natychmiast o tym zapomnieć.

Jak objawia się chorobliwe zachowanie związane z e-mailami?

Wiele osób cierpi na natręctwo ciągłego odświeżania skrzynki, choć mają ustawione automatyczne sprawdzanie co kilka minut. Co kilkanaście sekund klikają na przycisk „odbierz” i robią to tak długo, aż pojawi się nowy e-mail. Psychiatra Edward Hallowell z Harvardu nazwał to zjawisko syndromem deficytu uwagi (ADT – Attention Deficit Trait). Efektem ADT jest zanik zdolności koncentracji i wstydlive poczucie, że pomimo ciągłego bycia podłączonym nie mamy żadnej wiedzy. Nie jest łatwo wyjść z takiego uzależnienia,

a cierpi na nie nawet co drugi człowiek używający w pracy Internetu. Kolega z ADT, zamiast wstać od biurka i spytać mnie, czy wybiorę się z nim na obiad, pisze mi wiadomość na czacie. Jeśli długo, czyli przez minutę, nie reaguję, bo na przykład robię coś innego, dzwoni do mnie i pyta nie o obiad, ale o to, dlaczego nie odpisałam na jego wiadomość. Możemy się z tego śmiać, ale to jest dziś komunikacyjna codzienność.

Pani wnioski są poparte dowodami naukowymi czy opierają się tylko na obserwacjach praktycznych?

Regularnie pojawiają się badania potwierdzające moje obserwacje. Niektóre z nich są doprawdy zaskakujące. Kilka lat temu Uniwersytet Londyński zbadał wpływ różnych nośników komunikacji, takich jak e-maile, SMS-y i telefony, na naszą koncentrację. Efekty były zatrważające: umysły bombardowane tymi nośnikami pracowały dużo mniej efektywnie od grupy kontrolnej, która paliła wcześniej pokaźne ilości marihuany. Amerykanie z kolei ustalili, że pracownik umysłowy rozprasza się średnio co 11 minut, a po otrzymaniu e-maila potrzebuje 25 minut, żeby się skupić i wrócić do przerwanej czynno-

ści. To tak jakby maratończyk co parę chwil musiał się zatrzymywać, aby związać sznurowadło.

Jakie praktyczne rady ma pani dla naszych czytelników?

Takie same jak dla moich słuchaczy, którym na początek zalecam napisanie mowy pogrzebowej na własny temat, uwzględniającej czas poświęcony na pisanie e-maili, czatowanie i przeglądanie stron internetowych. To działa jak terapia szokowa. Wyjaśniam im, że najgorsze, co można zrobić ze swoim życiem, to być przez cały czas online. Taka postawa prowadzi do niewolnictwa, a co gorsza, przyzwyczajają przełożonych i przyjaciół, że na każdą zaczepkę reagujemy z miejsca, również w weekendy i na urlopie. Namawiam też ludzi, aby tuż po obudzeniu nie chwyтали od razu za telefon i nie biegli do komputera. To, co w nim jest, będzie tam również za godzinę. Rano lepiej wykonać ćwiczenia fizyczne, spokojnie zjeść śniadanie i porozmawiać z domownikami. Później będzie czas na porządkowanie setki nieprzeczytanych e-maili.

A w pracy?

W normalnych warunkach pocztę wystarczy sprawdzać co 60 minut. Warto wyznaczyć sobie na to stałą porę, np. zawsze 20 minut po pełnej godzinie. W biurze prywatne wiadomości i Facebooka najlepiej zupełnie wyłączyć lub sprawdzić tylko raz, przykładowo podczas lunchu. Z kolei po wyjściu z pracy kategorycznie należy unikać zaglądania do skrzynki służbowej. Doradzam, aby w domu po zakończeniu przeglądania poczty czy serwisów społecznościowych wylogować się lub przynajmniej wyłączyć akustyczne i optyczne sygnały nowego e-maila w komórce i w komputerze.

Od czego niewolnik telefonu powinien zacząć terapię?

Na początek proponuję jeden dzień detoksu od telefonu – wyłączamy go i już. Nie sam dzwonek czy Internet, ale całe urządzenie. Największym szokiem dla

niewolnika telefonika bywa sytuacja, gdy następnego dnia odnajduje na wyświetlaczu zero nieodebranych rozmów i trzy wiadomości-śmieci. Ale tak to już jest, że mamy skłonność do przeceniania zarówno naszej popularności, jak i przydatności. Świat rzadko popada przez nas w ruinę, a nieporuszony problem często rozwiązuje się sam, bez naszego udziału.

Jak e-mailować racjonalnie?

Na początku warto poświęcić czas na przeczytanie instrukcji obsługi własnej skrzynki pocztowej, która nauczy nas mądrze sortować i archiwizować wiadomości. Aby nie dublować e-maili, sprawdzajmy je albo tylko online, albo w Outlooku na biurku, ale wtedy bez pozostawiania kopii na serwerze. Jasno zdefiniowane foldery w skrzynce to konieczność. Sortowanie poczty powinno być ostatnią czynnością każdego dnia przed zakończeniem pracy. W prywatnej poczcie też dobrze jest mieć porządek.

Wysyłać warto tylko to, co samemu chciałoby się otrzymać. Czyli żadnych łańcuszków szczęścia, e-maili po godzinie 20, w weekendy czy z urlopu. Każdy, kto o 30 proc. zredukuje to, co wysyła, automatycznie otrzyma mniej wiadomości. Zanim klikniesz „wyślij”, zastanów się, czy to, co piszesz, ma sens i zawiera całość komunikatu. Inaczej adresat będzie musiał natychmiast zadawać dodatkowe pytania.

Ważny jest też pasek tematu. E-maile to nie slogany pod zdjęciem na serwisie plotkarskim, które mają zachęcić do przeczytania całego tekstu na kolejnej stronie. Tytuł powinien składać się maksymalnie z sześciu słów i być w trybie przypuszczającym, bez wykrzykników i uśmieszków. E-mail powinien być zatytułowany jak artykuł w piśmie branżowym, a nie jak w tabloidzie. Otwieram go, bo wiem, że jest skierowany do mnie, a nie dlatego, że wzbudził moją ciekawość.

Co robić, gdy wola słabnie?

Dla wyjątkowo opornych pomocą mogą być bezpłatne programy moni-

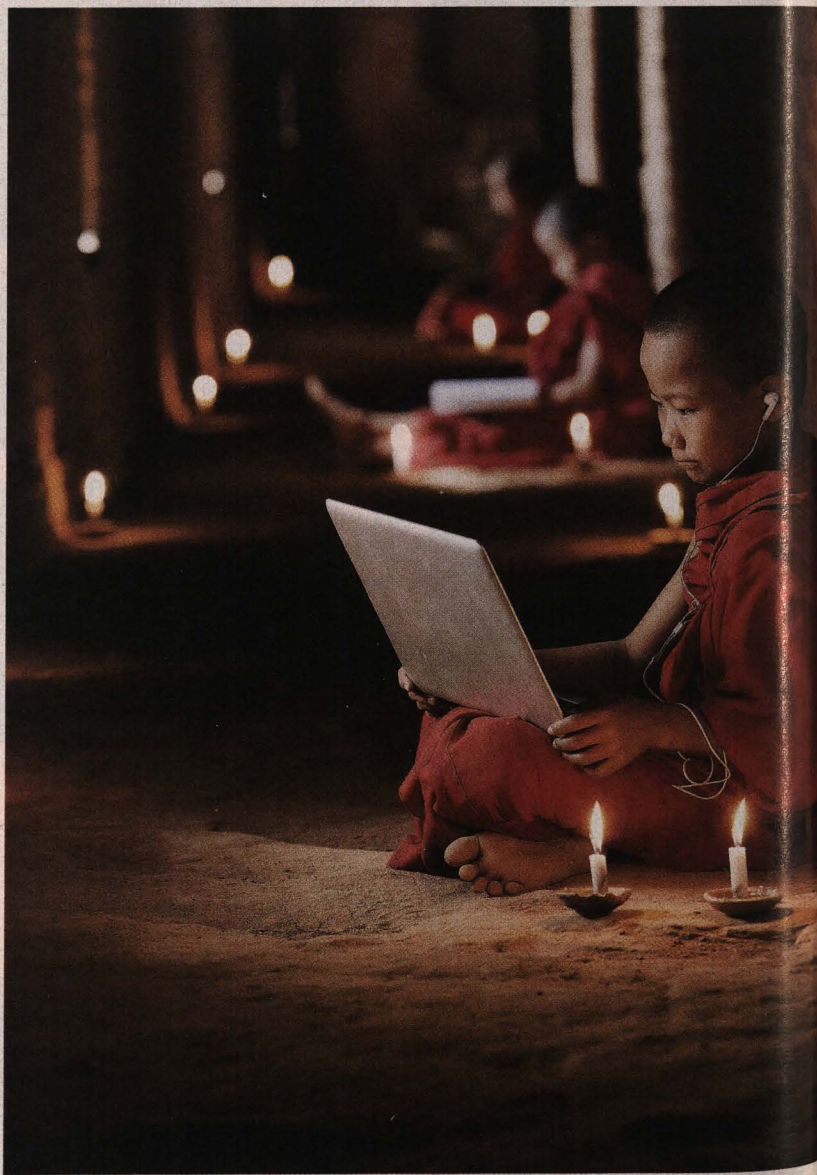
Test na „szaleństwo skrzynki odbiorczej”

- Jeśli od trzech do pięciu poniższych zdań pasuje do Ciebie, potraktuj to jako sygnał alarmowy. Jeśli przekroczyłeś pięć, czas na odwyk.
- Pracę przerywa Ci częściej alert nowej wiadomości niż potrzeba wyjścia do toalety.
- Otwierasz e-maile natychmiast i odpisujesz nawet wtedy, gdy akurat zajmujesz się pilnym zadaniem, które musisz za chwilę ukończyć.
- Na pierwsze e-maile i inne wiadomości odpisujesz tuż po przebudzeniu, w łóżku.
- Więcej informacji komunikujesz swoim znajomym przez sieć niż osobiście.
- Nie możesz wytrzymać dłużej niż 5 minut bez odświeżenia skrzynki.
- Łatwiej przychodzi Ci wyrażanie uczuć przez e-mail lub czat niż na żywo.
- Stajesz się nerwowo bądź agresywny, gdy długo nie masz dostępu do e-maila lub komunikatora.
- Masz poczucie, że dużo komunikujesz się w sieci, a jednocześnie nie wiesz, co się dzieje na świecie.

torujące czas spędzony w Internecie. Polecam www.rescuetime.com, który jest doskonałym narzędziem pokazującym statystykę czasu spędzonego w sieci i przeglądanych treści. Czym innym jest „wiedzieć”, a czym innym uczciwie spojrzeć po tygodniu na spis oglądanych stron i tytuły e-maili, które napisaliśmy. Większość uzależnionych mówi wtedy: „Co takiego? To niemożliwe, że straciłem na te bzdury aż tyle czasu!”.

Jak indywidualne marnowanie czasu przekłada się na spadek produktywności całej gospodarki?

Firma doradcza Bassacs wykonała odpowiednie badanie już w 2008 r., gdy gwałtownie rosła popularność smartfonów. Okazało się, że smartfon w rękach przeciętnego człowieka powoduje u niego ok. 130 minut rozkojarzenia dziennie. Według wykonanych następnie obliczeń strata z tego tytułu przekładała się w przypadku amerykańskiej gospodarki na kwotę 588 mld dol. rocznie. Dziś mamy znacznie bardziej zaawansowane telefony i większy wybór aplikacji, więc wnioski pozostawiam czytelnikom „Przekroju”. ☞



SCOTT STULBERG/CORBIS

Cisza, proszę!

ANDRZEJ HOŁDYS

Wakacje powoli się kończą. I bardzo dobrze. Stada homo powrócą do miejskich matriksów, a czas wyjazdu nadszedł dla tych, którzy chcą **poszukać prawdziwego kontaktu z naturą**.

mikrofon. Oceniają oni stan środowiska na podstawie najcichszych nawet odgłosów natury. Dla nich nawet szelest, którego źródłem jest człowiek, jest zanieczyszczeniem. Dopiero w ciszy można bowiem usłyszeć las, łąkę czy drzewo. A także siebie – dodaliby zwolennicy głębokiej ekologii, przekonujący, że cisza jest każdemu człowiekowi potrzebna do równowagi psychicznej, a kto od ciszy ucieka lub chce ją zakrzyć, ten ucieka od siebie lub chce siebie zakrzyć.

Z tym drzewem to nie przesada. David Dunn, jeden z badaczy zajmujących się ekologią krajobrazów dźwiękowych i równocześnie kompozytor, przykładał zaprojektowane przez siebie mikrofony kontaktowe do kory chorych sosen, a następnie spędzał całe dnie, nagrywając korniki pożerające drzewa od środka. W Internecie można znaleźć płytę „The Sound of Light in Trees: The Acoustic Ecology of Pinyon Pines”, zrobioną z tych nagrań. To prawdziwie hipnotyczna symfonia chrupa-

Beskid Niski to mekka wszystkich fanów wyczynowego odosobnienia, którzy szukają kontaktu z przyrodą, ciszą i śpiewem ptaków.

nia, trzasków i zgrzytów wydawanych przez owady zjadające drewno. Dunn nawiązał współpracę z entomologami i wspólnie opracowali metodę oceny aktywności szkodników na podstawie intensywności wydawanych przez nie dźwięków. Inny jego projekt polegał na nagrywaniu odgłosów owadów w stawie – w tym celu wkładał mikrofony pod wodę i zapadał w całonocne odrętwienie. Powstało z tego godzinne nagranie pt. „Chaos and the Emergent Mind of the Pond”.

Kolejnym przedstawicielem tej rzadkiej profesji jest Bernie Krause. W latach 60. był on jednym z pionierów muzyki elektronicznej w USA, jego syntetyzator słyhać m.in. w „Dziecku Rosemary” i „Czasie apokalipsy”, a następnie zrobił doktorat z bioakustyki i zjeździł świat, nagrywając odgłosy kilkunastu tysięcy gatunków zwierząt, zawsze w ich naturalnym otoczeniu. Krause podsłuchiwał lasy deszczowe, tajgi, tundrę, rafy koralowe, morza arktyczne, pustynie, górskie łąki, mo-

kradła, jeziora. W czerwcu tego roku wystąpił na konferencji TEDGlobal w Edynburgu. Puścił tam między innymi nagrania z dwóch raf: zdrowej i chorej. Pierwsze nagranie zadziwiało bogactwem dźwięków wydawanych przez niezliczone gatunki zwierząt zamieszkujących rafę, na drugim słyhać było kilka smutnych krewek i głuchy szum morskich fal. – To świadectwo zagłady – komentował. Krause ocenia, że około połowy posiadanych przez niego nagrań dokumentuje świat albo już nieistniejący, albo zagłuszony przez ludzi.

Nafciarze i modrowronki

Czasami zmiany w przyrodzie są tak subtelne, że tylko mikrofon potrafi je wychwycić. W książce „The Great Animal Orchestra”, którą Krause wydał w zeszłym roku, znajdują się opisy dwóch nagrań z tej samej łąki w górach Sierra Nevada. Pierwsze pochodzi z lat 80., gdy łąkę otaczały pierwotne lasy górskie, drugie powstało dwie dekady później, gdy w lasach przeprowadzono

że Polska to nie Belgia albo Holandia, gdzie na każdym kilometrze kwadratowym mieszka kilka razy więcej ludzi niż u nas. W tych krajach trzeba się naprawdę nieźle najeździć, aby znaleźć ustronne miejsce. Tymczasem w Polsce wystarczy skręcić w bok z ruchliwej drogi i przejechać 15–20 km, aby odkryć coś dla siebie. Na Pomorzu, Mazurach, Podlasiu, Rostoczu, w Górach Świętokrzyskich czy we wschodniej części polskich Karpat znajdziecie wiele malowniczych zakątków, pustych nawet w środku sezonu turystycznego.

A gdy już odkryjecie takie miejsce, postarajcie się nie paplać o jego urodziny na prawo i lewo. Lepiej losu nie kusić, bo a nuż diabeł hałasu zechce was odwiedzić w waszym czarownym raju. Na szczęście prawdopodobieństwo jest niewielkie, ponieważ – i to jest druga miła wiadomość – większość rodaków woli podczas urlopu przebywać w jazgocie i tłoku, tłocząc się i jazgocząc. Cisza i kontemplowanie uroków natury są dla nich synonimem kompletnej

nuuudy. I bardzo dobrze! Dzięki temu ustronne jeziorko na końcu leśnej drogi, w którym zażywamy kąpeli i łowimy ryby, jeszcze długo pozostanie nieskażone hałasem.

No, prawie nieskażone. W cywilizowanej, czyli ogołoconej z dzikiej przyrody Europie prawie nie ma już miejsc, gdzie można przez pół dnia nie usłyszeć i nie zobaczyć ludzi lub przejawów ich aktywności – szumu pojazdów mknących po odległej drodze, gwizdu pociągu, buczenia samolotu. Naturalna cisza, wolna od ingerencji człowieka, powoli staje się dobrem luksusowym. I być może te nieliczne miejsca, gdzie wciąż można ją spotkać, powinno się chronić tak, jak chroni się rzadkie zwierzęta, rośliny i krajobrazy.

Szept lasu

Takiego zdania są przedstawiciele elitarniej dziedziny nauki zwanej ekologią krajobrazów dźwiękowych (ang. soundscape ecology). Głównym narzędziem ich pracy jest niezwykle czuły

W porównaniu z większością europejskich krajów w Polsce uchowało się sporo cennych przyrodniczo terenów. Nie brakuje urokliwych zakątków, w których odnajdziecie ciszę i nasycicie wzrok kojącymi widokami wody, łąk i lasów. Przykłady? Proszę bardzo: Tatry, Karakonosze, Kazimierz Dolny, Wielkie Jeziora Mazurskie, plaże bałtyckie. To oczywiście żart. Jeśli naprawdę chcecie zwać od tłumów, dajcie sobie spokój z tymi miejscami. Wszystkie one odzyskają urok po sezonie. Teraz ciszy tam nie znajdziecie. Są zatłoczone niczym krakowski rynek albo stołeczna Marszałkowska w ostatni weekend przed Bożym Narodzeniem.

Skok w bok

Zamiast tego pojedźcie tam, gdzie oczy nie będą was bolały od oglądania tłumu bliźnich, uszy – od ich słuchania, a łokcie od rozpychania się pomiędzy nimi. To łatwiejsze, niż myślicie. Pierwsza optymistyczna wieść jest bowiem taka,



MACIEJ KACZANOWSKI

Lessowe wąwozy Rostocza to labirynt tylko dla znawców terenu.

ludzia w porównaniu z Tatrami czy Karkonoszami.

Nie dokarmiajcie misia

Fanom bardziej wyczynowego odosobnienia polecamy wschodnią część Karpat. Miejsce odludnych jest tu bez liku, na czele z Beskidem Niskim, mekką wszystkich poszukiwaczy spokoju. Pogórze Przemyskie chronione jest w całości jako park krajobrazowy. Lasy stanowią dwie trzecie jego powierzchni, tak jak na Rostoczu składają się głównie z buków i jodeł, a żyją tu wilki, rysie, żbiki, orły przednie, orliki krzykliwe, gadożery... Czasem zdarza się głodna niedźwiedź, przed którą nie ucieknie nawet na rowerze... I wszystko to kilkanaście kilometrów od Przemyśla, w objęciach Sanu przebiegającego się szerokimi zakolami przez zalesione wzgórza.

Ostatnia (z braku miejsca) jest na tej subiektywnej liście Puszcza Borecka. Znajduje się ona w pobliżu granicy z obwodem kaliningradzkim, czyli jakieś 600 km na północ od miejsca, w którym byliśmy ostatnio. Stanowi pozostałość olbrzymiej Puszczy Galindzkiej, która przestała istnieć w XVII w. Dawniej tereny te były niemal bezludne, ale i dziś niewiele tu ludzi. Droga do celu jest prosta: należy jak najszybciej bryknąć z hałaśliwego Giżycka na północ i w połowie drogi do Węgorzewa skrócić w prawo. Po przejechaniu około 10 km wjedziemy w rozległy, prastary kompleks leśny, w którym odnajdziemy m.in. dęby, graby, lipy, jesiony, świerki i olchy. Puszcza Borecka szczyci się najczystszym powietrzem w Polsce, a główną jej atrakcją jest stado żubrów swobodnie włóczących się po lesie. Zazwyczaj unikają one ludzi, ale ponieważ specjalnie ich się nie boją, o przypadkowe spotkanie nie trudno.

Stojąc w ostępach Puszczy Boreckiej, można odnieść wrażenie, że cofnęliśmy się o tysiąc lat – do czasów, gdy niemal nad całą Europą szumiał taki las. Hałaśliwe miasta, w których jeszcze wczoraj przebywaliśmy, zdają się odległe jak inne planety, a wszystkie nasze prywatne oraz geopolityczne imponderabilia maleją do prawdziwego rozmiaru, czyli do zera. ▢

selektywną wycinkę drzew. Łąka nadal istniała i nawet wygląda podobnie jak wcześniej. Ale nie brzmi już tak samo. Krause ocenił, że ubyłoby z niej około dwóch trzecich dźwięków. Badacz narzeka, że dźwięki, których źródłem jest działalność człowieka, słychać już nawet w środku Puszczy Amazońskiej. Zwierzęta nie lubią takich odgłosów, ponieważ utrudniają im one komunikację. W naturze też czasami panuje zgiełk, lecz każdy gatunek ma własną częstotliwość, na której nadaje sygnały. Człowiek zaburza tę harmonię. Clinton Francis z National Evolutionary Synthesis Center, prowadzący badania w amerykańskim stanie Nowy Meksyk, odkrył niedawno, że hałaśliwe kompresory pracujące przy szybach, którymi wydobywa się gaz ziemny, inicjują niekorzystne zmiany w środowisku – przeszkadzają ekspansji drzew wypieranych przez rośliny kwiatowe. Nasiona tych pierwszych są bowiem roznoszone przez modrowronki kalifornijskie, którym przeszkadza hałas

Puszcza Borecka, do której najłatwiej jest dojechać z Giżycka, to obszar najczystszego powietrza w Polsce (z lewej). Z prawej Rostocze, którego lessowe wąwozy to labirynt tylko dla znawców terenu.

kompresorów, od hałasu nie stronią natomiast kolibry roznoszące nasiona roślin kwiatowych.

Podobnych przykładów jest więcej. Wiele obserwacji z ostatnich lat (np. przeprowadzonych przez Jenelle Dowling z Uniwersytetu Cornell w latach 2009–2010) pokazało, że nowe pokolenia ptaków śpiewających zmieniają częstotliwość swoich trel na wyższą, ponieważ ta niższa została zajęta przez wybudowane w pobliżu autostrady. Gdy jedną z dróg zamknięto na dwa lata do remontu, ptactwo natychmiast wróciło na niższe częstotliwości – korzystniejsze, z uwagi na większy zasięg.

Przyroda nie lubi ludzkich hałasów. Nawet cicha rozmowa może zestresować zwierzęta. Podglądane przez naukowców hoacyny – wspinające się po gałęziach ptaki z Puszczy Amazońskiej – wyraźnie się niepokoiły, gdy ci prowadzili ze sobą konwersacje. Nawet szept je irytował. Uspokoiły się dopiero, gdy naukowcy zamilkli. Tę informację powinni sobie wziąć do serca ci, którzy

w ramach poszukiwania ciszy zapragną wybrać się do rezerwatu ornitologicznego. Najlepiej udać się tam w towarzystwie profesjonalnego przewodnika i koniecznie z palcem na ustach. Podczas kontaktów z naturą milczenie jest naprawdę złotem.

Popcorn i baloniki na Galapagos

Zielona turystyka także zaczyna zagrażać przyrodzie, gdy staje się nazbyt popularna. Przykładem jest cenny ptasi rezerwat Mewia Łacha u ujścia Wisły, nawiedzany w sezonie przez tysiące podglądaczy płoszących gniazdujące ptaki, bo a nuż uda się zobaczyć fokę wylegającą się na piasku. Paradoks polega na tym, że im cenniejsze miejsce, tym bardziej jest znane, i tym więcej osób chce je zobaczyć. Mewia Łacha stała się ofiarą własnej popularności, jednym z tych miejsc, które „trzeba koniecznie odwiedzić, zanim znikną”. Eksperci przestrzegają jednak, że zważeni w ten sposób ludzie przybywają w cenne przyrodniczo miejsca nie

po to, aby szukać tam ciszy i harmonii w kontakcie z dziką naturą, lecz żeby zabalować na urlopie. Tak dzieje się choćby z wyspami Galapagos, które stały się luksusową wersją ogrodu zoologicznego.

Gdzie najłatwiej dziś o ciszę? Do wyboru jest wiele kierunków. Nie zamierzamy nikogo wysyłać na pustynię Gobi, do Tybetu czy na środek Grenlandii. Tam, jeśli nie wieje wiatr, panuje cisza prawie idealna. Słyszysz tylko te dźwięki, które dochodzą z wnętrza własnego ciała. A w ciszy absolutnej (np. w komorze wygłuszającej) człowiek po godzinie odlatuje, zaczyna mieć halucynacje. Zostańmy zatem w Polsce i poszukajmy naturalnej ciszy, z którą nie powinno być trudno. Możemy się wybrać do Puszczy Solskiej, jednego z naszych największych lasów o powierzchni ponad 120 tys. hektarów, znajdującego się w północnej części Kotliny Sandomierskiej. Gigantyczny las ciągnie się od doliny Wisły aż po granicę polsko-ukraiń-

ską. Łatwo tu zapomnieć o cywilizacji i jest czego słuchać: mieszka tu ponad 230 gatunków ptaków. Puszcza jest też ostoją wilków i rysi, zagrożonych wyginięciem, a nocleg znajdziecie tylko na obrzeżach lasu.

Kto woli bardziej otwarte przestrzenie, ten powinien odwiedzić Rostocze. To pofałdowany obszar, ciągnący się na długości ponad 100 km w południowej części województwa lubelskiego. Ma swoich koneserów, ale wciąż jest tu pusto, odludnie, urokliwie. Całymi dniami można wędrować lub jeździć na rowerze i nie spotkać żywej duszy, albo błądzić po labiryncie lessowych wąwozów (dla znawców terenu!). Najlepiej jednak wspiąć się połą drogą na któreś z łagodnych wzgórz, usiąść pod krzewem głogu i zapatrzeć się w siną dal – czyli w tym przypadku mieszaninę pól i dość rzadkich w sosnowej Polsce lasów bukowo-jodłowych. Najcenniejsze znajdują się w centralnej części, na terenach Rostoczańskiego Parku Narodowego, od-



EWA KALETA

Irańska melancholia

Fotografka Newsha Tavakolian zdobyła sławę w 1999 r. serią wstrząsających zdjęć reporterskich. Ale cztery lata temu porzuciła fotografię prasową, by zająć się portretem. I znów zachwycić świat talentem.

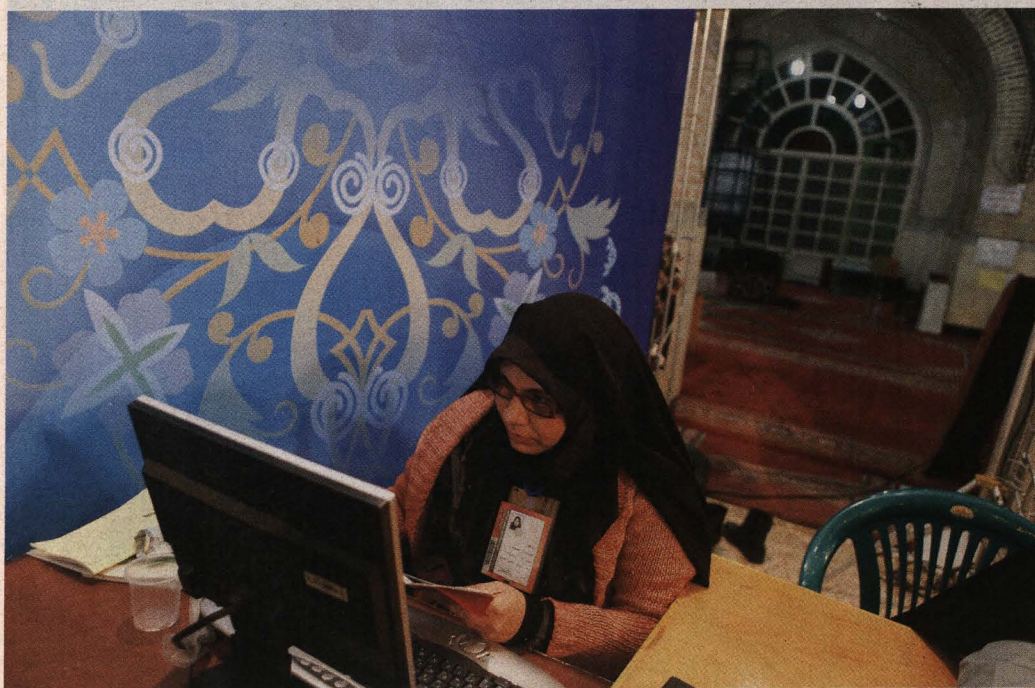


W 1999 r. ulice Teheranu wypełnili skandujący studenci. Takiej fali protestów nie widziano tam od czasów islamskiej rewolucji. Powodem buntu było zamknięcie postępowej gazety irańskiej „Tehran-e Mosavar”, która była trybuną dla studentów walczących o demokrację i wolność. W odpowiedzi policja otoczyła jeden z akademików i po kolei

podpalała pokoje. Studenci zaczęli wyskakiwać z okien.

Śmiertelną podróż kilka pięter w dół zarejestrowała nikomu nieznana 18-letnia fotografka. Dzięki tej dokumentacji w tydzień zdobyła światową sławę. Jej zdjęcia opublikowały największe periodyki świata – „Newsweek”, „Le Monde”, „The Time” i „National Geographic”.

Już jako uznana fotografka dokumentowała wojnę w Iraku, konflikt w Libanie, protesty w Syrii i Pakistanie. Aż do 2009 r., kiedy Mahmud Ahmadineżad wygrał drugi raz z rzędu wybory prezydenckie i rozpoczął polowanie na wrogów fundamentalistycznego systemu. Władze zaczęły tropić demonstrantów i namierzały ich dzięki opublikowanym w prasie



zdjęciom. Newsha nie chciała nikogo narażać.

W 30. rocznicę rewolucji islamskiej przygotowała cykl „Listen”. To zdjęcia śpiewaczek wykonujących ballady. A trzeba przypomnieć, że gdy w 1979 r. fundamentaliści doszli do władzy, zakazano kobietom śpiewać solo. Newsha zaprosiła swoje bohaterki do studia i poprosiła je, by poruszając ustami,

wyobraziły sobie, że śpiewają przed publicznością zgromadzoną na widowni. Trudno o bardziej symboliczny obraz rewolucji, która zawróciła Iran z demokratycznej drogi, by zamienić go w religijno-polityczną klatkę. – Tu nie chodzi o protesty czy politykę, ale o uczucia. Kiedy widzę cierpienie siostry albo sąsiada, chcę opowiedzieć historię – stwierdziła Newsha.

Oddała się portretom. W cyklu „Iran sister in chanel and chador” (2009) przedstawiła młode zbuntowane Iranki palące papierosy i przechadzające się przedmieściami Teheranu, bogaczki po operacjach plastycznych i dziewczyny ćwiczące karate (najbardziej popularny sport uprawiany przez kobiety w Iranie). Dziewięcioletnie dziewczynki w białych chus-

tach w trakcie obrzędu Jashne Taklif, po którym stają się kobietami i muszą włożyć czador.

Jej najnowszy projekt „Look” (2013) objechał świat wzdłuż i wszerz, od niemieckich galerii po amerykańskie wystawy i autorskie wernisaże w Paryżu. „Look” to portrety realizowane w prywatnych mieszkaniach Irańczyków. Wielka płyta. Szare bloki. Przygnębia-

jące wnętrza. W jednym z nich oglądamy dziewczynę patrzącą ze smutkiem na swój tort urodzinowy. W innym płaczącą kobietę w czadorze, w jeszcze innym mężczyznę z pianką do golenia na twarzy. Ludzie odizolowani od świata, żyjący pod presją ekonomiczną, potencjalnie podejrzani. „Kiedy chcemy wyjaśnić ludziom Zachodu, jak wygląda życie w Iranie, poruszamy się tyl-

ko po powierzchni. Chciałam zrobić coś innego, opowiedzieć Irańczykom o nich samych” – mówi 32-letnia dziś fotografa o swojej wystawie. I dodaje po angielsku, z wyraźnie wschodnim, twardym akcentem: – W Iranie jest wiele nieopowiedzianych historii. Żeby znaleźć temat, nie trzeba opuszczać progu swojego mieszkania, dzielnicy, nie mówiąc o kraju. ☐

Parafrazując jednego z wielkich, można stwierdzić, że współczesny feminizm jest jak duch. Wszyscy o nim mówią albo piszą, ale niewielu go widziało. Nie zmienia to faktu, że każdy ma zdanie w tej sprawie i koniecznie chce zabrać głos. W rezultacie łatkę feministek mniej lub bardziej doraźnie przypina się najróżniejszym kobietom: zarówno singielkom, kobietom wykształconym, przedsiębiorczym, rozwiedzionym, jak i osobom zajmującym się w pracy zawodowej niesieniem pomocy na rzecz kobiet lub propagującym korzystne dla nich zmiany legislacyjne. Co gorsza, podobne szufladkowanie zazwyczaj odbywa się w atmosferze emocji lub prowokacji, a przynajmniej na wyrost. Przy używaniu tego słowa coraz bardziej odchodzi od jego pierwotnego znaczenia. Dlatego warto choćby na chwilę cofnąć się w czasie i uważniej przyjrzeć się problemom, z jakimi musiały się mierzyć kobiety w XIX w., żeby nie nazywać po prostu feminizmem każdej damskiej „walki z” i „walki o”.

Salonowe ozdoby

W XIX w. miejsce kobiety było w sypialni, kuchni czy salonie, ale nie w bibliotece czy na uczelni wyższej. Kobiety można było podziwiać, pisać dla nich wiersze, obsypywać kwiatami, ale nie słuchać; rzadko bowiem, jak twierdzili mężczyźni, miały coś mądrego do powiedzenia. Przez całe stulecia nasze prababki bezskutecznie pukały do bram uniwersytetów, banków, biur, szpitali. W tym ostatnim przypadku było to o tyle zrozumiałe, że pacjent szybciej by umarł na widok lekarza w spódnicy, niż odzyskał zdrowie.

W kontekście takich założeń w XIX w. zrodził się nie lada problem: czy kobieta w ogóle powinna czytać książki, a jeżeli tak, to jakie. Jedni byli zdania, że książki kobietom przydać mogą się co najwyżej na papiloty, inni bywali bardziej wyrozumiali. Aż w końcu głos zabrała K. Hoffmanowa. Jej zdaniem kobieta od czasu do czasu może coś przeczytać, ale nie powinna nadużywać tej rozrywki. Tym bardziej że

nie ma pewności, czy dobrze zrozumie czytany tekst, z uwagi na słabość umysłu. „Nigdy nie radzę kobiecie unosić się tą próżnością, ażeby koniecznie za bardzo odczytaną uchodzić...” – pouczała autorka. Szczególną ostrożność należało wykazywać w stosunku do romansów, ponieważ były to książki nader niebezpieczne. Rozpalały wyobraźnię, a przez to czytelniczki zaczynały wzdychać do urojonego szczęścia i urojonych kochanków i zaniedbywały rodzinę. W dodatku lektury takie łudziły kobiety wizją idealnego świata, a w konsekwencji prowadziły do rozczarowania życiem codziennym, w szczególności mężem. Tak więc autorka zalecała

Podobnie całe tomy napisano na temat tego, czy kobieta powinna się oddawać nauce. Lekarze zwracali uwagę na to, że nauka sama w sobie bywa zajęciem poważnie nadwężającym umysł, czyli po prostu „zużywającym organizm”. Stąd też w przypadku słabszej natury kobiecej mogła doprowadzić do uszczerbku na zdrowiu, w tym chorób nerwowych.

Niewolnice i buntowniczk

W XIX wieku kobiety można było podzielić na dwie kategorie. Po pierwsze, na te, które zgodnie z odwieczną tradycją oddawały się „w niewolę małżeństwa”, by za pieniądze męża wieść w mia-

AGNIESZKA LISAK

Fakty i mity feminizmu

Książka „**Miłość, kobieta i małżeństwo w XIX wieku**” Agnieszki Lisak to twórcze kompendium wiedzy o feminizmie. Poprosiliśmy autorkę o wybranie kilku fragmentów specjalnie dla „Przekroju”.

czytanie romansów dopiero po ślubie, i to kobietom dojrzałym. Inny znów poradnik z początku XX w. stwierdzał, co następuje: „Niech więc twoja żona czyta – lecz niech sama, broń Boże, nie pisze! Niech lubi i zna się na muzyce i teatrze – lecz poza amatorskim domowym graniem na fortepianie niech nie marzy o laurach wirtuozostwa na publicznych koncertach lub amatorskich scenach!”. Zdaniem ówczesnych autorytetów nie tak nie psuło kobiety sukces, popularność i uznanie; te przyjemności były zastrzeżone wyłącznie dla mężczyzn.

rę wygodną, acz jałową egzystencję bez pracy. Po drugie, na te, które decydowały się kształcić i zdobyć zawód celem zapewnienia sobie samodzielności.

Pierwszy sposób na życie ostro potępiała Anna Limprechtówna w jednym z numerów „Steru” z 1907 r., nazywając go bez ogródek prostytutką w małżeństwie. Bo czymże różni się od prostytutki kobieta, która staje na ślubnym kobiercu nie z miłości, ale z wyrachowania – pytała autorka. Zaś potem w sypialni taka istota odpłaca mężowi za wygodne życie bez pracy miłością fizyczną uprawianą z poczucia obowiązku. I pomy-

śleć, że w przepaść tej codziennej, zalegalizowanej przez opinię publiczną „prostitucji” rzuca się tysiące kobiet, tysiące młodych dziewczyn, wychowywanych od dziecka celowo w tym kierunku, aby kiedyś zrobić »dobrą partję« na targu licytacji małżeńskiej, oddać się temu, kto lepiej zapłaci, chociażby cała natura fizyczna i moralna wzdrygała się przeciw tej sprzedaży”. Zdaniem autorki sporą winę ponosiły tu także matki, które licząc na opatrnościowe zjawienie się „naturalnego chlebodawcy pod postacią męża”, nie dawały córkom żadnego wykształcenia zawodowego, które zapewniłoby im samodzielność.

Wbrew pozorom myśl feministyczna, propagowana przez drugą kategorię pań, nie była efektem kobiecej, wybujałej wyobraźni, ale życiowej potrzeby. W XIX w. nie brakowało rodzin z nazwiskiem i tradycjami, które represyjna polityka zaborcy doprowadziła do bankructwa. Uwłaszczenie chłopów, czyli przyznanie im ziemi na własność, pozbawiło szlachtę podstawowego źródła dochodu, jakim była cudza praca na roli. Wiele rodzin, żyjących dotychczas w dworach, musiało emigrować do miast w poszukiwaniu chleba. W skórzanych walizkach wzięto resztki majątku ocalone przed młotkiem komornika i resztki nadziei na to, że wszystko jakoś się ułoży. Wyśadzona z siodła szlachta poszukiwała pracy w bankach, urzędach... Częściej jednak znajdowała ją w sklepach, na kolei, na ulicy, na budowie. Głodo- wa pensja ojca nie zawsze wystarczała na utrzymanie rodziny. Sytuacja rodzin szlacheckich uległa dalszemu pogorszeniu po upadku powstania styczniowego. Wieloletnie wyroki więzienia i zesłania na Syberię sprawiły, że wiele kobiet pozostało w domu bez jedyne go żywiciela. By przeżyć, musiały się zacząć emancypować, czyli po prostu usamodzielniać. Emancypować w tamtych czasach oznaczało przede wszystkim dostosować do nowych czasów, zdobyć praktyczne, a nie salonowe wykształcenie, podejmować się pracy zarobkowej. Edukacja dla kobiet na poziomie zawodowym była jeszcze



Inspiracja numeru? Dama na zdjęciu po prawej prezentuje strój, zaprojektowany specjalnie na paradę sufrażystek w Chicago w 1916 r.



jako tako dostępna z uwagi na uruchamianie kursy kwiaciarnictwa, krawiectwa, koronczarstwa, kapelusznictwa. Te z wyższymi aspiracjami zostawały bonami czy też nauczycielkami. Podaż na tego typu prace przerastała jednak popyt, pensje osiągane przez nauczycielki czy krawcowe bywały głodowe. Jeszcze inne kobiety, pozostając bez środków do życia np. po śmierci męża, oddawały się prostytucji (co dotyczyło także rodzin szlacheckich). Najbardziej naturalnym sposobem na poszerzenie rynku pracy było podniesienie

Coś dla historyków cykizmu (z lewej u góry): migawka z ogólnoangielskiego zlotu sufrażystek, walczących o prawa kobiet, zwołanego w 1913 r. w Londynie.

Nie lada osiągnięciem wykazała się Anna Tomaszewiczówna, która w drugiej połowie XIX w. postanowiła studiować medycynę w Szwajcarii. Na koncie miała dwie prace z dziedziny fizjologii, a na podstawie trzeciej z medycyny uzyskała tytuł doktora. Gdy w 1878 r. wróciła do kraju i złożyła wniosek o przyjęcie do Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego, w środowisku medycznym zawrzało. W tamtych czasach łatwiej było uwierzyć w to, że Słońce kręci się wokół Ziemi, niż w to, że kobieta jest zdolna do wy-

nicze usposobienie, przez chęć zabłyśnięcia czymś oryginalnym."

W omawianych czasach kobieta z tytułem magistra była sensacją na miarę trzęsienia ziemi w Japonii, względnie przyjścia na świat dziewczynki z dwiema głowami. Tak więc w gazecie, gdzieś pomiędzy anonsem o fakirze połykającym ogień a niewyjaśnionymi zjawiskami astrologicznymi, pisano o takich prekursorach wyższego wykształcenia wśród pań.

Były i takie kobiety, które w swych poglądach emancypacyjnych szły jesz-



poziomu edukacji i zapewnienie kobietom dostępu do wyższych stanowisk. Niestety, nie było na to przyzwolenia ze strony mężczyzn, burzyło bowiem odwieczny porządek świata.

Głód wiedzy i pełni praw

Kobiety mogły poszerzać wiedzę jedynie na konspiracyjnych kursach samokształcenia organizowanych w prywatnych domach. W latach 1885–1886 przekształciły się one w nieformalną, tajną szkołę wyższą, czyli tak zwany Uniwersytet Latający. Natomiast te najbardziej zdeterminowane decydowały się na wyjazd za granicę celem spełnienia swoich marzeń o ukończeniu prawdziwej wyższej uczelni (np. Maria Skłodowska-Curie).

Powyżej – damski wiec, zorganizowany ok. 1910 r. w jednym z waszyngtońskich teatrów. Dama z gazetą „Sufragette” (dalej po lewej) to promocyjna fotka, dołączona w 1913 r. do materiałów propagandowych pisma. Po lewej prezentacja policyjnego uniformu dla kobiet, urządzona w 1909 r. w Cincinnati (Ohio, USA).

konywania zawodu lekarza. Złożenie takiego wniosku tymczasem było koniecznością dla kogoś, kto zamierzał wykonywać zawód na terenie Warszawy. Wynik głosowania w sprawie był jak na owe czasy łatwy do przewidzenia – wniosek zbyt ambitnej lekarki przepadł. Jeszcze w tym samym roku G. Fritchie w „Medycynie” uzasadniał decyzję lekarzy jako „potępienie tego niedorzecznego ruchu, tego niewłaściwego kierunku, w jakim niektóre zbłąkane owieczki z rodu niewieściego postępować zaczęły”. A w dodatku „wszystkie dzisiejsze lekarki lub kandydatki na takowe wypychane są na tę fałszywą drogę nie przez zamiłowanie do nauki lub chęć poświęcenia się ludzkości, lecz przez jakieś awantur-

cze dalej, bo uważały, że usamodzielnienie powinno się wiązać nie tylko z edukacją i pracą zarobkową, lecz także ze zrównaniem kobiet i mężczyzn wobec prawa, przyznaniem tym pierwszym praw politycznych, likwidacją podwójnej moralności. Na początku XX w. zaczęto zaś głosić dodatkowo postulaty o konieczności uświadamiania kobiet także w sferze życia seksualnego i przyznania im w niej praw, a nie tylko obowiązków.

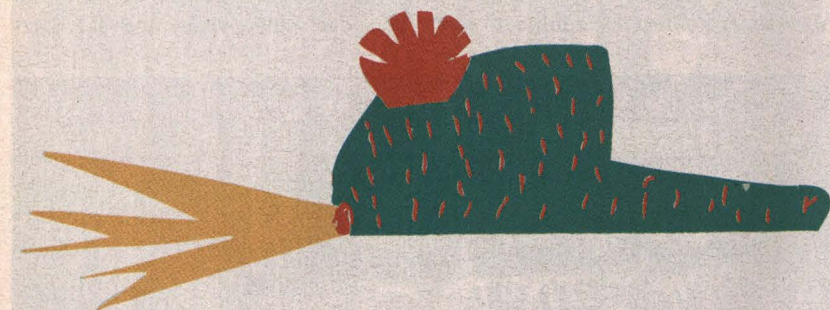
Jak dla mnie wszystkie one zostały zrealizowane, ale może jestem w błędzie. ☞

Więcej tekstów Agnieszki Lisak znajdziecie w jej blogu historyczno-obyczajowym www.lisak.net.pl/blog/. Źródły i skróty pochodzą od redakcji.

ULA RYCIĄK, ILUSTRACJE KAROLINA KOTOWSKA

Aaaaktualnie szukam kreatywnych

Pożądana przez wszystkich, wykorzystywana przez niewielu. Najbardziej poszukiwany fetysz na firmamencie kompetencji XXI wieku: **kreatywność**. Kolejna bańka mydlana, brzytwa tonących czy coś więcej?



Od zawsze wiadomo, że kryzys sprzyja innowacjom. Jak twierdzi amerykański ekonomista Paul Romer, nowe idee to główny czynnik światowego rozwoju, który w przeciwieństwie do rezerw finansowych i surowców naturalnych nigdy się nie wyczerpie. To dzięki innowacjom firmy zdobywają przewagę konkurencyjną na rynku, na którym żywot produktów jest coraz krótszy, a dostęp do informacji coraz łatwiejszy. I dlatego według światowego raportu firmy Adobe z 2011 r. kreatywność jest najbardziej pożądaną cechą u pracowników. Co prawda Polska w dziedzinie innowacji gospodarczych w 2012 r. spadła z 22. na 23. miejsce. Za nami są już tylko

Rumunia, Litwa, Łotwa i Bułgaria. Jednak wzrost polskiego rynku start-upów, rozwój firm takich jak np. Brand 24, która rok po starcie zaczęła ekspansję światową ze swoim narzędziem do monitoringu Internetu, czy stworzenie przez firmę Migam.pl (laureata pierwszej edycji nagrody Virgin Academy) systemu ułatwiającego komunikację słyszących z niesłyszącymi może świadczyć o tym, że nasze umysły budzą się z letargu.

Zabij reguły, obudź wyjątki

Kreatywność to domena geniuszy – twierdzą zwolennicy zachowawczego systemu zarządzania w firmach. Dar, z którym po prostu się rodzisz. Być może, ale przecież sam Picasso twierdził, że „Wszystkie dzieci rodzą się artystami, problemem jest tylko pozostanie nimi w dorosłości”. Opinię słynnego kubisty często cytuje brytyjski ekspert w dziedzinie edukacji Ken Robinson, który uważa, że kreatywność jest tak samo ważna jak nauka czytania czy pisanie. Jego zdaniem wszyscy rodzimy się z uzdolnieniami, które trzeba tylko w odpo-



wiednim czasie rozpoznać. W książce „Uchwyć żywioł. O tym, jak znaleźć nie pasji zmienia wszystko” przekonuje o potrzebie rozwijania kreatywności poprzez zmianę sposobu myślenia na temat zasobów ludzkiej wyobraźni, a na wykładach przedstawia dowody na istnienie wrodzonego potencjału kreatywnego, który ujawnia się u dzieci niezależnie od IQ.

Jednym z przykładów jest ośmioletnia Gillian, która nie radziła sobie w szkole, bo nie umiała się skupić. Zdesperowana nauczycielka wysłała ją na badania. Po wysłuchaniu 20-minutowej relacji bezradnej matki lekarz zabrał ją z gabinetu, przed wyjściem pogłośniwszy radio na biurku. Dziecko zostało samo, a spostrzegawczy doktor za drzwiami szepnął do matki: „Proszę ją obserwować”. Gillian po chwili wstała i zaczęła się kołysać w rytm muzyki. „Pani córka nie jest chora, ona po prostu jest tancerką”, oświadczył lekarz. „Proszę ją przenieść do szkoły baletowej.” I dzięki temu wiele lat później świat mógł podziwiać musicale „Koty” czy „Upiór w operze”, które słynna brytyjska tancerka i choreografka Gillian Lynne stworzyła we współpracy z A.L. Webberem.

Nie wszystkie dzieci mają tyle szczęścia. Większość wyrasta z kreatywności, zanim dorośli zadadzą sobie trud, by rozpoznać ich talent. Według Kena Robinsona winę za to ponoszą tradycyjne systemy edukacji, których działanie w głównej mierze nie polega na promowaniu oryginalności, tylko na podciąganiu wszystkich uczniów pod arbitralną średnią i piętnowaniu błędów. To rodzaj tresury, w której pomyłka jest równoznaczna z negatywną oceną

– czyli z karą. W ten sposób dzieci uczą się bać popełnienia błędu, a kiedy boimy się pomyłki, to nie jesteśmy w stanie twórczo działać.



Potwierdza to maltański lekarz Edward de Bono, światowy autorytet w dziedzinie twórczego myślenia, które wykładał m.in. na uniwersytetach Harvarda, w Oxfordzie i w Cambridge, a także jest autorem ponad 30 książek na temat kreatywnego rozwoju. De Bono podkreśla, że to logika krępuje naszą kreatywność. Zabija ją lęk przed tym, że jeśli zaproponujemy coś innego niż wszyscy dookoła, coś oryginalnego, wydziemy na głupca. Z biegiem lat czujemy coraz większy strach przed oceną i coraz paniczniej boimy się porażki.

Nie bój się rozsypać, skleisz się na nowo

Tymczasem zarówno wielcy wynalazcy, jak i ludzie, którzy dzięki kreatywności osiągnęli sukces w biznesie, podkreślają, jak inspirującym doświadczeniem jest porażka. Duńczyk Morten Lund,

humanitarny aktywista zwalczający m.in. miny przeciwpiechotne, a także milioner i współtwórca sukcesu komunikatora Skype, zna jej smak z autopsji, gdyż ponad cztery lata temu został bankrutem. Jak mówił w wywiadach z tego okresu, czuł się jak ktoś, kto z odrzutowca przesiadł się na rower, ale nie wyglądał na szczególnie zmartwionego. I rzeczywiście, szybko wrócił do gry. Od trzech lat inwestuje w kolejne start-upy z obszaru zielonej energii i nowych technologii. Zainwestował m.in. w firmę, która szuka nowych modeli oczyszczania wody. W ubiegłym roku w Londynie zaprezentował nową inwestycję GoGlobal, która pomaga firmom dostarczającym rozwiązania software'owe osiągnąć globalny charakter. Słynny inwestor motywuje też innych do działania. W czerwcu gościł z wykładem na warszawskiej imprezie promującej przedsiębiorczość „Start up Grow up”, na której podkreślał, że istotą biznesu powinna być chęć zmiany świata. „Stand up and smile”, mówił. „Pokaż światu, jak chcesz go zmieniać, bo inaczej nikt się nie dowie o tym, co robisz”.

Konstruktywne klęski znaczyły także drogę Thomasa Alvy Edisona (1847–1931), największego innowatora wszech czasów, który ma na koncie ponad 1000 patentów. Oprócz żarówki wynalazł m.in. lodówkę, płytę gramofonową, fonograf, betoniarke, krzesło elektryczne, odkrył emisję termoelektronową, udoskonalił telefon, zbudował akumulator zasadowy i wiele innych urządzeń kluczowych dla ludzkości. W 1880 r. założył słynne do dziś pismo „Science”. „Tam,



gdzie nie ma eksperymentowania, nie ma postępu”, twierdził. Stosował myślenie kalejdoskopowe, równolegle szukał rozwiązań dla wielu problemów. Pracując nad akumulatorem alkalicznym, wykonał ponad 50 tys. eksperymentów. Szukając włókna do żarnikowego oświetlenia, przetrząsnął dalekowschodnie dżungle, aż właściwą odmianę bambusa znalazł u rolnika z Kioto. Nieudanych prób czy potknięć nie określał nawet porażkami, wszystkie były dla niego po prostu źródłem danych. Działal tak, żeby „natura, zaskoczona tym samym pytaniem zadanym na setki sposobów, zdradziła wreszcie swoje sekrety”.

Jednym z najbardziej spektakularnych dowodów na konstruktywną rolę porażki jest życie Steve'a Jobsa. Twórca Apple'a po 10 latach od założenia firmy i zbudowania jej sukcesu posprzeczał się z zarządem o koncepcje dalszego rozwoju i w 1985 r. został wyrzucony. Zarząd opowiedział się za wizją Johna Sculleya, którego sam Jobs zatrudnił





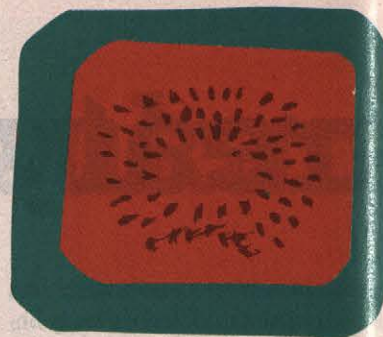
okresów w moim życiu” – tak Jobs podsumował tę historię w 2005 r. na Uniwersytecie Stanforda.

Bądź spragniony, bądź szalony

Założmy, że pokonałeś lęk przed porażką. Uwierzyłeś w drzemiały w tobie potencjał kreatywny, masz wielką pasję i wiarę w stworzenie czegoś innowacyjnego, tymczasem twój mózg to samoorganizujący się system informacyjny, który tworzy w zachowaniach określone prawidłowości i klisze. Dzięki temu redukuje konieczność dokonywania codziennie setek wyborów i pozwala wiele czynności robić mechanicznie, ale zarazem mechanicznie popycha myśli, by biegły utartymi ścieżkami. Aby więc wpaść na innowacyjny pomysł, musisz wyrwać swoją kreatywność z drzemki. Przede wszystkim – radzi Edward de Bono – nie traktuj siebie zbyt serio! Pozwól sobie być choć trochę szalonym. Zabawa jest sposobem kwestionowania wzorców i nawyków umysłu, formą prowokacji. Zezwalaniem samemu sobie na pomyłki, wpadki, błędy. Mnóstwo odkryć w historii ludzkości powstało właśnie w ten sposób, przez przypadek. Ot, choćby antybiotyki. Bakteriolog Aleksander Fleming w 1928 r. zauważył, że jedna z kolonii bakterii na pożywkach zapleśniała i wydziela substancję zabójczą dla innych drobnoustrojów. Tak odkrył penicylinę, która zrewolucjonizowała leczenie chorób zakaźnych.

Jeśli więc chcesz pójść w jego ślady, otwórz umysł na wiele możliwych rozwiązań. Nie zapominaj, że aby wpaść na epokową ideę, musisz mieć wcześniej wiele doskonałych pomysłów, więc lepiej powstrzymaj się od ich oceny na wstępnym etapie.

Uwolnienie od tego rozgraniczenia to fundament jednej z najbardziej popularnych technik stymulowania kreatywności, czyli burzy mózgów, opracowanej przez Alexa Osborne’a w 1948 r. dla potrzeb branży reklamowej. To Osborne jako pierwszy zwrócił uwagę na to, że kreatywność



można pobudzać. W jego metodzie na pierwszym etapie uczestnicy swobodnie rzucają pomysłami bez jakichkolwiek komentarzy czy ocen, a dopiero potem odsiewają najlepsze dla dopracowania. Jeśli więc wyobrażasz sobie wielkiego wynalazcę jako samotnika zamkniętego w laboratorium, to najwyższa pora na stymulację kreatywności. Badacze procesów twórczych dawno udowodnili, że ludzie myślą bardziej twórczo wtedy, kiedy ze sobą współpracują, niż np. wtedy, gdy ze sobą konkurują. Co więcej, im bardziej różne osoby połączysz, tym większa szansa na to, że powstanie coś innowacyjnego. Według misji IDEO założonej w 1991 r. w Palo Alto – jednej z najsłynniejszych światowych firm wyspecjalizowanych we wspomaganiu przedsiębiorstw w obszarze innowacji – najlepiej na tym polu sprawdzają się zespoły ekspertów z różnych dziedzin.

Twórz coś z czegoś

Czy da się wynaleźć coś, czego nie ma? Czas zburzyć kolejny mit. Kreatywność to nie jest budowanie czegoś z niczego. Tworzenie innowacji polega na dostrzeżeniu możliwości, jakie kryją się w istniejących już elementach, i połączeniu



ich w inny sposób, by stanowiły nową wartość dla odbiorcy. Przykładem może być pomysł sieci Tesco w Korei, natychmiast podchwycony przez inne systemy handlowe na świecie. Innowacja miała trzy znane składniki (billboard, aplikacja plus zakupy mobilne), tyle że połączone na nowo. Otóż billboardy z ofertą sklepu powieszono w metrze. Pasażer, czekając na stacji, za pomocą komórki komponuje zakupy spośród 300 produktów umieszczonych na wirtualnych półkach, a kiedy dojeżdża do domu, torba ze sprawunkami trafia pod drzwi. Po wprowadzeniu tej innowacji sieć odnotowała 130-procentowy wzrost sprzedaży. Innym efektem ulepszenia tego, co dobrze znane, są szczęśliwe arbuzy z Japonii. Farmer z wyspy Shikoku chciał zoptymalizować koszt transportu, a równocześnie zachęcić do kupowania owoców ludzi, którym arbut nie mieścił się w lodówce. Wymyślił więc specjalne

pojemniki przypominające szczęśliwe akwaria i wkłada do nich rosnące jeszcze owoce, w efekcie uzyskuje arbuzy w kształcie klocka.

Koncepcja twórczej weny i nagłego olśnienia też jest przereklamowana, kreatywnemu myśleniu sprzyjają raczej dogodne okoliczności. Nagłe rozwiązanie to nie perseida spadająca z nieba. Pojawia się wtedy, gdy go dostatecznie intensywnie szukaliśmy, choć nie oznaczaliśmy to wcale, że wyświetla się na zwołanie. Dlaczego Archimedes doznał olśnienia w wannie? Dlatego że najpierw długo szukał, a potem porządnie się odprężył. Eksperci od umysłów nazywają to strategią inkubacji. Kiedy myślisz o czymś intensywnie i długo, informacje są przetwarzane także na poziomie podświadomym. Wypoczęty mózg pracuje o 30 proc. wydajniej w sytuacji relaksu. Stąd często wynalazcy i osoby twórcze, które długo myślały nad jakimś problemem i „zainfekowały” nim mózg, doznają olśnienia w nieoczekiwanym momencie.

Jak rozwijać własną kreatywność?

Zacznijcie od zmian w codziennej rutynie. Łamcie zasady, zmieniajcie nawyki, wybierajcie inne ścieżki niż dotąd, wykonujcie codzienne czynności w inny sposób. Starajcie się spoj-



rzeć na znane sprawy po przekątnej. Krążąc po świecie, wyszukujcie w nim prawidłowości i dziwcie się rzeczom z pozoru oczywistym. Notujcie pomysły, które przychodzą wam do głowy, bez wstępnej oceny. Słuchajcie tylko takich piosenek, których jeszcze nie znacie, i odwiedzajcie miejsca, w których jeszcze was nie było. Otaczajcie się twórczymi ludźmi, siebie zaś nie traktujcie zbyt serio! I pamiętajcie, że najwybitniejsi odkrywcy to po prostu ludzie, którzy nie bali się w decydującej chwili zadać dziecinne pytanie i wytrwale poszukiwali na nie odpowiedzi.



REKLAMA

HISTORIA

HISTORIA KRÓTKIEGO SUKCESU

Nad stworzeniem polskiej telewizji zaczęliśmy pracować już na 10 lat przed wojną. Pierwszy program na żywo nadano 5 dni przed jej wybuchem.



NOWY NUMER W SPRZEDAŻY



DOMINIKA KAŹMIERCZYK, ZDJĘCIA PIOTR GUZIK

Gdzie bzyczy głośno rój

Nie ma Mickiewicza i nie ma Miłosza. Na ulicach cichosza? Dziś słowa piosenki Grzegorza Turnaua straciły na aktualności. Dzięki **młodym cyberrewolucjonistom** w stolicy Małopolski jest gwarniej niż kiedykolwiek.

Krakowski rynek. Tu można było spotkać największych dekadentów i artystów. Niedawno zaludniali go żądni wrażeń angole. Dziś coraz częściej knajpki zaludniają roje pracowitych, biznesowych pszczół. The Hive53 (ang. Ul) to cykliczne spotkania młodych programistów, naukowców, początkujących marketingowców i inwestorów, którym często towarzyszą wizyty mentorów, np. z Doliny Krzemowej.

– Kraków to dobre środowisko dla start-upów (młodych, innowacyjnych biznesów, opartych szczególnie na nowych technologiach) – mówi 29-letni Marek Wierzbicki, współorganizator spotkań krakowskiej społeczności start-upowej Hive53 oraz partner akceleratora Chance, pomagającego rozwijać nowe firmy. – Biura start-upów i centra co-workingowe, w których pracują młode talenty, znajdują się praktycznie w dwóch dzielnicach: na żydowskim Kazimierzu i na Starym Mieście. To, że wiele osób się zna i wymienia się wiedzą, wpływa pozytywnie na cały start-upowy ekosystem. Dzięki temu łatwiej jest dotrzeć do potencjalnych współpracowników czy inwestorów lub uzyskać pomoc i konstruktywny feedback.

Maszynka do produkcji zdrowia

To tutaj z Olsztyna przyjechała 25-letnia Ola Ławrynowicz, absolwentka biotechnologii, której pasją są wodorosty,

czyli algi, a właściwie wytwarzana przez nie spirulina. – Gdybyśmy chcieli przyswoić sobie wszystkie witaminy i mikroelementy dla odpowiedniego funkcjonowania organizmu, musielibyśmy codziennie zjadać co najmniej 3,5 kilograma warzyw i wypić kilka szklanek mleka. Tyle samo znajduje się zaledwie w łyżeczce (3 gramy) spiruliny – opowiada Ola, która od roku pracuje nad urządzeniem, dzięki któremu moglibyśmy wyprodukować ją w domu. – Dzięki Kamilowi Bohdanowiczowi ze studia Berlincut będzie miało designerski kształt niczym iPod, ale z elementami drewna. Wpisze się w trend „zrób to sam”, tak jak przydomowe ogródki warzywne. Nazwę już ma – Farmy.

Na razie spirulina, nazywana jedzeniem przyszłości i podawana m.in. kosmonautom, jest dostępna w postaci tabletek, które są chemicznie konserwowane. Naturalna spirulina będzie rosła dzięki wodzie, światłu i specjalnym substancjom, odżywiana niczym rybki w akwarium.

Cudowny pokarm będzie można nie tylko wypić czy zjeść, udekorowawszy nim kanapkę. Posłuży nam też jako doskonała maseczka na twarz (tak jak spirulina, którą dziś możemy kupić choćby w sklepach internetowych).

Mimo młodego wieku Ola ma już doświadczenie zarówno w pracy naukowej (doktorat w PAN), jak i w biznesie (sprzedawała mikroskopy). – Pra-

ca w sprzedaży nie była spełnieniem moich marzeń, dlatego w tym samym czasie realizowałam własny projekt w Pomorskim Parku Technologicznym w Gdyni, gdzie wygrałam konkurs. Potem wróciłam do Olsztyna, a tam... trafiłam na krakusów.

Kawa otwiera drzwi

Krakowiacy nie ograniczają się do robienia start-upów na rynku, ale starają się ściągnąć najzdolniejszych ludzi.



Tak działa projekt Chance on Tour, w ramach którego nieustraszona szóstka, a w niej zawsze dwóch inwestorów i dwóch twórców start-upów, podróżuje starym volkswagenem po Polsce i pomaga rozkwitnąć najlepszym pomysłom.

– Z kolei gdy ktoś ze środowiska przejeżdża przez Kraków, stara się wygospodarować czas na open-kawkę – chwali się twórczyni wydarzenia Marta Ryłko, studentka informatyki na krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. I tłumaczy: – Spotkania odbywają się raz na dwa tygodnie w języku angielskim, bo zawsze jest kilku obcokrajowców. Każde rozpoczyna się od tzw. ścian z ogłoszeniami. Każdy może przez dwie minuty mówić o własnych potrzebach. Na przykład, że poszukuje grafika, nie radzi sobie ze stworzeniem jakiejś aplikacji albo myśli nad najlepszą formą reklamy. Kawę i ciasta sponsorują pojawiający się u nas inwestorzy.

To właśnie podczas jednego z takich spotkań Marta poznała współtwórców jej start-upu Dropsport. – W sześć osób wynajmujemy małe biuro, w którym prowadzimy portal pomagający współ-

Ola Ławrynowicz, czyli Pani na Spirulinie (u dołu z lewej). Z prawej Marta Ryłko, współtwórczyni portalu Dropsport, a niżej Rafał Han i Marek Wierzbicki (akcelerator Chance).



nie uprawiać sport. Sama lubię jeździć na rowerze, grać w siatkówkę czy koszykówkę, ale miałam problem ze znalezieniem sali do gry, skompletowaniem drużyny albo ekipy do wspólnych eskapad. To właśnie ułatwia Dropsport, który ma już 5 tys. użytkowników. Teraz poszukujemy inwestora, dzięki któremu moglibyśmy udoskonalić i wypromować portal.

Jak zaznacza współtwórca Hive53 Marek Wierzbicki, to właśnie takich studentów jak Marta chce zachęcić do tworzenia własnych firm. W czasie studiów ma się przecież głowę pełną pomysłów, zapał i energię. Czasami jednak młodym ludziom brakuje odwagi. – Trudno jest zrezygnować z wizji „bezpiecznej posady” np. w outsourcingu, czyli wykonywaniu usług dla globalnych firm, w czym Kraków jest bardzo mocny (czwarte miejsce na świecie – przyp. red.), na rzecz radosnego ryzyka, z którym wiąże się własna firma – tłumaczy.

Zamiast więc włóczyć się po lokalach wokół rynku bez celu, ten czas można wykorzystać na stworzenie nowego Google’a czy Facebooka. – Celujemy w innowacje na skalę światową, takie jak Skype – uściśla Wierzbicki. – Polskie środowisko internetowe jest dość młode, ale aktywnie wspieramy się i współpracujemy od kilku lat.

Na tle polskich miast Kraków wyróżnia otwarcie na świat i gości m.in. z USA, którzy chętnie zapraszają do siebie zdolnych młodych ludzi. Po stażach w Stanach wracają bogatsi o kontakty i doświadczenie. Łatwiej im także zdobyć zagraniczne dofinansowanie.

Wróżby myszki

Jednym z młodych zdolnych jest Paweł Jarmólkowicz, informatyk z 10-letnim stażem, który postanowił pójść na swoje. Pomógł mu w tym udział w tegorocznym Start Up Weekend Kraków. To kolejne wydarzenie mające zbliżyć tutejsze środowisko. W ciągu weekendu pracuje się tu w grupach złożonych m.in. z programistów i marketingowców. – W czasie jednego z takich spotkań spróbowałabym odpowiedzieć

na pytanie: jak wyedukować, kim jest użytkownik komputera, po tym, w jaki sposób dotyka myszki komputerowej czy ekranu – mówi Jarmólkowicz. – Po konsultacjach z potencjalnymi klientami zauważyliśmy, że jest większe zapotrzebowanie na wiedzę, w jakim nastroju jest użytkownik i jaki ma charakter. Tego nie dowiemy się np. z ankiety w e-sklepie. Współpracujemy już z jedną z polskich uczelni technicznych, a chcemy z wieloma, bo to wymaga specjalistycznej wiedzy, sensoryki, liczymy też na granty naukowe.

Jego projekt o nazwie Harimata jest już po pierwszej rundzie finansowania. Jarmólkowicz jest przekonany, że gdyby się nie otworzył i nie wszedł w środowisko start-upowe, nie dotarłby dziś tu, gdzie jest. – Od jakiegoś czasu nosiłem się z własnymi pomysłami, ale nie chciałem o nich mówić w obawie przed tym, że ktoś mi je ukradnie. Aż wreszcie usłyszałem od znajomego ważne dla mnie słowa: „W tym samym czasie co ty 10 osób na świecie wpada na ten sam pomysł”. Ważne, by go zrealizować. To ułatwiają właśnie start-upy. A gdzie rosną najlepsze? Na placu Szczepańskim w Krakowie. I w jego okolicach. ☞





MARIANNA SASKA

YouTube Space: przestrzeń niewirtualna

Jako pierwsze polskie pismo zwiedzamy studio filmowe **YouTube Space** w Londynie.

Elegancki hall biurowca w londyńskim Soho nie przywodzi na myśl kolebki kreatywności. Zadbaną recepcjonistka z uśmiechem wydaje przepustkę, przechodzę przez bramki strzeżone przez ochroniarzy i wjeżdżam na trzecie piętro minimalistyczną windą. Na końcu korytarza znajduję ciężkie, żółte drzwi z okrągłymi uchwytnymi. Przypominają właz łodzi podwodnej. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że te wrota oddzielają świat garniturów, szpilek i arkuszy kalkulacyjnych od uniwersum szalonych twórców.

Na kanapie po turecku w trampkach siedzi jeden z youtuberów. Obok niego drugi popija colę i ogląda coś na swoim

macbooku. Pytają, czy chcę coś z barku, w końcu wszyscy użytkownicy studia mogą do woli częstować się napojami i przekąskami dostępnymi w małym aneksie kuchennym. Za częściowo oszklonymi drzwiami trwa próba. Przez chwilę obserwuję wymachującego rękami mężczyznę w peruce i starodawnym płaszczu odgrywającego rolę.

Oni ci pokażą

Po chwili zjawia się mój przewodnik, młody menedżer studia Marc Joynes. Marc dowodzi czteroosobowym zespołem, którego zadaniem jest szkolenie i wspieranie filmowców. – Z YouTube Space może za darmo korzystać każdy twórca, którego kanał na YouTube ma przynajmniej 10 tys. subskrybentów. W zeszłym roku gościliśmy grupę z Polski. Byli uczestnikami jednej

z pierwszych edycji YouTube Academy, czyli tygodniowych szkoleń dla obiecujących twórców – opowiada Marc.

Jedną z osób zaproszonych na szkolenie była Ewa Grzelakowska-Kostoglu. Jest autorką kanału Red Lipstick Monster, na którym prezentuje techniki robienia makijażu, recenzje produktów kosmetycznych i materiały na temat piercingu. – Do Londynu pojechali twórcy najbardziej dynamicznie rozwijających się polskich kanałów, którym potrzebne było szkolenie techniczne. Red Lipstick Monster był wtedy jeszcze bardzo młody, prowadziłam go dopiero trzy miesiące. Podczas szkolenia mieliśmy zajęcia z obsługi sprzętu, kadrowania, edycji, dźwięku, tagowania materiałów. To nie jest wiedza tajemna, można ją znaleźć w fachowych źródłach czy w Playbooku YouTube. Jednak na szko-



leniu została nam przedstawiona kwintesencja wiedzy, ściśle połączona z ćwiczeniami praktycznymi. Ten wyjazd był dla mnie wielkim wyróżnieniem. Przeciętny człowiek nie ma możliwości wypróbowania takiej ilości sprzętu i korzystania na żywo z rad ekspertów. Szkolenie zaowocowało. Na pierwszy rzut oka można było zauważyć różnicę w jakości moich filmów przed i po. Dowiedziałam się, jaki sprzęt kupić i jak nim operować. Przełożyło się to na oglądalność. Dzisiaj mam 45 tys. subskrybentów.

Kreatywność wisi w powietrzu

Marek Hoffmann, twórca popularnych kanałów AdBuster i Być Jak Jan Blachowicz, dwukrotnie brał udział w szkoleniach w londyńskim studiu. – To był mój pierwszy kontakt z profesjonal-

ną produkcją wideo. Nie chodzi tylko o sprzęt, ale także o ludzi. Pracownicy studia byli bardzo przyjaźni, pomocni i doskonale znali się na rzeczy. Poza tym w YouTube Space panuje fantastyczna atmosfera. Potwierdza to Alex Day, jeden z najpopularniejszych brytyjskich youtuberów. Lubi spędzać czas w studiu, bo, jak mówi, sama atmosfera go napędza i inspiruje.

W głównym studiu, które zajęłoby połowę kortu tenisowego, witają nas Will i Jack. To specjaliści do spraw produkcji, ich praca polega na szkoleniu i doradzaniu youtuberom. Na temat sprzętu filmowego wiedzą wszystko i entuzjastycznie o nim opowiadają. A jest o czym. Na statywach rozmieszczonych jest kilka lustrzanek i kamer (niektóre dostępne w studiu modele są warte ponad 50 tys. zł). Twórcy mogą też

Konferencje dla twórców i fanów sieciowej ekspresji (tu niedawna VidCon w USA) ściągają tłumy gości, porównywalne z publiką festiwalową.

Zasoby szkoleniowe YouTube'a:

- youtube.com/yt/playbook
- youtube.com/yt/creators
- youtube.com/user/partnersupport
- youtubecreator.blogspot.com

wypróbować kamery telewizyjne, z którymi raczej nie mieliby do czynienia podczas tworzenia własnych filmów. Całość uzupełnia gama obiektywów i profesjonalne oświetlenie. Jak ważne są to kwestie, wie Marek Hoffmann, który na początku swojej youtube'owej kariery doświetał plan filmowy lampką biurkową. – Po powrocie z Londynu starałem się od razu wdrożyć to, czego się nauczyłem. Jednak zanim naprawdę można było zauważyć różnicę w jakości filmów, musiałem zainwestować w sprzęt.

Oświetlenie studia jest kontrolowane z małego pokoiku obok. To pomieszczenie jest wyposażone w kilka ekranów i dziesiątki przycisków, które mogą przypawić o zawrót głowy. – Tu znajduje się mikser wizji i dźwięku. Możemy kontrolować do szczęścia



Konferencja VidCon (Anaheim, Kalifornia), czyli sponsorowane przez Youtube największe święto twórców online.

kamer jednocześnie. Ale to wszystko nie jest wcale aż tak skomplikowane, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Ostatnio przez sześć godzin szkoliliśmy montażystę, który chwilę później był w stanie prowadzić show na żywo – przekonuje Marc.

YouTube przykłada dużą wagę do występów live. Na początku sierpnia ogłosił, że twórcy, którzy mają przynajmniej 100 subskrybentów, już w ciągu najbliższych tygodni będą mogli nadawać programy na żywo. – Zależy nam szczególnie na rozwoju kanałów muzycznych. YouTube Space to doskonałe środowisko dla muzyków. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby nagrywali tu całe albumy i dawali koncerty – mówi menedżer studia.

Nastoletni celebryci

W pierwszy weekend sierpnia w kalifornijskim Anaheim odbyła się VidCon,

największa youtube'owa konferencja na świecie. OK, nie stricte youtube'owa, bo oficjalnie jest to impreza dla twórców i fanów wideo online. Jednak to YouTube jest głównym sponsorem eventu, a większość gwiazd internetowych obecnych na imprezie właśnie na tej platformie zrobiła karierę.

Jak wygląda taka konferencja? Trochę jak połączenie targów książki z koncertem Justina Biebera. Podekscytowane nastolatki popiskują na widok 15-letnich vlogerów w obcisłych dżinsach i wystylizowanych na sztywno włosach. Potem grzecznie ustawiają się w kolejce po autograf. Ale event tej rangi nie obyłby się bez newsa od sponsora. Google ogłosił, że w 2014 r. otworzy czwarte studio, tym razem w Nowym Jorku. Oprócz Londynu studia filmowe mieszczą się już w Los Angeles i Tokio. Nowa Przestrzeń będzie przeznaczona przede wszystkim dla twórców

Liczy się osobowość

Ze studia YouTube Space może korzystać każdy twórca, którego kanał ma co najmniej 10 tys. subskrybentów. Spytałismy trzech znanych youtuberów, co według nich jest najważniejsze przy tworzeniu popularnego programu.

Ewa, Red Lipstick Monster:

Cechy, które charakteryzują odnoszących sukcesy youtuberów, to osobowość i ciężka praca. Samą osobowością się nie wygra, trzeba dać z siebie wszystko. I uwielbiać to, co się robi.

Michał, kotlet.tv:

Przed wszystkim trzeba wstrześcić się z tematyką. Na polskim YouTube mamy kilka dominujących tematów: gry komputerowe, muzyka, rozrywkowe one-man-shows, moda i uroda. Warto krążyć wokół tych tematów, jeśli liczy się na szeroką publiczność. Drugim warunkiem jest systematyczność. Widzowie lubią wiedzieć, że mogą liczyć na regularne publikacje. Poza tym trzeba mieć osobowość i umieć ją wykorzystać przed kamerą. Filmy pozbawione wyrazistego prowadzącego są skazane na niepowodzenie.

Marek, AdBuster:

Nie ma czegoś takiego jak przepis na sukces, dlatego niewielu osobom udaje się go osiągnąć. W branży rozrywkowej postawiłbym na spostrzegawczość. Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, czego widzowie oczekują i co chcą oglądać. Należy obserwować swoją publiczność.

mieszkających na wschodnim wybrzeżu USA.

Co ma z tego Google?

Internetowy gigant inwestuje ogromne pieniądze w YouTube'a i jego twórców. Serwis, na którym jeszcze kilka lat temu dominowały filmowane przez amatorów niemowleta i koty, staje się mainstreamowym medium. Kreuje nowy typ celebryty. Powstało nawet pojęcie „pokolenie C”, od słowa „content”. Należą do niego ludzie, którzy tworzą, udostępniają i żyją wokół treści wykreowanych przez siebie i swoich sąsiadów z globalnej wioski. Według niedawnej prezentacji YouTube'a skierowanej do reklamodawców pokolenie C to stan umysłu.

Google najwyraźniej stawia na długoterminowy zysk. Edukuje twórców, bo liczy na to, że lepszy content przyciągnie więcej widzów, a co za tym idzie – reklamodawców. Jak na razie nic nie wskazuje na to, żeby Google się mylił.

Kiedy korporacja kupiła serwis w 2006 r., YouTube był chaotycznym zbiorem amatorskich i często naruszających prawa autorskie materiałów. Stworzenie kanałów filmowych spowodowało, że widzowie zaczęli powracać i regularnie oglądać tych samych twórców. Następnym krokiem była możliwość subskrybowania ulubionych kanałów, dzięki czemu publiczność z automatu dostawała content tworzony przez wybranych autorów. W końcu YouTube wystartował z programem partnerskim, który umożliwił twórcom zarabianie na reklamach. Autorzy dostają 55 proc. zysków. W maju tego roku YouTube zaczął pilotażować projekt płatnych kanałów jako alternatywy dla zarabiania na reklamach.

Nic nie stoi w miejscu

Razem z serwisem rozwijają się twórcy. – Mój pomysł założenia kanału na YouTube wziął się z tego, że sama poszukiwałam tam wiedzy – wspomina Ewa z Red Lipstick Monster. – Oglądałam głównie amerykańskie i brytyjskie tutoriale, bo polskich prawie nie było.



YouTube Space zaoferuje ci wiedzę ogólnie dostępną w sieci, ale uczyni to w przemyślane, uporządkowany i twórczy sposób.



Na youtube'owych kanałach znajdowałam rady i informacje, których nie było w magazynach czy nawet w profesjonalnych podręcznikach. Postanowiłam założyć kanał po polsku, żeby wypełnić lukę. Do dziś oglądam produkcje twórców, którzy mnie zainspirowali. Wielu z nich przeszło ogromną ewolucję. Kanały początkowo prowadzone przez jedną dziewczynę z kamerą są dziś wielkimi biznesami.

Jeszcze nie jest za późno, żeby wejść w YouTube'a, ale nisze na polskim rynku zaczynają się zapełniać. Jeśli więc chcesz zostać gwiazdą pokolenia C, najlepiej zacznij od zaraz.

Jeśli nie YouTube, to co?

- **Instagram** – serwis fotograficzno-społecznościowy od czerwca pozwala na wgrywanie filmów. I jak na Instagrama przystało – są filtry!
- **Vimeo** – bardziej artystyczna wersja YouTube'a. Mniej lol-kotów, więcej powagi.
- **Blip.tv** – reklamuje się jako sieć telewizyjna nowej generacji. Przeważają internetowe seriale i inny seryjny content.
- **Dailymotion** – filmy podzielone na kategorie, profesjonalne materiały bardziej eksponowane niż amatorskie. Serwis stawia na budowanie własnej społeczności.
- **Metacafe** – specjalizuje się w krótkich filmikach. Główne kategorie to: Epic Fails, muzyka, kino, gry komputerowe.
- **Veoh** – w serwisie można umieszczać filmy bez ograniczeń ze względu na wielkość pliku.
- **Viddler** – opcja dla marketingowców. Target Viddlera to firmy, które chcą budować swoją markę za pomocą wideo.

GRZEGORZ SIEMIONCZYK

Miłość do browaru

Browar kontraktowy to taki, który warzy **autorskie piwo** w wynajętej warzelni. Dla wielbicieli oryginalnego piwa spisaliśmy żywoty ośmiu świętych firm, które zbawiły polską scenę napoju z pianką.

PINTA. Radość z warzenia!

atak chmielu

Fantazyjnie
nachmielone piwo w stylu
American India Pale Ale.

Pierwsza polska AIPA! Atak Chmielu warzimy od 28 marca 2011 roku. Nasza AIPA to czerwono-międżane, trzcinowe piwo górnej fermentacji. Smak i aromat cytrusowy, kwiatowy, żywiczny, sosnowy i owocowy pochodzi od amerykańskiego chmielu, którego Wam nie zażywamy. Bujne chmielenie solidnie podbudowane słodami aromatycznymi.

PINTA opracowuje receptury, sprowadza odpowiednie surowce, nadzoruje proces warzenia i rozlewu piwa w zaprzyjaźnionych browarach. Więcej informacji: www.browarpinta.pl

Butelka bezzwrotna.

5 905331 025782 > 500 ml

Przechowywać w chłodzie. Najlepiej spożyć przed:

Piwo warzone i rozlewane przez PINTĘ w Browarze na Jurze (Zawiercie, Polska). Dystrybucja: Kraina Piwa: www.krainapiwa.pl, e-mail: krainapiwa@gmail.com

PINTA

atak chmielu

AMERICAN IPA 15,1°

Skład: słody Weyermann*, pale ale, melanoidynowy, Carahell® Carapils®, chmiel (USA), Citra®, Simcoe®, Cascade, Amarillo®, drożdże Safale US-05.

Surowce dla PINTY dostarcza Browamator.

Piwo pasteryzowane.

Ekstrakt: 15,1% wag.
Alkohol: 6,1% obj.
Wartość IBU: 58

9-10°C TEMPERATURA SERWOWANIA

POLECANE SZALO

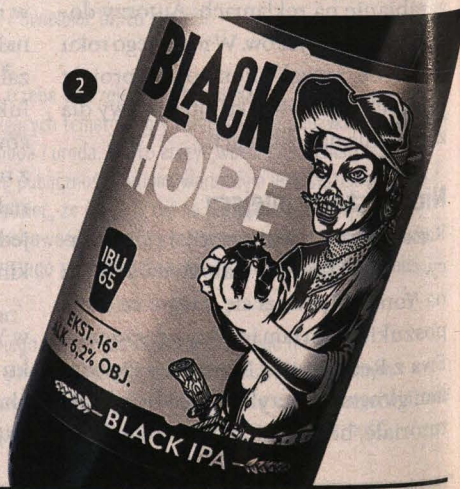
POLECANE DO: SOLONE GRZESZKA, CURY, PRZEDZINA WODOWA

1 Pinta

W kontekście piwa Pinta jednoznacznie kojarzy się z miarą objętości. Ale pierwszy w Polsce browar kontraktowy nazwę zapożyczył od jednego z trzech statków, na których Krzysztof Kolumb wyprawił się do Indii, a przypadkiem odkrył Amerykę. – Chcieliśmy warzyć piwa, których wcześniej w Polsce nikt nie warzył. To jakbyśmy odkrywali Amerykę – tłumaczy Ziemowit Fałat, jeden z trzech założycieli Pinty. Adekwatnie do tej filozofii browar zadebiutował w maju 2011 r. Atakiem Chmielu – pierwszym polskim piwem w stylu American India Pale Ale (AIPA), będącym na świecie wizytówką browarów „nowej fali”. Pasjonaci piwowarstwa, skupieni na forum browar.biz, uznali je za piwo roku 2011 r. Do dziś praktycznie wszystko, co wymyśli załoga Pinty, staje się objawieniem.

Do niedawna stawiała na wzorcowe przykłady nieznanych nad Wisłą stylów. Tak powstały m.in. owsiany stout Dobry Wieczór, wiedeński lager Odsiecz Wiedeńska, altbier Stare ale Jare czy podwędzany koźlak Jak w Dym. Już ta próbka pokazuje, że praca nad recepturami nie spycha na dalszy plan kwestii nazewnictwa. Choć Pinta nie zakończyła jeszcze przeglądu ugruntowanych stylów piwa (jest ich co najmniej 80), już chce tworzyć nowe. Ta ambicja zmaterializowała się wiosną tego roku w postaci ryżowego IPA Oto Mata IPA. Wcześniej powstał Koniec Świata, wariacja na temat sahti. Polska interpretacja tego archaicznego fińskiego piwa fermentowanego drożdżami piekarskimi i przyprawianego szyszkojagodami jałowca zamiast chmielu może być w świecie piwowarskim wydarzeniem na miarę odkrycia przez Amerykanów stylu IPA.

Twórcy Pinty zapisali się w annałach polskiego piwowarstwa jeszcze przed jej narodzinami. Fałat jest m.in. właścicielem sklepu dla piwowarów domowych Browamator. Grzegorz Zwierzyna to szef Piwiarni Żywieckiej, gdzie wraz z Markiem Semlą – trzecim załogantem – organizują największy w Polsce festiwal piwowarski Birolilia.



2 Ale Browar

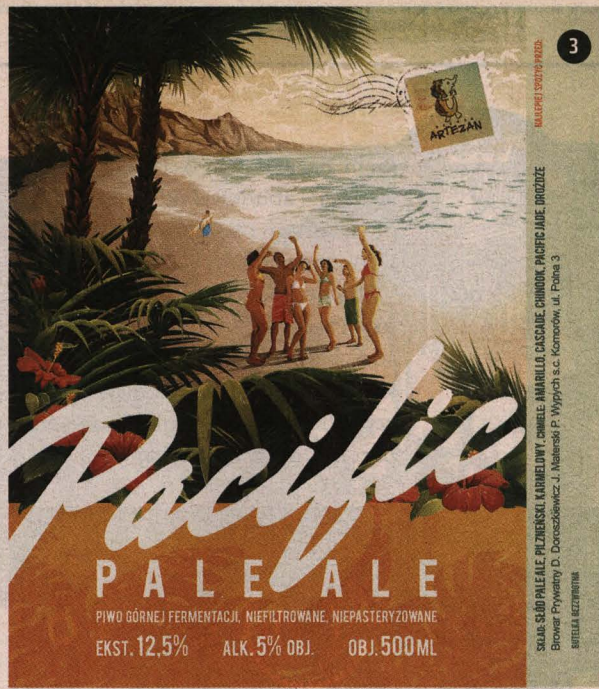
Choć to Pinta zaszczerpiła w Polsce piwną rewolucję, rozprzestrzeniającą się od lat 80. z USA, jej bardziej typowym rycerzem jest Ale Browar. Drugi nad Wisłą browar kontraktowy, który ruszył w maju 2012 r., konsekwentnie kreuje swój wizerunek buntownika. Sprzyjają temu zadziorne, turpistyczne etykiety oraz anglojęzyczne nazwy. Założyciele – Bartosz Napieraj, Arkadiusz Wenta i trzeci, formalnie anonimowy – nie kryją, że ich piwo ma wyglądać równie dobrze, jak smakuje. Inaczej nie przekona do siebie nikogo poza wąską grupą już przekonanych. A smakuje doskonale. Roving Jack, druga polska AIPA po Ataku Chmielu, w plebiscycie browar.biz została piwem roku 2012.

Ale Browar, co podpowiada nazwa, koncentruje się na piwach górnej fermentacji, czyli ale. To jedno z takich ograniczeń, które – paradoksalnie – wyzwalają twórczy potencjał. W stałej ofercie jest m.in. Black Hope, czyli pierwsza nad Wisłą czarna IPA, oraz mleczny stout Sweet Cow – także pionierski. Podobnie jak większość rzemieślniczych browarów na świecie, Ale Browar warzy też piwa sezonowe, jak dyniowy ale Naked Mummy. Wkrótce, jak zapowiada Bartosz Napiera, w sprzedaży będzie stale co najmniej sześć piw. Ale Browar, który dotąd warzył w browarze Gościszewo, buduje bowiem w Trójmieście własną warzelnię, a przy niej firmowy wyszynk.

Zmian ma być więcej. Dotychczas Ale Browar wszystkim swoim wyrobom nadawał amerykański pazur. Teraz chce też przybliżyć polskim piwoszom klasyczne style piwa. Pierwszym ale z linii Orthodox był stout, ale z ortodoksją miał niewiele wspólnego. Wygląda na to, że rewolucyjniści tylko udają, że chcą spokornieć.

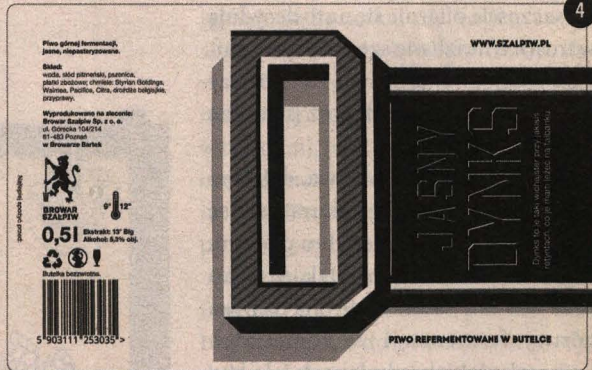
3 Artezan

Jacek Materski za młodu marzył, aby stworzyć napój, który mógłby konkurować z coca-colą i pepsi. Mieszał kawę ze startymi ogórkami i innymi składnikami. Wtedy nic z tego nie



wyszło. Dziś, jako jeden z trzech założycieli browaru Artezan, warzy Pacific Pale Ale, które rozchodzi się na pniu. Nic dziwnego, bo lekkiego, ale wyrazistego piwa na polskim rynku brakowało. Takiego, które „pijalnością” dorównywałoby jasnym lagerom, dominującym w ofercie największych koncernów, a zarazem miało więcej niż one charakteru. I tak właśnie jest: dzięki aromatycznym i goryczkowym chmielom z nowego świata Pacificowi ikry nie brakuje.

To, że takie ambicje ma niewielki browar z Natolina pod Grodziskiem Mazowieckim, może śmieszyć. Ale Artezan, choć zadebiutował nieco ponad rok temu, ma już tradycję zaskakiwania sceptyków. Zrazu nie wierzono, że Materski et consortes – Piotr Wypych i Dariusz Doroszkiewicz – w ogóle uruchomią produkcję. Uparli się bowiem, by zamiast wzorem Pinty i Ale Browaru podnając linię produkcyjną, zbudować własną. I to własnym sumptem, przerabiając na kadzie, fermentory i tanki rozmaitej proveniencji złom metalowy. Potem zaskoczeniem były białe etykiety z kolorowym językiem, które w ocenie piwoszy wyglądały amatorsko i kojarzyły się raczej z lemoniadą niż piwem. – Tamte etykiety miały pokazać, że to nie jest powrót do tradycji, tylko coś nowego – deklaruje Materski.



To jeden z nielicznych stylów hybrydowych, będących połączeniem lagera i ale, czyli – odpowiednio – piwa dolnej i górnej fermentacji. Ta pierwsza przebiega w warunkach chłodniczych i daje piwo czyste i przewidywalne w smaku, jeśli pozwoli mu się dojrzewać przez kilka tygodni. Fermentacja górna przebiega w temperaturach po-

Ostatecznie Artezan zmienił stylizację, ale postępowej filozofii nie porzucił. Uwarzył m.in. Dziadka Mroza, rosyjski w stylu, imperialny stout („imperialny” w piwowarskim żargonie oznacza tyle, co supermocny), najmocniejsze piwo w Polsce.

W aptecznej ilości oferował Chateau, kwaskowate piwo dojrzewające w beczce po Bordeaux. Eksperymentom nie ma zresztą końca, nawet receptura Pacifica wciąż ewoluuje.

4 SzalPiw

Browar kontraktowy, któremu drogę utorował drugi największy w Polsce koncern piwowarski, Grupa Żywiec. Jan Szała, który SzalPiw założył wiosną tego roku wraz z ojcem Wojciechem, w 2011 r. wygrał największy nad Wisłą konkurs piw domowych, tworząc festiwalowi Birolilia. Od kilku lat nagrodą jest możliwość uwarzenia piwa wedle zwycięskiej receptury w Browarze Zamkowym w Cieszynie należącym do Grupy Żywiec. Koncern zapewnia mu też relatywnie szeroką dystrybucję. W ten sposób Szała uwarzył swoje pierwsze komercyjne piwo: w charakterystycznym dla Kolonii stylu koelsch.

kojowych, jest szybsza, ale daje piwo o bardziej złożonym smaku. Koelsch powstaje przy wykorzystaniu drożdży górnej fermentacji, ale w temperaturze bliskiej dolnej granicy ich tolerancji, po czym dojrzewa niczym lager.

SzałPiw też stawia na swego rodzaju hybrydy: warzy piwa o belgijskim rodowodzie, ale z amerykańskim – czyli rewolucyjnym – przechyłem. Powstają w browarze Bartek w wielkopolskim Pleszewie. Ich znakiem rozpoznawczym są nazwy zaczerpnięte z poznańskiej gwary, np. Szczun, Bździągwa, Rojber, a ostatnio Dynks. Najlepsze recenzje jak dotąd zbierał ten pierwszy: treściwy trippel, wzbogacony amerykańskimi chmielami.

5 Pracownia Piwa

Jeśli Pinta i Ale Browar to piwowskie podziemie, to jak określić Pracownię Piwa?

Uroczego jelonka w krawacie, będącego twarzą tego browaru z podkrakowskiej Modlniczki, na razie kojarzy tylko wąskie grono bywalców piwowskich festiwalu i wielokrotnych pubów (tzw. multitałów). Bo rzemieślniczym browarom butelkowanie – przy tej skali produkcji zazwyczaj ręczne – raczej się nie kalkuluje. Na szczęście ofiarne się na to decydują w trosce o możliwie szeroką dystrybucję i rozpoznawalność. I tak miesiąc temu do sklepów trafiły też pierwsze butelki z jelonkiem.

A wyroby Pracowni Piwa, działającej od wiosny br., mają akurat szansę przypaść do gustu nie tylko piwnym zapaleńcom. Podobnie jak Artezan i Ale Browar, nastawia się ona na piwa górnej fermentacji w angielskich i amerykańskich odmianach, ale bez popadania w skrajności, bez wypraw na niezbadane granice stylów. Każdy mały browar deklaruje, że jego piwa są pełne pasji, ale w tym wypadku nie ma co do tego żadnych wątpliwości: Tomasz Rogaczewski, jeden z założycieli Pracowni Piwa, porzucił dla niej pracę dyrektora w firmie IT. Wraz z dwójką współników – innym utytułowanym piwowarem domowym Mar-

kiem Bakalarskim oraz Martą Osadkowską – zbudował od podstaw i wedle własnego planu browar w dawnej wytwórni ogórków konserwowych.

Jak przystało na rzemieślników, ekipa z Pracowni Piwa dba o każdy detal swoich wyrobów. Na przykład o nazwy, które choć po angielsku, mają się kojarzyć z Krakowem. Debiutanckie piwo pszeniczne w amerykańskiej inter-

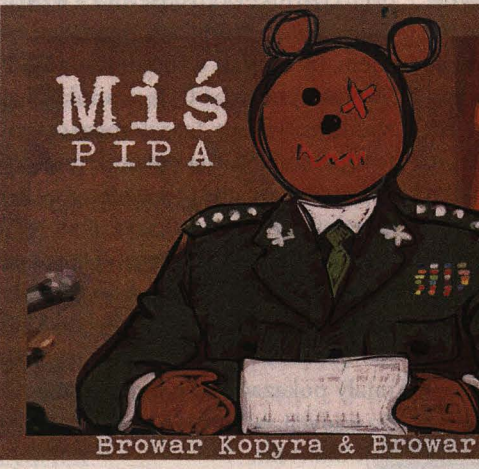
wary. Pewnego dnia udał się do liczącej niespełna 1000 mieszkańców podwrocławskiej wsi Chrzastawa Mała, gdzie jakiś szaleniec w istniejącej już restauracji otworzył browar. W dodatku wyposażony w warzelnię drogiej niemieckiej marki Kaspar Schultz o zaskakująco dużym – jak na możliwości zbytu – wybiciu (mocy produkcyjnej). Jak się okazało, na ten karkołomny na pierwszy rzut oka pomysł wpadł Wojciech Frączyk, właściciel restauracji, szef kuchni i piwowar w jednej osobie. W toku rozmowy Kopyra zauważył, że browar ma skrajnie przewidywalną ofertę: jasny i ciemny lager plus pszenicznik. Spytany, jak by ją wzbogacił, zaproponował stouta: bo jest łatwy do uwarzenia, mało znany w Polsce i zarazem wysoce pijalny. Wypalił też zuchwale, że służy pomocą, gdyby Frączyk potrzebował pomocy w opracowaniu receptury. A ten z propozycji skorzystał, na dodatek dał blogerowi całkowicie wolną rękę.

Tak w czerwcu 2012 r. wykuł się Kruk, pierwsze polskie piwo w stylu amerykański dry stout, od angielskiego pierwowzoru odbiegający większą goryczką, silniejszymi nutami palonymi i intensywnym aromatem amerykańskich odmian chmielu. Kopyra swoim pierwszym komercyjnym piwem zaliczył więc swoisty dla polskich piwowarów-rzemieślników egzamin dojrzałości, polegający na uwarzeniu piwa w stylu, jakiego nikt dotąd na tę skalę nad Wisłą nie warzył. Dziś duet Kopyra/Frączyk ma na koncie kilka takich

pretacji nazywało się Hey Now, potem był m.in. angielski brązowy ale Plan T, a ostatnio podwędzany stout Cent U.S. Nie trzeba chyba dodawać, że wszystkie były pierwszymi polskimi przedstawicielami swoich stylów.

6 Browar Widawa/Browar Kopyra

Historia tego browaru kontraktowego to ewenement na skalę światową. Tomasz Kopyra jako znany piwny bloger i publicysta, piwowar domowy oraz certyfikowany sędzia piwny regularnie wizytuje polskie i zagraniczne bro-



Miś PIPA

Producent: Rodzinny Browar Widawa, Gospoda pod Ozarnym Kuram s.c. Chrzastawa Mała, ul. Wrocławska 97, www.browarwidawa.pl

Przechowywać w temp. 0-4°C. Chronić przed nasłonecznieniem. Najlepiej spożyć przed:

Browar Kopyra & Browar Widawa

Miś - Polska IPA

Piwo jasne, górnej fermentacji, niefiltrowane, niepasteryzowane. Chmielone jedną odmianą chmielu: Sybilla.

Receptura: Tomasz Kopyra

Skład: woda, słody: pale ale, karmelowy, pszeniczny, chmiel Sybilla (PI), drożdże Safale S-04.

Alk. 6,2 % Obj. Ekst. 16,0% Wag.

Obj. 330ml

BUTELKA BEZZWROTNA

wyczynów. Między innymi Miś, który zapoczątkował nowy styl PIPA, czyli Polish India Pale Ale. To wybitnie goryczkowe piwo górnej fermentacji z użyciem wyłącznie rodzimych odmian chmielu. Uwarzyli też Sępa, czyli AIPA doprawione próbkami chmielu, które wysepił od amerykańskich plantatorów na targach w Norymberdze. – Nasze piwa mają być jak cios w szczękę. Chcemy, żeby zapamiętał je nawet ktoś, kto próbował już setek piw – przyznaje bloger.

7 Browar Staromiejski Jan Olbracht

Do piwnego fermentu mogło u nas dojść co najmniej kilka lat wcześniej, nim wywołała go załoga Pinty. Piwosze nadziei upatrywali w browarach restauracyjnych, które zaczęły pojawiać się już w latach 90. Szybko jednak się okazało, że nie mają one zamiaru leczyć Polaków z uzależnienia od lagerów. Z piw górnej fermentacji na ogół proponowały tylko pszeniczne, sporadycznie stouta. Z dużymi koncernami miały konkurować jakością, ale i pod tym względem bywało różnie, bo często się zdarzało, że oszczędzały na surowcach, a w okresie letnim serwowały piwo niedojrzałe.

To się powoli zmienia, m.in. za sprawą toruńskiego Jana Olbrachta, który jako jeden z pierwszych browarów restauracyjnych postanowił otworzyć się na współpracę z utytułowanymi piwowarami domowymi. Zaowocowała ona m.in. Goryczą Tropików, cytrusowym od nowozelandzkich i australijskich chmieli konkurentem dla Pacific Pale Ale Artezana, uwarzonym wedle receptury blogera Bartosza Nowaka. Z kolei Bartłomiej Łyczak zaproponował Kochanicę Olbrachta, amerykańską pszenicę rywalizującą z Hey Now z Pracowni Piwa. W środowisku piwowarskim można usłyszeć sarkanie, że wytworne etykiety, zdobione złotymi akcentami, gryzą się z niszowym charakterem tych piw. To opinia z gruntu niesłuszna. Są to przecież projekty



Gorycz Tropików

Receptura: Bartosz Nowak

Piwo w stylu New Zealand Australian Pale Ale

Skład: woda, słody: pale ale, pilzeński, carapils, pszeniczny, chmiel: Galaxy (AUS), Topaz (AUS), Summer (AUS), Waimea (NZ), Mouteka (NZ), Pacifica (NZ), drożdże Safale US-05

Temp. serwowania 8-10°C

Ekst. 11,3° BLG Alk. 4,4% Obj.

Wyprowadzono przy współpracy z piwowarami domowymi w Browarze Staromiejskim Jan Olbracht ul. Szczupła 15, 87-100 Toruń www.browar-olbracht.pl

Butelka bezzwrotna. Chronić przed światłem, przechowywać w chłodzie.

Należy spożyć przed:

500 ml

jednorazowe, a więc maksymalnie ekskluzywnie: kto raz nie spróbował, nie będzie miał okazji. Na szczęście będąca w stałej ofercie Śmietanka Toruńska, klasyczny niemiecki weizen, też jest co najmniej godny uwagi.

8 Minibrowar Haust

Podstawowe składniki piwa to woda, słód, drożdże i chmiel. Ten ostatni jednak często jest, dla oszczędności, zastępowany bydlęcą żółcią. Tak głosi jeden z najpopularniejszych piwnych mitów, oczywiście fałszywych. Do niego nawiązywała nazwa najbardziej nachmielonego piwa, jakie dotąd powstało w Polsce. Ox Bile (ang. bydlęca żółć), uwarzona wiosną w zielonogórskim

browarze restauracyjnym Haust według receptury piwowara domowego Michała Kuli, miała 104 międzynarodowe jednostki goryczy (IBU).

Bycza Żółć odebrała palmę pierwszeństwa Sharkowi autorstwa duetu Kopyra/Frączyk, który miał 98 IBU. Dla porównania Atak Chmielu, jawiący się konsumentom przyzwyczajonym do popularnych lagerów jako ekstremalnie gorzki, miał zaledwie 58 IBU. Imperium Atakuje z Pinty, pierwsze w Polsce przed Ox Bile piwo w stylu Imperial India Pale Ale, mogło się pochwalić 81 IBU. To nie jest jałowa wyliczanka. Na całym świecie rzemieślnicze browary lubują się w warzeniu piw skrajnie nachmielonych (i ogólnie skrajnych pod każdym względem), więc to, że i u nas rozpoczęła się na tym polu rywalizacja, można uznać za świadectwo dojrzwienia polskiego rynku.

Browar Haust powstał w 2004 r. i od początku miał wśród piwoszy dobrą opinię, ale do piwnej awangardy dołączył dopiero gdy w ub.r. podjął współpracę z Kulą. Ten uwarzył w zielonogórskim browarze już kilka „rewolucyjnych” piw, z których najlepsze recenzje zbierały Robust Porter i Red AIPA. Niestety, niezbyt udany był American Lager, czyli agresywnie chmielone piwo dolnej fermentacji, które miało szansę obalić kolejny piwny mit: że dominujące w Polsce „jasne pełne” musi być beczpłciowe.



OX BILE

20° Blg ALK. 8,6% Obj.

Skład: słód-jęczmienny, Chmiel-Chinook, Palisade, Centennial, Drożdże-US-05

Przechowywać w warunkach chłodniczych i należy spożyć w ciągu 21 dni.

Minibrowar Haust Plac Pocztowy 9 65-305 Zielona Góra +48 68 325 66 70

RECIPE BY BREWERY OF HAUST & KULI

IMPERIAL INDIA PALE ALE

MIROSŁAW WLEKŁY

Tadek Uciekinier

„Skrwawnięte serce” usłyszą pierwszy raz, gdy po wódce zaśpiewa je Połomka, kierowca TIR-a. Gdy zaśpiewają je w Opolu, publiczność oszaleje, a telewizja BBC zaproponuje im kontrakt i wydanie płyty.



REPR. MIREK WLEKŁY

Tadek musi uciekać. Jego ojciec nie zniósł w domu syna-artysty. Ojciec jest twardym mężczyzną. Z zasadami. Przedwojenny policjant, do końca życia chodzi w oficerkach. Pierwszy syn i jedna z córek giną mu na wojnie. Drugi syn zaraz po wojnie woli się usamodzielniać i już nie wraca do rodziny. Trzeci, Tadek, idzie do liceum plastycznego, czym upoka-

rza ojca, którego ulubienicą w rezultacie zostaje najmłodsza córka. Bo w życiu zawód trzeba mieć, a nie tam jakaś plastyka. Malarstwo! Ojciec nigdy nie zaakceptuje takich bzdur, więc Tadek łąduje na ulicy.

Choć i tak ma szczęście, że się urodził. W czasie wojny rodzina ukrywa się w Bieżanowie pod Krakowem, gdzie ojciec obok domu zbudował

Zespół Walcmány pod wodzą Tadeusza Zielińskiego podczas Sylwestra w TVP. Z prawej u góry pamiętny pierwszy bis w dziejach festiwalu w Opolu, niżej program otwarcia Adrii z udziałem dolnośląskiej kapeli.

schron dla całej rodziny. Ale pod koniec ciąży, w bólach porodowych, matka poprosiła o przeniesienie do wygodnego domu. Ryzyko jest ogromne, bo dookoła świszczą kule – i rzeczywiście: pocisk artyleryjski trafia w posesję, tyle że zamiast domu roznosi na strzępy opuszczony schron.

W takich okolicznościach Tadek przychodzi na świat. Jest rok 1944. 15 lat

później matka wyśle synowi tak gorzki list, że ten zapamięta go do końca życia.

W podstawówce jest niewysoki, buzie ma okrągłą, nos wydatny, przedziałek na prawą stronę. Koledzy wytykają go palcami, bo zamiast z tornistrem ojciec każe mu chodzić z ułańską raportówką. Są tym bardziej złośliwi, że w szkole zjawia się spóźniony o kilka dni (bo w Mławie rodzina załatwiała sprawy spadkowe). No a w Poznaniu, jak ktoś dokądś przychodzi spóźniony, to już jest obcy.

Dlatego gdy przenoszą go do innej szkoły, już się nie spóźnia. Błyszczący od pierwszej lekcji, szybko zostaje prymusem.

Sąsiadki z Jeżyc mają go i innych chłopaków z ulicy za chuliganów. Mówią, że przeżył wojnę, ale z tymi główniarzami rady sobie nie dadzą. Chłopcy biegają po okolicy ze znalezionymi gdzieś karabinem i granatami, a z ziemi wygrzebuje niewybuchy. Kiedy detonują je w ognisku, ogień raz idzie aż pod samo niebo. Tak bawią się po wojnie dzieci, jeśli pod ręką nie ma starej puszeki, by pograć w piłkę.

Żeby nie mieć więcej głupich pomysłów, Tadek zapisuje się na boks w klubie Grunwald. I urzęduje z kolegami pierwszy w życiu teatr uliczny. Kępka trawy plus nieć, a przechodnie myślą, że to jeź. Sąsiedzi w oknach żądają bisów, zarykują się ze śmiechu.

Później w piwnicy dzieci organizują teatrzyk kukielkowy, wystawiają u sąsiadki „Janka Muzykanta”. Oczywiście pod nieobecność ojca, który do późna pracuje jako dyspozytor kolejowy w rzeźni miejskiej na Garbarach. Gdyby zobaczył aktorskie popisy syna, na pewno by się wściekł.

Kiedy w końcu Tadek tego nie wytrzymuje i ucieka z domu, jest zima. Pada śnieg, a on ma buty cienkie jak z tektury. W worku marynarskim chowa łyżkę, widelec, kilka książek. Ciuchy do wyprania podrzuca kolegom. Mieszka w poniemieckich koszarach, na działkach, w nieużywanych wagonach. Antek Szpakowski z okna rzuca mu chleb ze smalcem i właśnie wtedy



REPR. MIREK WLEKŁY

„To był świat”

wykonawcy:

ANITA DYMSZÓWNA
BARBARA RYLSKA
BOHDAN ŁAZUKA
JERZY DUSZYŃSKI
MIECZYSLAW ŚWIECICKI

oraz

Kapela „WALCMANY”

Kwartet Taneczny
zespół muzyczny „ADRIA RYTM 73”

scenariusz i reżyseria:
MARIAN PYSZNIK I MAREK WILEWSKI

choreografia:
ZBIGNIEW NOWOCIEŃ

Premiera – lipiec 1973 r.

ADRIA – jeden z najślawniejszych lokali Warszawy dwudziestolecia międzywojennego, miejsce spotkań i zabaw, miejsce występów najznakomitszych artystów i piosenkarzy ówczesnego okresu, wznowia po latach przerwy swą działalność. Przypadł nam w udziale zaszczyt otwarcia działalności artystycznej w tym nowym, a jakże już zasłużonym warszawskim lokalu, który – mamy nadzieję – będzie kontynuatorem świetnych tradycji.

Otwólcie ADRII pragniemy uświetnić programem nawiązującym charakterem repertuaru do lat dwudziestolecia międzywojennego, do czasów sławnych kabaretów tamtej Warszawy: „Qui pro quo”, „Morskiego Oka”, „Niebieskiego Ptaka”, „Mamuś”... do czasów świetności Adrii, do czasów i miejsc gdzie rodziły się gwiazdy zapisane złotymi literami w historii naszego kabaretu (Ordynówna, Zula Pogorzelska, Siostry Halamy, Dymśka, Ludwik Sempoliński, Lopek Krukowski i wielu innych).

Prezentowany obecnie program przeniesie nas w świat piosenki dawnych mistrzów – Warsa, Własta, Golda, Petersburskiego, starych romanów, sławnych przebojów.

Życzymy miłego spędzenia czasu
STOLECZNA ESTRADA

REPR. MIREK WLEKŁY

Tadek uczy się pić piwo, które skutecznie zabija głód.

Raz łapie go milicja, ale ucieka z komendy.

Wiosną śpi na ławce. Latem jeździ stopem. Noce spędza w stodołach, czasem w klasztorach. I przez cały czas chodzi do szkoły plastycznej, aż w końcu jeden z nauczycieli za ucho ciągnie go do domu. Poważnie rozmawia z ojcem. Ustalają: chłopak wróci do rodziny, ale z ojcem traktować się będą jak powietrze.

Tadek wytrzymuje miesiąc. I znowu ucieka.

Rodziców spotka dopiero na swoim weselu. Ojciec wybaczy mu, gdy Tadeusz pomaluje domek letniskowy. Przekona się, że oprócz sztuki syn potrafi robić też praktyczne rzeczy.

Żaba Gitarzysty

Na stary cmentarz zaciąga go Zosia, druga czy trzecia miłość w życiu. Chłopak wybiera grobowiec rodziny Rauchtów. Wąskie wejście, ołtarzyk, odsuwana płyta, pod ziemią trumny. Cynkowe, wewnątrz drewniane. Pootwierane. Splądrowane. Wewnątrz łachmany i kości. Niewiele czasu minęło od zakończenia wojny. Ktoś pewnie szukał tu złotych zębów.

To będzie jego dom. Najbezpieczniejszy, bo nie ma tu żywej duszy i nawet milicja boi się zaglądać.

Grobowce są jak kwadraty. Przypominają domki namalowane przez dziecko. Zadomowiwszy się na cmentarzu, Tadek zaczyna zapraszać gości. Urządzają wieczory artystyczne: gitara, śpiew, wiersze, papieros w zębach kościotrupa. Ulubioną czaszkę wynoszą na ulicę. Zaczepiają dziewczyny, częstują z czaszki cukierkami. Poruszając szczękami, śpiewają „Buonasera, signorina”.

Miejscowi nazywają go Żabą, bo w paczce jest najmłodszy. Ma 15 lat, czarne, krótko przyszyte włosy. Na zdjęciu z tamtych czasów nosi fla-



EDWARD BALDYS

nelową koszulę w kratę, jasny pulower i przykrótkie czarne spodnie.

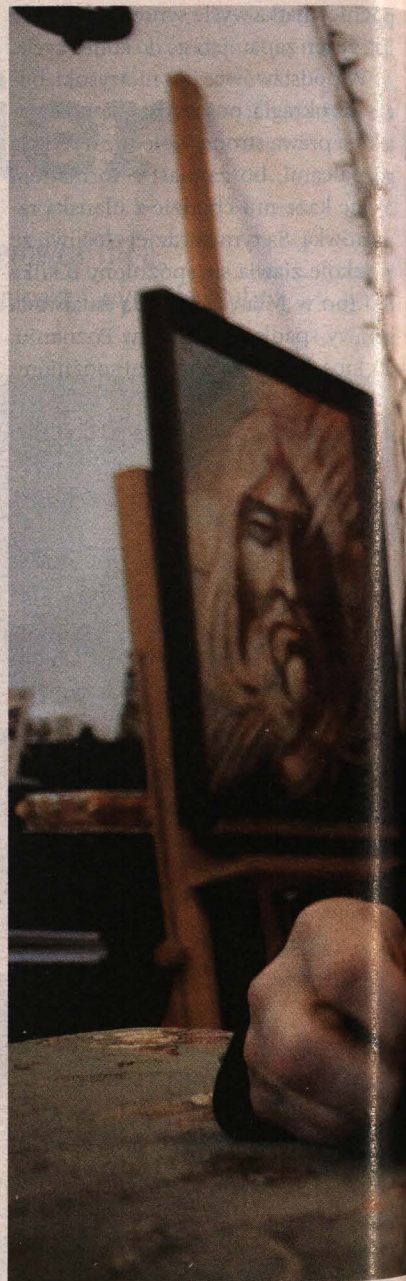
Na wielkopolską prowincję trafił w środku lata. Przyjechał na chwilę, żeby w miłym cieple pobyczyć się nad jeziorem – ale zostaje w Lesznie na dłużej. Tu Tadek stanie się prawdziwym artystą. Założy teatr Quasimodo, wystąpi w teatrze satyryków, będzie grać, śpiewać i żyć.

W Wigilię 1958 r. włóczy się po okolicy. Zagląda ludziom do okien. Przysiad pod kamienicą. Maluje obraz miasta nocą (po latach krytyk sztuki w TVN powie, że obraz jest „niezwykle dojrzawy”), aż w końcu strasznie marznie. Chowa się w pobliskiej stodole, zasypia na sianie. Wie, że obok w kamienicy mieszka najładniejsza dziewczyna w miasteczku, ale nie spodziewa się, że to jego przyszła żona. Za dwa lata noc wigilijną spędzą wspólnie na piętrze teatru. Ona wykradnie z domu bimber w butelce po oranżadzie i przyniesie byczki. Za niespełna pięć lat będą tuż przed dwudziestką i wezmą ślub, a prawie ćwierć wieku później on ucieknie na drugi koniec Polski.

Ale na razie są młodzi, a w miasteczku rozchodzi się plotka, że na cmentarzu straszny. Żaba wchodzi do grobowca. Po lewej pusta trumna, jego legowisko. Po prawej trumna z wyschniętym szkieletem. Tadek ostrożnie go dotyka, bo coś jest jakby nie tak – i czuje nowego, całkiem świeżego trupa (w okolicy mówi się, że podrzucają je na cmentarze). Więc ucieka z cmentarza i odtąd sypia pod łóżkiem zaprzyjaźnionego syna dyrektora banku lub na scenie domu kultury. Dokarmiają go koledzy, z lodówek swoich rodziców.

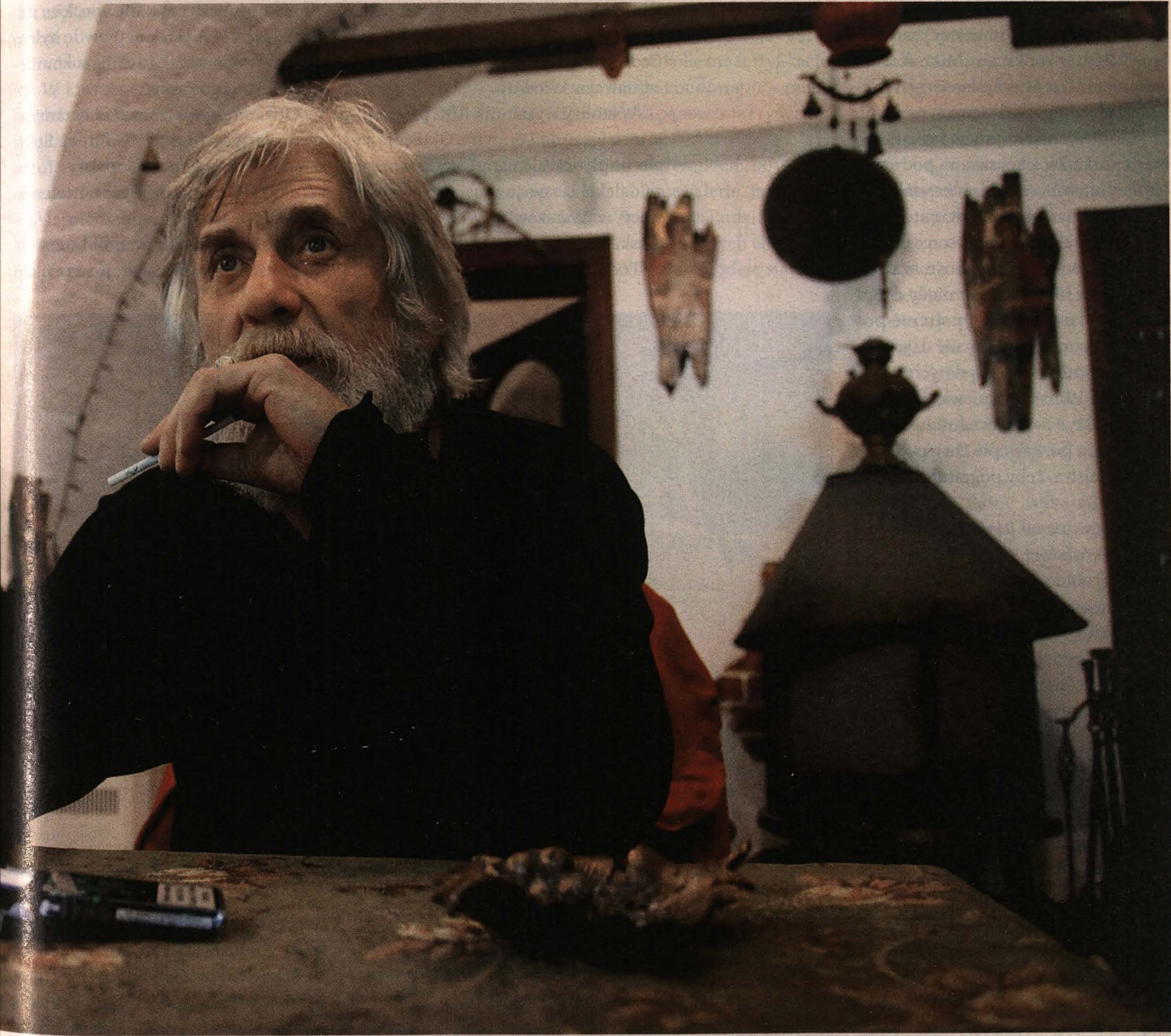
Majster Podwórkowy

Ma teraz pejsy, wasa, a długą czarną grzywkę zaczesuje na prawo. Jest chudy i wysoki. Tak samo jak Jadwiga, małżeństwem są od kilku lat.



Do Góry Śląskiej, gdzie Tadeusz poprowadzi teatr małych form, przenoszą się żukiem. Z Wielkopolski to raptem 20 kilometrów. Na pacy niewiele: kilka regałów, dwa kwiatki w doniczkach, w kabinie piesek. Zajmują piętro w budynku domu kultury (a kiedy teatr zwycięży w ogólnopolskim konkursie, pierwszy sekretarz przydzieli im pierwsze w życiu prawdziwe mieszkanie).

Nad rzeką Baryczą podczas „Złotu letników niedzielnych” w jego głowie



EDWARD BALDYS

rodzi się pomysł, żeby do konkursu andrzejkowego wystawić podwórkową kapelę. Zgłasza się Władzio Kłak, przedwojenny skrzypek. Bluesa czuje też Jurek Jakuczun, ale inni wołają weselne chałtury i big-beat. Podwórkowego grania się wstydzą.

Jest więc problem. Dyrektor domu kultury (tak głosi legenda) naradza się z sekretarzem i proboszczem (Majster pamięta, że Góra Śląska była wówczas miastem, w którym proboszcz pisał se-

kreতারzowi przemówienia, a orkiestra występowała na przemian: to na pochodzie pierwszomajowym, to w kościele). I grozi: kto nie zagra w kapeli, nie będzie miał chałtur.

Zgłasza się siedmiu. Nazywają się po śląsku – Walcmamy (czyli wędrujący mężczyźni, a nie, jak często myślano, facéci tańczący walca). Jest rok 1971. Wrocławski „Magazyn Gazety Robotniczej” po ich triumfie w wojewódzkich eliminacjach zespołów artystycznych

Tadeusz Zieliński w swoim dzisiejszym domu, czyli w poniemieckim bunkrze w Świnoujściu. Po lewej jedna z ikon jego autorstwa, pisanych na deszczułkach wyrzuconych na brzeg przez morze.

pisze, że Walcmamy to „najzabawniejszy zespół przeglądu. Bezpretensjonalny, z dużym wyczuciem artystycznego taktu, wesół jak gromada wróbli, które dobrze wiedzą, o czym ćwierkają”.

Ogólnopolska „Trybuna Ludu” zachwycą się ich „swoistym folklorem przedmiejskim”.

Trzy lata później na festiwalu w Opolu jury po raz pierwszy głosuje jawnie, podnosząc tabliczki z ocenami. Jerzy Połomski śpiewa „Bo z dziewczynami”,

Danuta Rinn „Obywatelu, zostań tatą”, a Anna Jantar „Najtrudniejszy pierwszy krok”. W jury konkursu „Mikrofon dla wszystkich” jest Mieczysław Fogg. Walcmamy jadą do Opolu dwiema syrenkami. W kolorowych kraciastych koszulach, maciejówkach i z apaszkami pod szyją idą wzdłuż widowni. Majster – tak mówią na Tadeusza, bo jest liderem zespołu – śpiewa: „Skrwawnięte serce u pierśców dynda...”. Publiczność szaleje. Domaga się bisu, na który nigdy dotąd w historii konkursu w Opolu nie pozwolono. I organizatorzy nie dają rady uspokoić publiki. Łamią dotychczasową zasadę. Walcmamy śpiewają: „Trzeba łysych pokryć papą, lecz funduszy nie ma na to”, a po występie Fogg podchodzi do Majstra, żeby pogratulować mu zespołu.

I nikomu już nie jest wstyd grać w kapeli podwórkowej.

Teksty zbierają w terenie. Przerabiają, dopisują. „Łysych” znajdują w starym śpiewniku, a „Skrwawnięte serce” słyszą w Górze Śląskiej, gdy po wódce śpiewa je Połomka, kierowca TIR-a.

Po Opolu zna ich już cała Polska. Podpisują kontrakt z Estradą Warszawską. Występują na powojennym otwarciu Adrii, najsłynniejszego lokalu Warszawy. A z nimi: Dymiszówna, Łazuka, Święcicki. Na widowni Jaruzelski. W nocy jest striptiz. W popielnicze znajdują pięć dolarów. Dziwią się, gdy szatniarzowi dają 100 złotych i nie wydaje reszty.

A w następnych dniach na „Różyca” (czyli na bazarze Różyckiego) pojawiają się pocztówki dźwiękowe z ich występem.

Wożą ich z jednego placu Warszawy na drugi. Wieczorem do kawiarni Stolica albo na prywatny koncert dla pani Bierutowej. W nocy poją wódkę.

We Wrocławiu Walcmamy występują z Drodzą i Dzieduszyckim. W środku nocy wyciągają ich z łóżek, by zagrali w pałacu w Trzebiezowicach dla Gierka. Telewizja Polska zaprasza ich na noc sylwestrową na żywo. W czeskiej telewizji grają z Vondráčkovą. Podczas święta Trybuny Ludu na placu Defilad słucha

ich 50 tys. ludzi. Telewizja puszcza ich teledyski. „Łysych” gra każda knajpa uzdrowskowa w kraju. Grają za granicą, nawet w Wiedniu.

W stolicy wysłannik BBC proponuje im wyjazd do Londynu. Obiecuje nagranie płyty. Walcmamy patrzą na mapę: za daleko. Dostyc już mają dwóch miesięcy w Warszawie. Wolą na Dolny Śląsk, do domu.

Pod koniec lat 70. zespół się rozpadła.



Kapela Walcmamy w drodze na festiwal w Opolu, gdzie muzycy rozhuśtają publikę jak nikt dotąd i odbiorą gratulacje od samego Mieczysława Fogg.

Tadeusz Biznesmen

Lenina potrafi namalować w środku nocy. Komitet nie może za portrety płać, więc każe je zamawiać dyrektorom zakładów.

Tadeusz uruchamia fabrykę portretów. Ustawia w rzędzie sztalugi. Maluje: oko, oko, oko... Drugi obchód: nos, nos, nos... Trzeci: usta, usta, usta... Lenin daje mu zarobić pierwsze w życiu duże pieniądze. Płacą zakłady pracy. To początek wielkiego biznesu.

Pozwala sobie na wybryki. W Górze Śląskiej komentuje z trybuny pochód pierwszomajowy: – Rolniku, obsypuj się azotoksem, żeby cię stonka ziemniaczana nie zjadła.

Nikt w miasteczku nie wie, kim naprawdę jest (– A ja tak naprawdę byłem nikim – wspomina). Łącznie z komitetem. Boją się go ruszyć.

Otwiera prywatny zakład ceramiczny i plastyczny przy Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska (– To też sztuka. Nie chciałem być monotematyczny).

Malować potrafi, ceramiki uczy się od podstaw. Piec konstruuje sam. Złoto

w płynie Rosjanie przywożą w butelkach półlitrowych. Wymieniają w restauracji Parkowa (bo tylko tam w nocy była waga) przy wódce.

Co Tadeusz wypali, zaraz się sprzedaje. Na podwórku przed jego zakładem ceramicznym ustawiają się kolejki.

Tak samo po tablice BHP w jego zakładzie plastycznym. Artystyczne, ręcznie malowane. Wyglądają jak zdjęcia. Zakłady niekoniecznie muszą je wywieszać, ale muszą je zamawiać, więc zamówienia spływają z całej Polski.

Zgodnie z umową spółdzielnia oddaje mu i wspólnikom 70 proc. marży. Prezes zakładu zarabia góra 6 tys. Tadeusz w tygodni ma 40. Przez resztę miesiąca się obija. A spółdzielnia ma z ta-

bleć większy zysk niż z działalności rolniczej.

Tadeusz jeździ wypasioną warszawą. W kieszeni zawsze ma wypchany portfel. Szasta pieniędzmi. Szefostwo spółdzielni kłuje to w oczy. Stopniowo obniża mu zarobki, aż w końcu ten zarabia jak sprzątaczk.

Ale pieniędzy uzbierał już dosyć. Może za dużo. Wali się mu małżeństwo. Interes przejmują żona. Jest 1979 r.



Bierze taksówkę, każe się wieźć na koniec świata. Najdalej jest Swinoujście. Dalej po łądzie się nie da. Staje na plaży. Sięga do kieszeni. Klucze od domu na Dolnym Śląsku wyrzuca daleko w morze.

Galernik Malarz

W pobliżu jest latarnia morska, ludzie chodzą tam na spacer. Obok klub żeglarski Cztery Wiatry. Niemieccy turyści piją piwo w knajpcie przy ulicy Jachtowej. Odkąd tu zamieszkał, okolica stała się modna.

Jego gęsta broda jest już szpakowata. Czarne spodnie i bluza podkreślają smukłą sylwetkę Tadeusza. Ma przenikliwe spojrzenie. Siedzimy w przero-

Zespół Zielińskiego na Festiwalu Kulturalnym Związków Zawodowych, „wesoly jak gromada wróbli, które dobrze wiedzą, o czym ćwierkają” („Magazyn Gazety Robotniczej”).

bionym na mieszkanie bunkrze. W czasie wojny było tu niemieckie laboratorium rakietowe. Okoliczne fortyfikacje do obrony miasta zbudowano w połowie XIX wieku za panowania Fryderyka Wilhelma IV.

Nazywają go Galernikiem, bo w mieście zakłada kolejne galerie. Jedna jest poświęcona Twórczości Ludzi Morza (– Musieli robić coś w wolnych chwilach, kiedy ryba nie brała). Modele statków

na, które wyrzucają fale. Przygląda im się. Głodzi pieszczotliwie. A gdy mu się spodoba, zaprasza je do siebie.

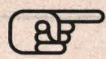
Deski wyrzucone przez burtę, z rozbitych statków, z dalekich łądów w zaciścu pracowni opowiadają mu swoje historie. A on zamienia je w ikony.

Woda je konserwuje. Dzięki wodzie nabierają przedziwnych kształtów. Czasem już po wyłowieniu wyrzeźbione przez morze drewno przypomina anioła lub świętego. Czasami są tak piękne, że szkoda je zamalowywać.

Deski bierze też z rozbieranych w Swinoujściu domów. Muszą mieć przynajmniej 100 lat. Wie to, bo przedwojenny niemiecki cieśla, kiedy kończył budowę, podpisywał się na niej datą.

Pierwszą ikonę wykonał jeszcze w Poznaniu. Była kopia wizerunku świętego Mikołaja z małej drewnianej cerkwi. – Nasi święci byli tacy zwykli: Kowalscy, Nowakowie, tyle że z aureolą. Prawosławni wyglądali naprawdę święcie – wspomina. Pisanie ikon chodziło Tadeuszowi po głowie przez całe życie. Na dobre zajął się nim dopiero w Swinoujściu.

Z całej rodziny Tadeusza Zielińskiego żyje już tylko młodsza siostra, pupilka taty, przedwojennego policjanta, który do końca życia chodził w oficerkach, i jego troje ukochanych dzieci. Kiedy maluje, spogląda na swoją pierwszą pracę – powieszony nad biurkiem obrazek wielkopolskiego miasteczka w wigilijną noc, o którym w TVN powiedzieli, że jest bardzo dojrzały. Walcmanów pamiętają już tylko najstarsi Polacy, choć „Trzeba łysych pokryć papą” nadal śpiewa się na weselach. W niektórych zakładach pracy wciąż wiszą tabliczki BHP, na których Gminna Spółdzielnia Samopomoc Chłopska z Góry Śląskiej zarabiała więcej niż na działalności rolniczej. Jest dumny z kaplicy Stella Maris, którą częściowo pokazano na wystawie Expo w 2000 r., a arcybiskup Przykucki nazwał ją perełką wśród świątyń. Jego ikony wędrują po całym świecie: od Niemiec przez Macedonię aż po Japonię.



ROZMAWIA ŁUKASZ KNAP

Przecinanie pępownicy

Dwaj dokumentaliści, Paweł i Marcel Łozińscy, syn i ojciec, wyruszają samochodem z Warszawy do Paryża. Spotkanie jest okazją do rozliczenia przeszłości. Z podróży miał powstać wspólny film, ale w wyniku konfliktu podczas montażu powstały: „Ojciec i syn” oraz „Ojciec i syn w podróży”. Teraz, gdy obaj reżyserzy są zapraszani na festiwale, przyjeżdżają w różnych terminach. **Paweł Łoziński** opowiada o skomplikowanej relacji z ojcem i gorzkim zakończeniu filmu, które dopisało życie.

Jakie miał pan oczekiwania, kiedy wybierał się pan z ojcem w podróż?

Chciałem go lepiej poznać i tym samym dowiedzieć się czegoś o sobie. W planach była równowaga ról, dwóch bohaterów i dwie kamery, ale to jest niewykonalne. Siłą rzeczy ja bardziej interesowałem się ojcem niż on mną. Tak już chyba jest w relacjach rodzice – dzieci. Ja pytałem, czasem dociskałem, on odpowiadał. Lub nie. Pomyślałem, że jak się dowiem, jaki on jest, jaki był w moim wieku, to może zrozumieć, co jest w bagażu, który dostałem od niego, a który jemu z kolei przekazali rodzice. To był też pomysł na szczerą rozmowę, która miała oczyścić nasze stosunki.

Musielście się zamknąć w samochodzie z kamerą, żeby ze sobą porozmawiać?

Rozmawialiśmy wcześniej, inaczej nie przyszedłby mi do głowy ten film. On się wziął z obustronnej potrzeby, żeby sobie coś powiedzieć. Ale gdyby nie pretekst w postaci tego – jak go nazwaliśmy – psychobusa, nigdy byśmy nie odbyli takiej poważnej i głębokiej rozmowy. W drodze byliśmy odcięci od naszego naturalnego środowiska. Zamknięci w metalowej puszcze stworzyliśmy atmosferę wysokiego ciśnienia. Taki auto-eksperyment na żywych organizmach.

Kamera była narzędziem prawdy?

Kamera stworzyła przymus rozmawiania o sprawach ważnych. Inaczej może gadalibyśmy o pogodzie i widokach po drodze. Ustaliliśmy, że nie ma tabu, rozmawiamy o wszystkim. Wiedziałem, że albo będziemy ze sobą szczerzy i coś się uda, albo będziemy się mizdrzyć i kreować i nic z tego nie wyjdzie. Trzeba było się wypatroszyć, bo tylko wtedy jest nadzieja, że widz będzie mógł odnaleźć się w tej opowieści.

W moim filmie postaci to ojciec i syn, nie dwóch reżyserów, tylko dwóch zwyczajnych ludzi. To film o relacji rodzinnej, a nie o warsztacie pracy. Chciałem, żeby był uniwersalny, zrozumiały dla wszystkich, nie tylko krewnych i znajomych. To eksperyment, bo przez lata robiłem filmy o innych ludziach, z nich wyciągałem zwierzenia. Teraz kamerę odwróciłem na siebie i ojca. Chciałem opowiedzieć o naszej skomplikowanej relacji i trudnej historii rodzinnej. To próba rozmowy na trudne tematy, które, jak mi się wydaje, dotyczą wielu rodzin. Prawie zawsze są jakieś tajemnice, niedopowiedzenia, konflikty. Czasami są napięcia, sami nie wiemy dlaczego.

Miał pan w głowie scenariusz podróży, zanim ruszyliście w drogę?

PAWEŁ ŁOZIŃSKI

rocznik 1965, syn dokumentalisty Marcela Łozińskiego. Ma na koncie film fabularny „Kratka” (1996), ale głównie zajmuje się dokumentem. Najbardziej znane to „Miejsce urodzenia”, „Taka historia” i „Siostry”.

Przede wszystkim miałem bohatera, czyli mojego ojca. Człowieka, który lubi występować i mówić o sobie. Jest inteligentny, dowcipny, niejednoznaczny. Czasem się go lubi, innym razem mniej. To dobry bohater, ciekawa postać. Byłem go ciekaw, chciałem się dowiedzieć, co ma w środku.

Pewnie bez kamery nie umiałbym tego zrobić. Film to dla mnie medium i zarazem sposób na radzenie sobie z trudnymi tematami. Często jest tak, że jeśli czegoś nie rozumiem, nie umiem sobie z czymś poradzić, to stawiam kamerę i robię film. Pytam we własnym imieniu, ale też na użytek widza.

Mam do ojca szacunek za to, że się zgodził na ten eksperyment. Podejrzewam, że mogło go to dużo kosztować. Wiem po sobie, mniej kosztowało. Takie odsłonięcie prywatności nie jest łatwe.

W filmie rozliczacie się z przeszłości.

Zarzuca pan ojcu, że traktował pana jak kumpla, a nie syna.

Tak było. Wadą takiego modelu wychowania jest to, że rodzic-kumpel nie bierze odpowiedzialności za dziecko-kumpla. Ojciec wychowywał mnie eksperymentalnie, wszystko było wolno. Koledzy z klasy mi wtedy zazdrościli, a ja byłem dumny. Takiego mam fanta-



ANDRZEJ GEORGIEW/FORUM

stycznego ojca jak nikt. Bardzo mi imponował, był młodzieńczy, czasem nieprzewidywalny, miał dziecięcą fantazję. Dziś wiem, że dziecko potrzebuje zasad, żeby czuć się bezpiecznie. Na tym chyba polega wychowanie: na stawia-

niu granic i ich egzekwowaniu. Pełna wolność jest dla dziecka obciążeniem, trzeba samemu o sobie decydować, ale na to jeszcze za wcześnie i nie wiadomo, jak sobie z tym poradzić. To też trochę odbiera dzieciństwo.

Ten ojцовski eksperyment był przy okazji sprytnym ruchem, ponieważ uniemożliwiał bunt. Bo jak tu się buntować przeciwko ojcu, który pozwala na wszystko? Więc się buntowałem przeciw mamie.

Ojciec nie miał żadnych wymagań wobec dzieci?

Pewnie, że miał, nie mogły być zwyczajne, szare. Chciał, żebyśmy byli kimś. Ktoś to jest na przykład artysta. Nie wystarczy być dobrym kierowcą autobusu, dobrym szewcem czy piekarzem. Gdyby go zapytać, pewnie by zaprzeczył, ale tak naprawdę była presja, że jego dzieci nie mogły być byle kim. Moja młodsza córka chce być weterynarzem, a ja sobie myślę, że to jest piękny zawód.

Pan wychowywał dzieci na kontrze wobec ojca?

Nie wiem, czy na kontrze. Starałem się odruchowo dać im to, czego sam nie dostałem. Zapewne moi rodzice też się starali być lepsi od swoich. Są z wojennego pokolenia, mieli ciężko, więc ja pewnie miałem lepszą sytuację wyjściową niż oni. Wstawałem rano, żeby zrobić dzieciom śniadanie, a potem odprowadzić je do szkoły, bo mi tego w dzieciństwie brakowało. Starałem się też dać takie bezwarunkowe uczucie, które należy się z urodzenia. Ale też pewnie będę z tego rozliczony. Zazdroszczę tym, którzy dostali od rodziców pakiet klarownych reguł. Chyba łatwiej się potem żyje.

Oglądając film, miałem wrażenie, że pana ojciec nie chciał rozdrapywać starych ran.

Mamy chyba różne podejście do uczuć, różne strategie: on woli je gdzieś zakopywać, ja staram się o nich mówić. Więc siłą rzeczy nasza rozmowa w filmie czasem wygląda tak, że ja coś próbuję wykrzyczeć, a ojciec milczy. Ale myślę, że to, że mnie wysłuchał, to już jest dobrze. Wielu ludzi nie miało szansy bycia wysłuchanym przez rodziców. A to ważne.

„Ojciec i syn” pokazuje, jak wielką barierę w porozumieniu stanowi różnica pokoleń. Pewnie zawsze tak było. Ale myślę, że konfrontacja między pokoleniami jest nieunikniona.

Dzieci często są w naszej kulturze na słabszej pozycji w stosunku do rodziców. Obowiązuje automatyczne przestrzeganie czwartego przykazania: „czcij ojca swego...”. W drugą stro-

Kadry z filmu „Ojciec i syn.”



nę to jakoś nie zawsze chce działać. Stawianie rodzicom pytań czytane jest jako krytyka. Dzieci mają słuchać rodziców, być posłuszne, nie mieć pretensji, okazywać szacunek i opiekować się nimi aż do końca. To się im należy z definicji, niezależnie od tego, jakimi są rodzicami. Ja tak nie uważam. A gdzie są w tym wszystkim dzieci? Małe, a później dorosłe? Zagryzą wargę i przekażą to dalej swoim dzieciom? Wierzę, że jest szansa na jakąś pokoleniową zmianę świadomości. Może czas o tym porozmawiać? O tym też chciałem zrobić film. Mój ojciec nigdy nie odważył się na taką rozmowę z rodzicami. Tym bardziej doceniam, że porozmawialiśmy.

Czego się jeszcze pan nauczył podczas kręcenia tego filmu?

Że pewnych spraw nigdy już z ojcem nie załatwię, że on już po prostu nie zrozumie, o co mi chodzi, i mogę to dalej próbować załatwić, ale już sam ze sobą. To dla mnie bardzo cenna lekcja.

Jak po tej lekcji wyobraża pan sobie idealne wychowanie?

Nie wiem, czy takie istnieje. Myślę, że na pewno powinna się w nim znaleźć mądra miłość, która zakłada pełną troskę, opiekę, i do tego tolerancja, która dziecka nie więzi, nie podcina mu skrzydeł. Nie wiem, czy taki idealny zestaw udało się komuś dostać. Nasze rodziny są dziwaczne, porozwodzone, porozbijane, naznaczone czasami komunizmem i wojny. Kiedy moi rodzice się

rozwiekli, miałem 17 lat. Ojciec przeżył rzeczy straszne: wojnę, dom dziecka, odrzucenie przez rodziców. Podobnie moja mama, która w czasie wojny, wywieziona do Uzbekistanu, głodowała. W sumie takie sobie dzieciństwo. A my ten bagaż od nich bezwiednie dostaliśmy i nosimy dalej.

Ustrzegł się pan błędów rodziców?

A skąd. Moja rodzina rozpadła się 10 lat temu. Myślę o tym bagażu odziedziczonym, że może już czas go przepatrzyć i pozbyć się rzeczy niepotrzebnych. Choćby po to, żeby ich dalej dzieciom nie przekazać, żeby nie musiały go dźwigać. Może jeszcze jest czas?

Nie nauczył się pan niczego dobrego od ojca? Odziedziczył pan po nim zawód.

Myślę, że ojciec zarazili mnie pasją, którą ma do wszystkiego, co robi. Nauczył mnie ciekawości świata i ludzi, czasem bezkompromisowości w obronie własnych poglądów. No i oczywiście majsterkowania.

Robicie jednak inne filmy.

Pewnie tak. Ja się próbuję dobić do wnętrza człowieka. Staram się oddać głos ludziom. Patrzę sobie, słucham, obserwuję. Ojca, jak mi się wydaje, bardziej interesują sprawy, ideologie, mechanizmy.

Czy w relacji z ojcem dostrzegł pan kiedykolwiek aspekt rywalizacji, porównywania się? Bywało, ale w tak pełnej krasie dopiero przy okazji tego wspólnego filmu.



Czy ta różnica sprawiła, że z podróży powstały dwa filmy?

To pytanie należy zadać ojcu, umawialiśmy się na jeden wspólny film. On postanowił zmontować własną wersję, która jest polemiką z moim filmem.

Pana ojciec nie chce się wypowiadać publicznie na ten temat. Jego film jest dłuższy, ma kilka dodatkowych scen, ale wymowa obu jest bardzo podobna.

Jego wersja powstała na bazie mojego filmu. Ojciec dorzucił trochę swoich rzeczy, ale przy okazji ocenzurował siebie i mnie w kilku scenach.

O co poszło?

Jego trzeba by zapytać. Może to reżyserskie ambicje?

Wygląda na to, że życie dopisało gorzki komentarz do filmu, który jest hołdem złożonym skomplikowanej, ale przecież pięknej więzi ojcowsko-synowskiej. W jednej z ostatnich scen ojciec przedstawia panu swój testament, mówiąc, gdzie chce być pochowany...

Mam wrażenie, że zrobiłem o ojcu ciepły film, pełen dobrych uczuć, z pełnym poszanowaniem bohatera. Lubi się go, on bawi i wzrusza jako postać. Ale film filmem, a życie życiem. Na końcu filmu mamy radosną scenę wspólnego stania na głowie, prawdziwy happy end. To jest zapis tamtej chwili, była prawdziwa. Ale potem życie poszło dalej. To jest też dodatkowe przesłanie dla widza – może warto zdążyć porozmawiać z rodzica-

mi? Ja zdążyłem, mam to za sobą. Ale takie eksperymenty mogą się okazać kosztowne. Nie chcę nikogo namawiać. Uważam, że wyszedłem z niego z nową wiedzą o sobie i o relacjach rodzinnych. Ale to się paradoksalnie ujawniło dopiero po wyłączeniu kamery.

Czyli nakręcił pan film, który jest przecięciem pewiny?

Można to tak nazwać, ale mam nadzieję, że widzowie też coś na tym zyskają. Po reakcjach na film widzę, jak bardzo potrzebujemy dialogu międzypokoleniowego.

„Ojciec i syn” wpisuje się w dyskusję na temat kryzysu rodziny i jej przyszłości.

– Myślę, że ojciec zarazili mnie pasją, którą ma do wszystkiego, co robi – mówi Paweł Łoziński.

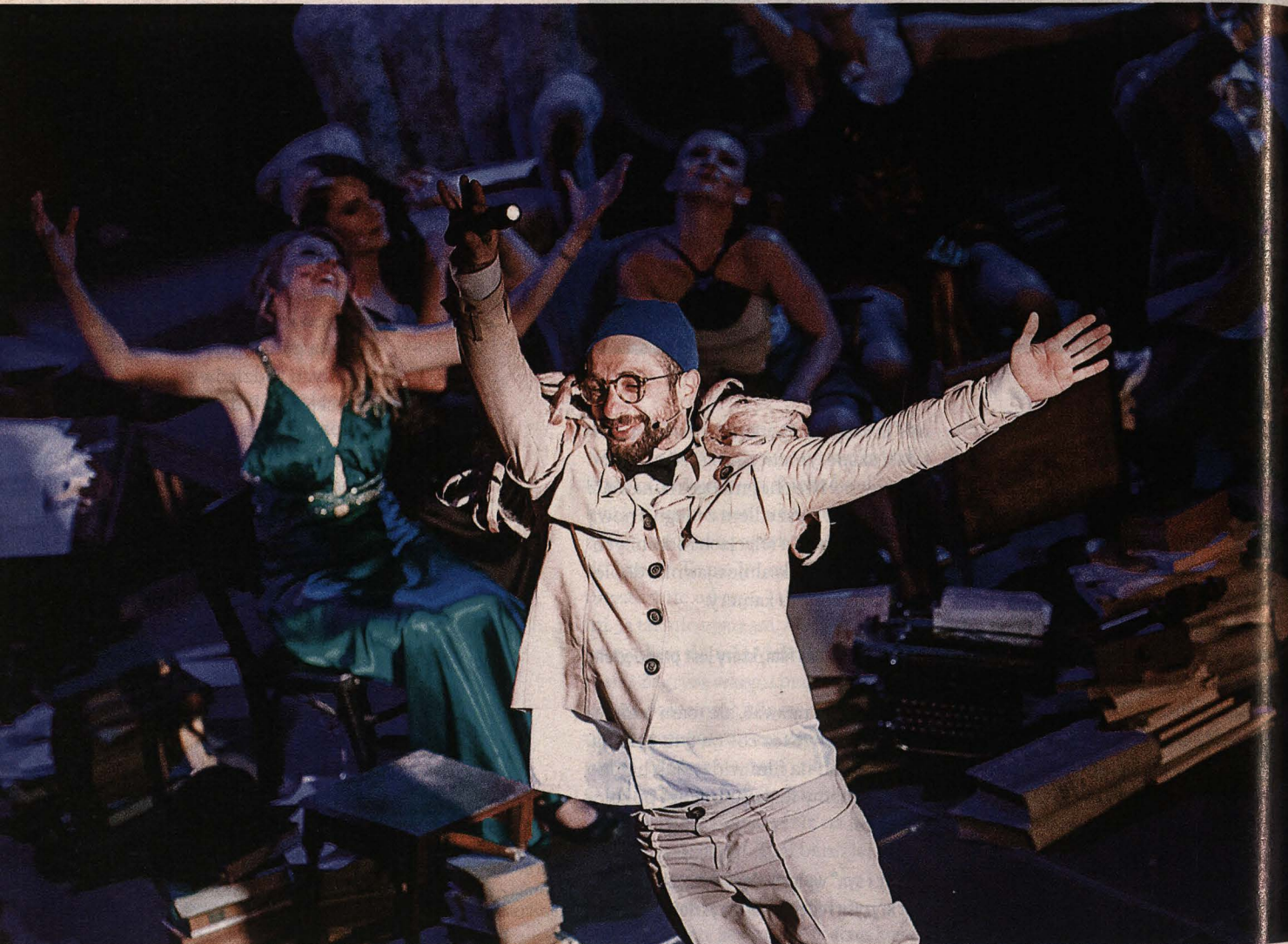
Niedawno byłem w Gruzji, gdzie więzy rodzinne są bardzo silne. Czułem się tam, jak musiał się czuć przybysz z Zachodu zesantowany do Polski lat 70. Zachwycała mnie rodzinna atmosfera, gościnność, to, że ludzie mają czas dla siebie. Zateśkniłem za takim modelem rodziny, bo w Polsce chyba go już coraz mniej.

Myśli pan, że rodzina przetrwa w tradycyjnej formie?

Pewien młody Niemiec powiedział mi, że mieszka ze swoją żoną i drugą bezdzietną parą, którą uważają za równorzędnych rodziców swojego rocznego dziecka. Czyli dwie matki i dwóch ojców. Powiedział, że dziecko zaraz zacznie mówić i byłby szczęśliwy, gdyby mówiło „mama” do obydwu kobiet. Gdy zapytałem go, dlaczego żyją w taki sposób, odpowiedział, że jest artystą i sam nie dałby rady wychować syna, bo wtedy nie miałby czasu na sztukę. Ten zapracowany człowiek powiedział, że szuka reżysera, który zrobi o tym dokument. Patrzyłem na niego jak na mutantą popromiennego.

Rodzina powinna uczyć bliskości. Kto nie dostanie jej w dzieciństwie, może mieć potem ciężko. Mentalnie jesteśmy ludźmi z jaskini, którzy się przytulali, bo im było zimno. Potrzeba przetrwała, ale może teraz jest nam za ciepło? ☺





MIKE URBANIAK, ZDJĘCIA KATARZYNA CHMURA-CEGIELKOWSKA

Pożar w burdelu! Prosimy nie gasić!

Warszawa ma w końcu własny kabaret. I to jaki! Kontynuując najlepszą **tradycję literackiego dowcipu** z górnej półki, grupa artystów podbiła stolicę. Wyśmiewają wszystko i wszystkich. Publika od razu ich pokochała.

wany Kabaret Na Koniec Świata, który potem się przeniósł do stołecznego Laboratorium Dramatu. Współtworzył go Walczak, ale także młodziutka i nadaktywna aktorka Anna Smołowik. Współpraca ze Słobodziankiem, jak to zwykle bywa, szybko się skończyła, ale chęć robienia kabaretu literackiego pozostała. A skoro jest chęć, to trzeba zebrać ludzi.

Drużyna, co się zowie

– Ekipa była dość oczywista. Są to po prostu znakomici aktorzy, z którymi pracowałem na jakimś etapie mojej teatralnej drogi w różnych miejscach – mówi Michał Walczak. – Każdy jest z innej parafii i większość to wolne ptaki, teatralni szaleńcy, którzy są gotowi na wszystko.

W rzeczy samej, trupa aktorska le bordel artistique to w połowie teatralni oblatywacze. Od lat na etacie w Teatrze Lalka w Warszawie są tylko Monika Babula i Mariusz Laskowski oraz Tomasz Drabek, aktor Teatru Polskiego w Białymostku. W wielu burdelach, choć nie wszystkich, gra też Oskar Hamerski, aktor Teatru Narodowego. Reszta z niejednego pieca jadła chleb.

Agnieszka Przepiórska grała w świetnym Teatrze Dramatycznym w Wałbrzychu, a potem na scenach teatrów w Sopocie, Białymostku, Zielonej Górze, Szczecinie i Koszalinie, by znaleźć przystań w Warszawie.

Lena Piękniewska, jedyna zawodowa wokalistka w zespole, wzmacnia grupę muzycznie. Muzyka, co warto podkreślić, jest niezwykle ważnym elementem całego projektu. Michał Górczyński i Wiktor Stokowski napisali nuty do niejednego burdelowego przeboju. Andrzej Konopka zaczynał w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, potem występował dłużej w Nowym w Łodzi i Studio w Warszawie oraz paru innych stołecznych teatrach: IMKA, Och, Dramatycznym, Narodowym, Powszechnym. W Polskę też nie bał się jechać.

No i najmłodsza – Anna Smołowik, która zaczynała pięć lat temu w Laboratorium Dramatu. Potem był i dziecię-

cy Teatr Bajka, i muzyczny Teatr Roma, i dramatyczny Teatr Ludowy, i prywatny Och-Teatr Krystyny Jandy, i niezależny Teatr Konsekwentny. Szybko ją dostrzeżono. Za rolę, a właściwie role (bo było ich kilka) w bardzo udanym „Kompleksie Portnoya” Philipa Rotha w reżyserii Adama Sajnuka i Aleksandry Popławskiej w Teatrze Konsekwentnym w Warszawie aktorka dostała Feliksa Warszawskiego (stołeczna nagroda teatralna) w kategorii „Debiut” i nagrodę dziennikarzy na Festiwalu Kontrapunkt w Szczecinie. Duże zainteresowanie wzbudziła także jej rola Katarzyny Earnshaw w „Wichrowych Wzgórzach” w reżyserii Kuby Kowalskiego w Teatrze Studio w Warszawie. Dostała za nią główną aktorską nagrodę na tegorocznych Kaliskich Spotkaniach Teatralnych. Tak wygląda zespół: do wyboru, do koloru. Było jeszcze tylko potrzebne miejsce.

Chłodny początek

I szybko się znalazło. Burdelekipę zaprosił bowiem do siebie Grzegorz Lewandowski, właściciel legendarnej klubokawiarni Chłodna 25, którą przekształcił w niezależny Teatr Chłodnica zamieniony błyskawicznie na Klub Komediowy Chłodna. Dyrektorem artystycznym został Rafał Rutkowski, aktor eksplorujący w Warszawie z powodzeniem rozwijający się powoli w naszym kraju i będący potęgą w USA stand-up. Polega on, to informacja dla niewtajemniczonych, na rozśmieszaniu publiczności monologiem wygłaszanym ze sceny, złożonym z aktualnych tematów.

Rutkowski chciał zebrać szybko pod jednym dachem wszystkich warszawskich rozśmieszaczy. Na Chłodnej występował więc z powodzeniem Teatr Improwizowany Klancyk, któremu ton nadawali Michał Sufin i Maciej Buchwald, Betty Q – królowa burleski, znalazło się też miejsce dla burdelowców.

To właśnie na Chłodnej podczas jednego ze stand-uperskich wieczorów poznali się Michał Walczak i Maks Łubieński, „varsavianista, historyk, muzyk, radiowiec, człowiek kameleon”

Zdjęcia obok i na następnej stronie pochodzą z ostatniego odcinka „Pożaru w burdelu” – „Gorączki powstańczej nocy”.

Pożar, jak to pożar, wybuchł nagle. Choć, trzeba to powiedzieć dla zachowania historycznej skrupulatności, tlił się już od jakiegoś czasu. W różnych miejscach, głównie nad Wigrami, gdzie Tadeusz Słobodzianek, dzisiaj powszechnie nielubiany dyrektor Teatru Dramatycznego w Warszawie, prowadził słynne warsztaty dramatyczne. Ich uczestnikiem był też Michał Walczak, jeden z najbardziej wszechstronnych i utalentowanych młodych polskich dramatopisarzy i reżyser teatralny w jednej osobie.

W wigierskim Domu Pracy Twórczej powstawał także pomysł na improwizo-

– jak mówi o nim Walczak. Łubieński wykonywał numer poświęcony legendarnemu utworowi „Warszawa” T.Love i dowodził w nim, że Muniek Staszczyk wszystko w tym kawałku pomylił: ulice i dzielnice. Publika wyła ze śmiechu.

Panowie polubili się i zaczęli wspólnie pisać. Walczak mówi dzisiaj: – Oczywiście, że rywalizujemy z Maksem o to, kto jest dowcipniejszy, ale to jest dobra, napędzająca konkurencja. Wspieramy się wzajemnie, inspirujemy, szturchamy. Nasze spotkania to prawdziwa orgia pomysłów, którą na koniec musimy zmienić w sensowną całość, której ja finalnie nadaję dramaturgię i którą reżyseruję.

Wyjście z podziemia

„Pożar w burdelu” wystartował w październiku zeszłego roku. Najpierw przychodziła garstka kolegów i znajomych królika, ale szybko po mieście rozniosła się wieść, że „Burdel” jest inny od tego, co było wcześniej: jest bardzo aktualny, błyskotliwie komentuje bieżące stołeczne życie, bawi się konwencją kabaretu literackiego (nie ma nic wspólnego z kabaretami promowanymi od lat w telewizji, których program opiera się na dowcipach o te-

ściowych) i jest najzwyczajniej w świecie prześmieszny.

W piwnicy przy Chłodnej zaczyna być coraz ciasniej, a na „Pożar w burdelu” trzeba rezerwować bilety z dużym wyprzedzeniem. Na kolejne odsłony burdelowców nie można wetknąć palca. Doświadczył tego nawet Roman Pawłowski, znany dziennikarz i krytyk teatralny, którego zwyczajnie nie wpuszczono na występ, bo był tak zwany full. Pawłowski w końcu obejrzał „Pożar w burdelu” i napisał w „Gazecie Wyborczej”: „Są wulgarni, nieprzyzwoici, opowiadają niesmaczne dowcipy, obrażają publiczność i na dodatek nie umieją tekstu”. I dodał na koniec w zachwytach: „Tego nie można przegapić!”.

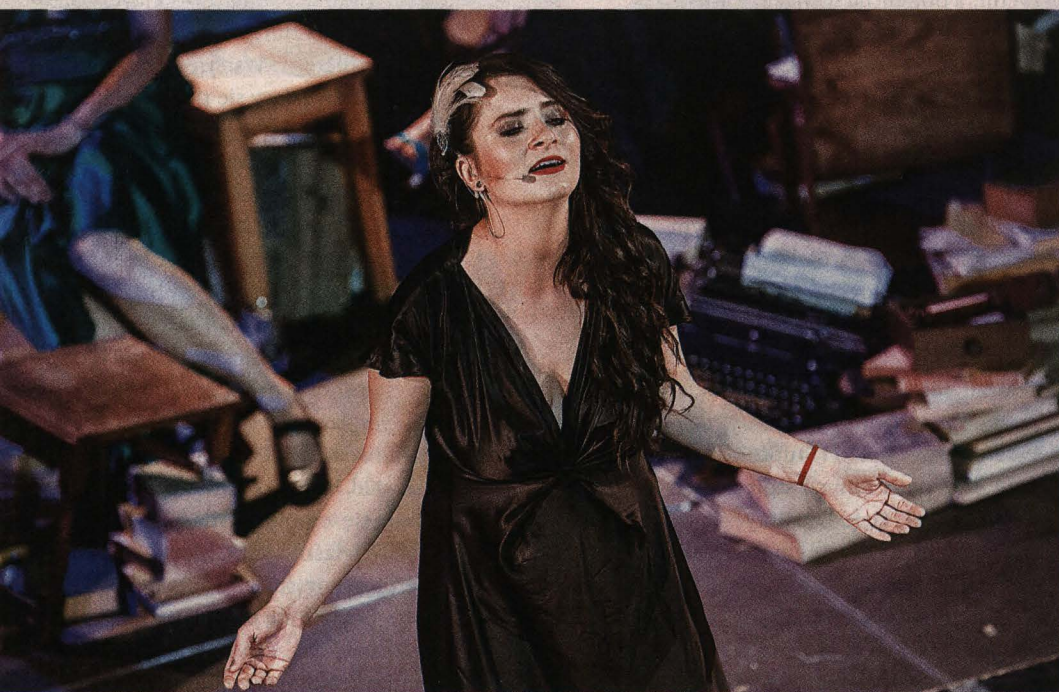
Pierwsze wieczory były zbiorem luźnych gagów, a z czasem zaczęto je fabularyzować i skupiać się wokół jakiegoś tematu przewodniego. I tak „Pożar w szopce” był przygotowany specjalnie na Boże Narodzenie, z okazji walentynek stworzono program „Don Juan w Warszawie”, w związku z wyborem nowego papieża powstało „Konklawe” (podobno na tym wieczorze był Michał Kamiński, były poseł PiS, i nie wytrzymał),

a ostatnio z związku w 69. rocznicą powstania warszawskiego narodził się pomysł na „Gorączkę powstańczej nocy” – to był także pierwszy odcinek „Burdelu”, który został zrealizowany na scenie Teatru WARSawy, mieszczącego się w dawnym Kinie Wars przy Rynku Nowego Miasta. Na 300-osobowej widowni nie było ani jednego wolnego krzesła.

– Od początku marzyłem, żeby to się tak rozkręciło – mówi Walczak i dodaje: – Ale muszę przyznać, że nie sądziłem, że pójdzie nam to tak szybko. Z drugiej strony wiedziałem, że pracuję ze scenicznymi bestiami i od początku żeruję na ich talentach i energii. Wysiliłmy z piwnicy na dużą scenę i czujemy teraz większą odpowiedzialność, bo to już nie znajomi, ale zwyczajni warszawiaczy, którzy kupują bilety. Nie możemy ich zawieść.

Najważniejsza jest miłość

Gdzie jest klucz do spektakularnego sukcesu „Pożaru w burdelu”? Odpowiedzi są różne. Anna Smolowik: – Często mówimy żartem o sprawach bardzo ważnych. Chcemy inteligentnie komentować Warszawę, a nie tylko śmiać się z niej bez sensu. Tomasz Drabek: – Kluczowa jest aktualność „Burdelu”, obśmiewamy to, o czym akurat piszą gazety i mówią mieszkańcy. Monika Babula: – Ważna jest polityka miłości, którą od początku wprowadził Michał. Nikomu nie dawałamy w chamski sposób, nie sączyliśmy ze sceny jadu. Agnieszka Przepiórska: – Nie bez znaczenia jest też to, że znamy się prywatnie i Michał – wiedząc, co się dzieje w naszych życiach – wykorzystuje to w różnych numerach. Andrzej Konopka: – Nasz największy sukces to bez wątpienia widownia, która nie tylko przychodzi na „Pożar w burdelu”, ale też w nim aktywnie uczestniczy. Ta zwrotna energia od ludzi i żywe reakcje są najwspanialszą rzeczą, jaką dostajemy. – Nie ma co ukrywać – śmieje się Michał Walczak – nie mieliśmy żadnego planu na sukces. My się po prostu kochamy, kochamy Warszawę i z tej miłości powstał nasz burdel, w którym ciągle jest pożar. 📱



ekiosk.PL™

ponad **380** tytułów prasowych
w e-wydaniach!

**zobacz jakie to
proste i tanie**

PRZETESTUJ DARMOWE WYDANIE

**PRZE
KROJ**

www.ekiosk.pl/przekroj_test



ROZMAWIA KAROLINA SULEJ

Pierwsza Mi-La

Właśnie ukazała się jej debiutancka płyta „**Miejskie gawędy o miłości i zbrodniach**” – list miłosny do miejskiego folkloru i oda do radości życia. **Mi-La** z wdziękiem, powerem i erudycją niszczy stereotypy dotyczące kobiecego i męskiego hip-hopu.

Utrzymujesz się z muzyki?

Żeby zapłacić rachunki, zajmuję się piarą, praca biurowa od rana do późna. Na muzykę zostaje niewiele czasu, zwykle noce przy lampce. Trafiłam do piaru zupełnie przypadkiem, na szczęście okazało się, że totalnie się w tym odnajduję i lubię swoją pracę. Skończyłam pedagogikę, jestem po animacji społeczno-kulturalnej, więc po studiach organizowałam imprezy muzyczne, działałam jako producent freelancer. Okazało się jednak, że to nie wystarcza. Postanowiłam podjąć odpowiedzialną decyzję i przyjąć propozycję stałej pracy, kiedy miałam szczęście ją dostać. Myślałam, że jak wydam płytę, to coś da się zmienić, ale szczerze mówiąc, nie zanosi się na rewolucję w moim sposobie zarabkowania. Hip-hop w Polsce ma się nieźle, ale zarabiają ci, którzy są na scenie od dawna, albo tak zwane młode koty – nieoczekiwane sensacje. I nie są to kobiety. Mam wiele koleżanek raperek i żadna z nich nie żyje z hip-hopu.

Czy dlatego, że tak zwany przeciętny słuchacz jest przyzwyczajony, że hip-hop to męskie zajęcie, czy to jednak seksizm w biznesie?

Niestety, to drugie. Sytuacja raperek w polskim hip-hopie jest o tyle specyficzna, że od samego początku istnienia rapu w Polsce kobiet było mało i było to typowo męskie zajęcie. Dziś wciąż prym wiodą faceci. Hiphopowcy są zdania, że kobiecy głos nie brzmi dobrze do hiphopowych podkładów, że wypada dziwaczne i śmiesznie.

Mimo że jestem kobietą, jeśli chcę być w 100 proc. obiektywna, muszę się z tym częściowo zgodzić. Niektóre dziewczyny, które nie mają podstaw emisji głosu, nie potrafią nim sterować i to brzmi nieporadnie. Faceci jednak także mają z tym problemy, a tego już się nie zauważa. Jest nas mniej, więc i skala wydaje się większa, łatwiejsza do uchwycenia. Wytyka się te ułomności tylko kobietom. Szuka się wad, za wszelką cenę podważa nasze prawo, żeby rapować i być w środowisku. Musimy co chwilę udowadniać, że zasługujemy na kawałek podłogi. Osobi-

ście długo miałam poczucie, że mnie ten problem nie dotyczy, jednak po wydaniu legalnej płyty okazało się, że nie ma przyjęcia z otwartymi ramionami. „Bardzo fajnie jak na kobietę” – zdarza mi się słyszeć. Nie wiem sama, czy to komplement czy przytyk...

Czyli na wejściu musicie być lepsze od wszystkich facetów?

Musimy pokazać, że mamy: dobrą technikę, fajną emisję głosu, ciekawą barwę, atrakcyjną fryzurę, buzię, ładne ubranie, w ogóle jesteśmy ładne, ale przy tym jesteśmy też mądre i mamy coś do przekazania. W przypadku faceta wystarczy, że sobie usiądzie na ławce z kumplami, i już może zacząć nawijać. To taki fałsz naturalnego przypisywania hip-hopowi rodzaju męskiego. Kobieta raperka? To jakieś dziwko.

Stare czasy były kipiące zajawką. Dziś liczy się marketing, wszystko jest wykalkulowane, metki muszą być widoczne. Hip-hopu w hip-hopie jest coraz mniej.

Za granicą, w Stanach czy na Wyspach, we Francji, raperki są szanowane, propsowane przez największych wyjadaczy, traktowane poważnie, właśnie jako naturalna część sceny. Nie wiem, czy u nas będzie kiedyś taka piękna sytuacja. Nie zdążyłyśmy się też jeszcze dorobić tradycji polskiego kobiecego hip-hopu. Wszystkie zmiany albo dopiero się wydarzyły, albo dzieją się właśnie teraz.

Powiedzmy, że takimi pionierkami kilka lat temu były dziewczyny z Parę słów, potem zaś Wdowa. Teraz pojawia się więcej młodych dziewczyn, które chcą rapować, są artystki, którym można przypisać rozpoznawalność, jak Lilu czy Gonix. Zaczęłyśmy się trzymać razem. Wspieramy się, robimy kolaboracje, stoimy za sobą murem, jeśli trzeba. To dobry znak, bo kiedyś tak nie było. Pa-

mięta, że gdy zaczęłam stawiać się bardziej popularna w undergroundzie, typowym pytaniem męskiej części środowiska było: Czy planujesz mieć jakiś diss z Wdową? Nie masz konfliktu z żadną raperką? Nie rozumiałam tego zupełnie. Ale dlaczego miałabym mieć? Wszystkim się wydawało, że skoro raperek mało, to na pewno marzymy o tym, żeby rzucać sobie nawzajem kłody po nogi. Teraz jesteśmy zjednoczone i silniejsze. Niestety, zanim zaczniemy naprawdę zarabiać na muzyce, minie sporo czasu. Po wydaniu płyty, a minął już miesiąc, nie dostałam ani jednej propozycji zagrania koncertu. Jeśli sama się tym nie zajmę, to nie będę grać. Wytwórnia My Music pomogła mi na wstępie, ale teraz muszę kombinować sama. Inaczej to wygląda w wytwórniach hiphopowych, gdzie zatrudniony jest menedżer, który zajmuje się organizacją trasy, i to wtedy idzie grupowo, jedzie cała załoga – od debutanta do gwiazdy. Ja jestem sama sobie załogą, statkiem i sterem, ale liczę, że moja płyta obroni się swoją jakością. Nie zależy mi na odnalezieniu się w dzisiejszej kulturze tempa i newsa. Nie potrzebuję marketingu. Mogę udzielić wywiadu, mogę zagrać koncert, nakręcić teledysk i zrobić to bardzo chętnie, ale nie zrobię nic więcej – nie będę robić z siebie widowiska, nie będę skandalistką, nie będę robić dissów na znanych raperów, żeby zaistnieć.

Każda recenzja twojej płyty, którą przeczytałam, była pozytywna. Każda jednak zawierała też komentarze zastrzegające, że to świetna płyta, „jeśli nie macie uprzedzeń do słuchania kobiecego rapu” (Rapportal), albo podkreślające znaczenie twojej urody – „posiada niezwykle przyjemną aparycję” (Rapsite) oraz „widzisz filigranową brunetkę o twarzy niewiniątka i nie przypuszczasz, że za chwilę z jej ust usłyszysz nienaganny, inteligentny, ale przy tym twardy rap” (Dlastudenta.pl). Nie wkurza cię to?

Macham na to ręką. Tak po prostu jest. Myślę, że swoimi kawałkami pokazałam, że ta mała, filigranowa brunetka ma dużą pojemność mózgu i potrafi zaskoczyć swoimi przemyśleniami

niejednego mężczyznę, który uważa, że ma monopol na coś do powiedzenia. Mam niemal zerowe poparcie wśród męskiego hiphopowego świata. Taki przykład – to są małe rzeczy i może nie do końca miarodajne, ale wystarczy, że wypuszczam swój singiel i mimo że znam dużą część męskiej sceny hiphopowej i spotykamy się na mieście, nikt nie napisze nawet na głupim Facebooku, że to jest dobre... Brzydzą się hiphokryzją... Kto ma mnie, do cholery, wspierać, jeśli nie ludzie, którzy reprezentują tę samą kulturę? Przecież powinni być dumni, że jedna z nich nagrała fajną płytę. Im dalej od mainstreamu, tym bliżej undergroundu, tym jest mniej zawiści i zazdrości, a więcej zajawki. Ja przecież nie chcę nikomu niczego odebrać. Chcę tylko pokazać, że nagrałam dobrą płytę. Mało kto powie to publicznie. Trzeba by wówczas przyznać, że kobiecie hip-hop jest równie dobry co męski. W to panowie nie chcą uwierzyć.

Wspomniałaś, że kontrowersje w odniesieniu do kobiecego rapu zaczynają się już na poziomie barwy. A teksty?

Facetom się wydaje, że hip-hop powinien być o ulicy, ziomkach, przyjaźni, lojalności, wartościach, zasadach, melanzu, jointach, kumplach, że aby być „prawdziwy”, musi się mieścić w określonych ramach tematycznych. Okazuje się tymczasem, że dziewczyny potrafią szerzej otworzyć głowę i często na przekór rapować o rzeczach typu lumpeksy. Faceci łapią się za głowę i myślą: rapowanie o ciuchach, facetach i paznokciach nie może przecież być hip-hopem. Ja akurat jestem bardziej uliczna niż moje koleżanki i o paznokciach nie rapuję, ale uważam, że w sztuce powinno być miejsce na coś więcej niż utarte schematy, więcej gry konwencją.

Użyłaś słowa „sztuka”, ale ja mam wrażenie, że mainstreamowy hip-hop to raczej produkt.

Tak jest. Kawałek hiphopowy musi mieć dobry bit, odpowiedni temat plus dobry teledysk ze znanymi kolegami. Takim hitem można sobie załatwić wiele, ale tylko



w męskim świecie. Jak się jest facetem i zna się kilka przykazań, można nagrać popularny numer. Parę dobrych lat temu rapował o tym Dizkret w kawałku „Dekalog”. Ironicznie, ale ile w tym prawdy...

Jak zaczęłaś?

Mam cudowną mamę. Bardzo się starała, żebyśmy miały spokój, żebyśmy mogły się uczyć i niczym nie martwić. Wiele rzeczy najważniejszych w moim życiu zrobiłam dla niej. Zawsze mnie mobilizowała, żeby robić coś więcej, niż studiować marketing, a potem pracować w biurze w garsonce i szpilkach. Mama uważała, że ideały czynią szczęśliwym.

Jestem chyba nowym tworem. Nie należę do popularnego, feministycznego nurtu kobiecego hip-hopu. Nie chcę też krzyczeć CHWDP. Mój rap jest uliczny.

Mieszkałam w Mszczonowie pod Warszawą, w szarych blokach. Hip-hop tam był trochę inny niż w stolicy. Gdy zaczynałam, byłam pierwsza. Gdy kupiłam sobie rolkę, a potem zrobiłam prowizoryczną rampę, to wszyscy myśleli, że zgłupiałam. W 1994 r. usłyszałam Nasa i zakochałam się w tym gatunku. Freestyle'owałam na ławce w parku do nieudolnego beatboxu mojej przyjaciółki Sisty Flo, z którą potem w 2002 r. nagrałyśmy nielegal „Wejście smoka” i niedawno wspólną EP-kę „Kolaż”. Wykładałam tacie spodnie z szafy. Mama bała się o mnie, kiedy słyszała dobiegający z mojego pokoju rap Liroya. Martwiła się, że wpadnę w złe towarzystwo. Przecież tak przeklinają w tych piosenkach. Dzisiaj jest ze mnie dumna. Ja też byłam dumna, że mogłam dać jej moją płytę.

Kiedy skończyły się czasy „ławkowe”, zaczęły się koncerty. Organizowałam imprezy, tak zwane RapGry. Nie było biletów. Dom Kultury w Mszczonowie napakowany po brzegi. Załogi z Żyrardowa, Grodziska, Warszawy. Stare czasy były ki-

piące zajawką. Dziś liczy się marketing, wszystko jest wykalkulowane, metki muszą być widoczne. Hip-hopu w hip-hopie jest coraz mniej.

Rapujesz o Tyrmandzie, Bułhakowie, Słowackim. A jednocześnie mówisz, że jesteś uliczna.

Jestem chyba nowym tworem. Nie należę do popularnego, feministycznego nurtu kobiecego hip-hopu. Nie chcę też krzyczeć CHWDP. Mój rap jest uliczny, bo zakorzeniony w podwórkowej zajawce. Opowiadałam o swoich historiach z miasta. Chciałabym zostać wysłuchana i zrozumiana, ale to przecież zwyczajnie ludzkie. Oczywiście, czuję się kobietą – „wrażliwą twardzielką”, ale jestem też takim kotem podwórkowcem. Trudno powiedzieć o mojej płycie, że jest kobieca albo męska, zresztą uważam, że to najmniej istotne.

Dla kogo powstała?

Statystyczny słuchacz rapu jest dzisiaj niemal o połowę ode mnie młodszy. Słuchacz w moim wieku jest już często tatusiem, słucha hip-hopu w domu po godzinach pracy, czasem pójdzie na zagranicznego artystę. Moja płyta nie jest więc skierowana do typowego odbiorcy hiphopowego. Myślę, że może jej posłuchać każdy – wielbiciel folku, jazzu, rocka. Słucham różnej muzyki. Na drugim miejscu jest dla mnie to, czy jestem wystarczająco rapowa, ile mam rymów w linii. Przede wszystkim interesuje mnie, czy treść jest ciekawa – ta wartość dodana, ponadgatunkowa. Chciałabym nagrać kawałek z Kazikiem Staszewskim, chociaż wiem, że uważa, iż hiphopowcy to niepełnoprawni artyści, bo nie używają instrumentów. Chciałabym, żeby posłuchał mojej płyty. Nie jest ważne, jaki gatunek uprawiasz. Ważne, czy drążysz czy się ślizgasz.

Mocno się buntujesz przeciwko bezrefleksyjności.

Ludzie żyją w schematach, zadowolają się szybkimi i doraźnymi lekarstwami. Ale ja wierzę w potrzebę bycia mądrym, zdobycia wiedzy, żeby było nami trudniej sterować, wciskać nam kit.

Boisz się też, że natłok codziennego życia w dzisiejszych czasach cię znieczuli, że nie będziesz umiała mocno przeżywać chwili.

Rapuję o melanzu, tak jak moi koledzy po fachu, ale często mam wrażenie, że to nieco inny melanz. To żalocznosc na pełnię życia. Siedzę nad Wisłą z piwem, patrzę na wschód słońca nad Warszawą, rozmawiam z przyjaciółmi. Za 20 lat powiem, że robiłam szalone rzeczy, i to będą najpiękniejsze wspomnienia, dzięki którym życie ma sens.

Warszawa to bohaterka twojej płyty.

Warszawa albo inne miejsce, w którym decydujesz się przeżywać życie. Mówię o rzeczach uniwersalnych, to nie są rozprawy filozoficzne. To bardzo ludzka płyta o emocjach. Utwory występują w określonej kolejności, opowiadają większą historię. Mam nadzieję, że wciągnę kogoś na ruchome piaski, kogoś coś zadrapie, wzruszy, rozbawi. Ludzie chodzą strasznie smutni po tych ulicach, są jakby nieobecni. Chciałabym tą płytą obudzić

w nich jakikolwiek punkt widzenia. Ich własny.

„Folklor miasta” to ostatni utwór. Moim zdaniem podkreśla dobitnie, że tą płytą wdzierasz się na dwa męskie tereny – hip-hopu i folkloru. Kobiety w muzyce folklorystycznej, typowo warszawskiej chociażby, też są obecne w śladowych ilościach.

To zwyczajna miłość, nie tylko kontestacja. Być może wybrzmiało to tak: „Hej, jestem kobietą i mogę na równych prawach przeżywać miasta folklor, tak jak wy”. I przeżywam go codziennie. Polecam każdemu, żeby stanął na środku ruchliwego skrzyżowania, zamknął oczy albo popatrzył w niebo. Wtedy słyszał zupełnie inne rzeczy. Ja to bardzo często robię. Idę chodnikiem, stoję, zamykam oczy i słucham. Wtedy staję się obywatelem świata, przestaję być w Warszawie, nagle słyszę rytm miasta, który to wszystko napędza. Stąd też wziął się rytm mojej płyty, chciałam, żeby bity odzwierciedlały tę dynamikę. Mam nadzieję, że czuć w „Gawędach” dawną Warszawę,

miejsca z duszą, które tworzą tożsamość naszą i naszego miasta. Moja płyta zaprasza do poszukiwań. Tych miejskich i tych emocjonalnych.

Uwielbiam sztukę, która cię angażuje na 200 proc. Pamiętam, jak w czasach liceum przyszedłam do domu późnym wieczorem, zaczęłam rozkładać łóżko i bezmyślnie włączyłam telewizor. Leciał wtedy jakiś film o bohaterze, który przenosi się w czasie. Zastygłam na łóżku z poduszką w ręku aż do napisów końcowych. Zrozumiałam, że właśnie takie rzeczy chcę robić. O takiej sile rażenia. Nie do tupania nóżką w kawiarni. Taka jest moja ukochana raperka, Francuzka Keny Arkana. Moje największe muzyczne marzenie to zrobić z nią featuring. Pokazuje, że nie trzeba machać dupą i cyckiem, żeby sprzedawać swoje kawałki. Jest sławna i szanowana, mimo że mówi o rzeczach naprawdę trudnych. Zresztą podobnie jak jej koleżanki po fachu. We Francji hip-hop jest takim skarbem narodowym jak u nas zespół Mazowsze. W Polsce nikt nie jest dumny z raperek. Czas na zmiany!

MI-LA

– raperka, zakochana w rapie lat 90. 18 czerwca nakładem wytwórni My Music ukazała się jej debiutancka płyta „Miejskie gawędy o miłości i zbrodniach”. Za produkcję muzyczną odpowiada w większości Święty, ale pojawiają się także kompozycje autorstwa Big Elmo oraz STX Beats Production. Całością akompaniują żywe instrumenty. Do tej pory Mi-Lę można było usłyszeć m.in. na czwartej części kultowej składanki „JuNouMi”, na gościnniej zwrotce na płycie Blow oraz na EP-ce „Kolaż”, którą wydała wspólnie z Sistą Flo w czerwcu 2012 r.

Dorota Chrobak o filmach



reż. Pablo Berger, Hiszpania 2012, Kino Świat, 104 min



GOTYCKI MELODRAMAT

Śnieżka

Trzecia już w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy adaptacja słynnej baśni braci Grimm (po „Królownie Śnieżce” Tarsema Singha oraz „Królownie Śnieżce i łowcy” Ruperta Sandersa). I najbardziej wyszukana koncepcyjnie. Pablo Berger ubrał klasyczną historię w kostium czarno-białego kina niemego, akcję filmu osadził w rzeczywistości Hiszpanii lat 30. ubiegłego wieku, a całości próbował przydać współczesny komentarz. Niestety, taka sztuka udała się ostatnio jedynie Michelowi Hazanaviciusowi, który w przepysznym wystylizowanym „Artyście” zawarł aktualne – zwłaszcza dziś! – studium człowieka, który nie nadąża za przemianami cywilizacyjnymi i przez to „wypada z obiegu”. Tymczasem w przypadku „Śnieżki” na stylizacji wszystko się zaczyna i kończy. Za wysmakowanymi kadrami i kostiumami z epoki nie kryje się oryginalne przesłanie. W dodatku reżyser najwyraźniej nie ma też ochoty, by na klasyczny motyw baśniowy spojrzeć z własnego punktu widzenia, jak miało to miejsce w przypadku „Królowny Śnieżki i łowcy”. Co gorsza, momentami nie panuje nad dynamiką filmu (kilku-minutowa sekwencja tańca, z której nic nie wynika) albo próbuje nas uwieść chwytami na poziomie taniego melodramatu (babcia Śnieżki umierająca w chwili, gdy płyta gramofonowa dobiega finału). Całość ratuje zaskakujące, mocno zjadliwe zakończenie i świetna kreacja Mari-bel Verdu w roli złej macochy. Ale to zdecydowanie za mało, by „Śnieżkę” potraktować jako coś więcej niż śliczną pozytywkę po wuju, która tak elegancko prezentuje się na komodzie.

Katarzyna Nowakowska o serialach

Dziewczyny w wielkim mieście

Ten temat nigdy się nie znudzi ani widzom, ani twórcom seriali. Na szczęście nawet ze zdartej kliszy da się czasem wydobyć coś nowego – dowodem „Nie zadzieraj z żołą spod 23”.

Nowością jest typ bohaterki. Do tej pory żoły w typie Chloe (Krysten Ritter), nadużywające alkoholu, sypiające z kim popadnie, wykorzystujące ludzi bez skrępowań, nie stawały się głównymi postaciami, a przynajmniej nie po ich stronie była sympatia widzów. W „Nie zadzieraj z żołą...” teoretycznie na pierwszym planie mamy ufną prowincjuskę June (Dreama Walker), która po przybyciu do Nowego Jorku straciła wymarzoną pracę, narzeczonego i złudzenia oraz wylądowała w mieszkaniu z szaloną, wredną i fascynującą Chloe. Teoretycznie, bo naiwna nudziara jest postacią schematyczną do bólu, natomiast zwariowana „party girl” bez zahamowań cieszy i śmieszy. I tak, lubimy ją znacznie bardziej niż tę grzeczną dziewczynkę.

Oprócz Krysten Ritter (niezapomniana Gia z „Veroniki Mars” czy narkotyczna narzeczona Jesse’ego Pinkmana z „Breaking Bad”), której wdzięk i nietypowa uroda w typie heroinowej Holly Golightly to co najmniej 50 procent urody serialu, oko cieszy także James Van Der Beek. Gwiazdor serialu „Jezioro marzeń” gra tu fikcyjną wersję samego siebie i zarazem najbliższego przyjaciela Chloe. Nie znośiłam granego przez Van Der



„Nie zadzieraj z żołą spod 23”, sezon 2, premiera: 12.08, godz. 21, FOX Life

Beeka w „Jeziorze...” Dawsona (jedyna akceptowalna postać z tego serialu to bohaterka stworzona przez Michelle Williams) i nie rozumiałam nigdy jego kultu, ale poczucie humoru, jakim aktor wykazuje się tutaj, ujmuje nawet moje nieczułe serduszko.

„Żoła” nie stanie się nigdy pierwszoligowym serialem (gdzie jej do „Dziewczyny”). Nawet jako sitcom nie dorasta do standardu wyznaczonego przez „Dwie splekane dziewczyny”, ale da się oglądać bez bólu, a nawet z pewną – chwilami perwersyjną – przyjemnością.

i Rzeczpospolita



Gdziekolwiek jesteś, korzystaj z najświeższych informacji o Polsce, współczesnym świecie, prawie i gospodarce.

Pobierz aplikację w App Store i Google Play już dziś.

RZECZPOSPOLITA

rp.pl / zakupy

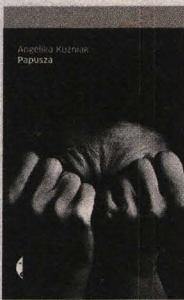
Środowiska literackie zachwyciły się jej poezją. Jerzy Ficowski od młodości był cyganofilem. Swoją pasją zaraził starszego Juliana Tuwima i potrafił wpływać nawet na partyjnego prominenta Jerzego Putramenta. Jednak rozgłos oraz publikacje stały się źródłem cierpienia Bronisławy Wajs (1908–1987), zwanej Papuszą, i odrzucenia jej przez romską wspólnotę.

Jej pseudonim oznacza lalkę. Rzeczywiście była bardzo piękna. Ale uroda cygańskiej dziewczyny przynosi więcej utrapienia niż radości. Szybko została wydana przez rodzinę za mąż. Nie dość, że o miłości nie mogło być mowy, to jeszcze skończyło się upokorzeniem. Mąż powiedział: „Odejdź. Nigdy cię nie kochałem. Za żonę wziąłem, boś umiała zarobić”. Ot i tradycyjny romski rozwód. Podobnych przykładów traktowania kobiet jest w książce Angeliki Kuźniak więcej. Drugi mąż, dużo starszy Dyżko Wajs – z zawodu harfiarz – również nie pytał o zdanie młodej Bronisławy. Ani przed ślubem, ani po nim. Nie chciała go za męża, w dodatku ją bił. Na starość opiekowała się nim do końca. Chociaż szybko zhardtowała i nauczyła się walczyć o swoje, to do końca życia dostawała po głowie restrykcyjnym cygańskim kodeksem. Najbardziej przygnębia-

MARCIN KUBE

Poetka wyklęta

Biografia **Papuszy** pokazuje prostą prawdę, że wykluczani też potrafią wykluczać.



Angelika Kuźniak, „Papusza”, wyd. W.A.B., Warszawa 2013; cena: 34,99 zł

jące jest to, że w zasadzie nigdy go nie złamała. Zarzuty wspólnoty romskiej, a później ostracyzm i izolacja brały się głównie z ignorancji i strachu przed gdziofskim (nieromskim) światem, któremu cygańskiego folkloru i tajemnic przybliżać nie wolno. Za to grozi kara „skalania”. Żaden Rom nie poda nawet ręki takiej osobie. Choć oficjalnie wyrok wobec Papuszy nie zapadł, to i tak wypchnięto ją na margines.

Smutne losy polsko-cygańskiej poetki to główny temat znakomitej książki Angeliki Kuźniak. Jednocześnie w tle rysuje się historia polskich Romów w XX w. Okres przedwojenny, w porównaniu z PRL, prezentuje się niemal sielsko. Cygański złoty wiek zakończyła

okupacja niemiecka. Nazistowski plan rasowy nie dawał Cyganom więcej szans niż Żydom. Trzydziestoletnia Papusza ocalała, bo wraz z bliskimi ukryła się w wołyńskich lasach. Czas powojenny to początek końca koczowniczego życia w taborach. Władza ludowa postarała się, by poprzez „akcje osiedleńcze i produktywizacyjne” Cyganie stali się częścią kolektywnego społeczeństwa. Lata 70. i 80. to już wegetacja w ciasnych mieszkaniach komunalnych, starania o zasiłki i renty oraz tęsknota za dawnymi czasami, gdy za obozowanie w lesie i podróże w taborach nie karano jeszcze wysokimi grzywnami.

Angelika Kuźniak wykonała mroźną pracę, zbierając rozproszone źró-



REPRODUKCJA MAREK SIORUPSKI/FORUM

dła. Z wyczuciem portretuje skrajnie konserwatywną społeczność, tak przecież wrażliwą na swoim punkcie. Cytuje amatorskie nagrania ze spotkań autorskich, dzieli się zdjęciami z prywatnego archiwum Wajsów i gromadzi

wspomnienia świadków tamtych wydarzeń – jak choćby historię delegacji cygańskiej, która wybrała się z worem pieniędzy do Związku Literatów Polskich, by wykupić i spalić cały nakład „Cyganów polskich” Ficowskiego.

Rodzina Papuszy nie akceptowała jej literackiej pasji.

Albo scenę, gdy Papusza z dumą rozdaje na osiedlu świeżo wydane tomiki swych wierszy. Wieczorem zadrukowany papier posłużył do zawijania kiełbas i wędlin – tak pobratymcy docenili jej sukces.

Szorstka kobieca przyjaźń

Tak bardzo zachwyciliśmy się prozą Sándora Máraia, że z trudem dociera do nas twórczość innych utalentowanych węgierskich pisarzy. Jest wśród nich Magda Szabó, która zmarła w 2007 r. w wieku 90 lat. Literacką karierę zaczynała jako poetka, by później odnieść największe sukcesy w prozie. Do końca lat 50. jej dzieła objęte były zakazem druku, Szabó trafiła nawet do więzienia za swoje książki. Starsi czytelnicy mogą pamiętać węgierski serial na podstawie jej najśłynniejszej powieści „Tajemnica Abigail”, emitowany w polskiej telewizji w latach 80.



Magda Szabó, „Zamknięte drzwi”, przeł. Krystyna Pisarska, wyd. Bona, Kraków 2013; cena: 34,90 zł

W „Zamkniętych drzwiach”, na poły autobiograficznej powieści także z lat 80., Szabó buduje wciągającą historię opartą na silnych charakterach. To solidna proza psychologiczna, w której wątki rozwijane są nieśpiesznie: wciągają i stopniowo rozbudzają naszą ciekawość. Narratorka jest pisarką prowadzącą bardzo ułożony tryb życia wraz ze swoim flegmatycznym mężem. Do ich tradycyjnego inteligentckiego domu trafia Emerenc, z pozoru antypatyczna kobieta, zatrudniona jako pomoc domowa. Poznajemy ją z punktu widzenia pracodawczyni i z początku

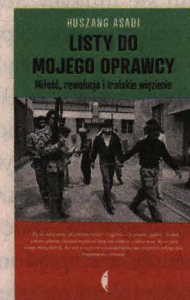
udziela nam się jej niechęć do służącej. Nawyki i sposób bycia Emerenc mogą irytować; trudno polubić oschłą i apodyktyczną kobietę. Jednak za szorstkim zachowaniem i nieprzystępną stoi przejmująca historia kobiety doświadczonej przez życie i ludzi. Z czasem relacja dwóch kobiet nabiera głębszych odcieni i przemienia się w niezwykłą przyjaźń.

Powieść zainspirowała znanego węgierskiego reżysera Istvána Szabó (mimo identycznego nazwiska niespokrewnionego z autorką), który przeniósł ją na ekran w 2012 r. → Marcin Kube

Raj na ziemi

Wiara w Boga generalnie jest OK. Ale kiedy zamienia się w chęć zaprowadzenia królestwa bożego na ziemi, trzeba do niego zaprosić także niewierzących. Zwykle bywają oni nazbyt skupieni na rodzinach, karierze i doczesnych pasjach, by w porę dostrzec boski blask, na początek więc dobrze jest zgromadzić ich tysiącami w nieogrzewanych miejscach odosobnienia. Tam zaś, w trosce o dusze niewiernych, można przejść do konkretów, jak wybijanie zębów czy bicie w stopy, które z czasem doprowadza do kalectwa. Oporni? Bywają i tacy. Wtedy w osobnej

izolatorce stawia się miskę z ekskrementami innych więźniów, twardziela zaś podwiesza się do góry giczolami, tak żeby „nosem dotykał gówna”. Puszczają mu wszystkie zawory, do miski zaś „spływa po plecach jego własna sraczka” i krwawe wymioty. I tak co parę dni, przez wiele lat – aż „pies parszywy” ujrzy światło Prawdy i wyszczeka wszystkie nieistniejące winy. Oto w szybkim skrócie (i w ogromnym uproszczeniu) autobiograficzna książka „Listy do mojego oprawcy” Huszanga Asadiego, irańskiego dziennikarza, pisarza i scenarzysty, w której autor opisuje



Huszang Asadi, „Listy do mojego oprawcy”, przeł. Agnieszka Nowakowska, wyd. Czarne; Cena 39,90 zł

z perspektywy skazańca pierwszą dekadę swojej ojczyzny (1979–1989) pod przywództwem Ajatollaha Chomeiniego. Do więzienia Asadi szedł jako lewicowiec, fan komuny; dziś już wie, że „różnica między ideologicznym i religijnym totalitaryzmem nie istnieje”, a jego wspomnienia w 2011 r. otrzymały Międzynarodową Nagrodę obrońców Praw Człowieka. Rzecz złowroga, choć niepozabawiona ironii, precyzyjna jak diabli – a że to ten sam czas co nasza „Solidarność” i stan wojenny, skłania do porównań, klęknięcia pod figurą i głębokiego namysłu. → Hubert Kropielnicki

ALTERNATYWA

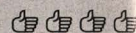
Eksperyment i francuskie powieści

Ambitna dziewczyna. Trzy albumy w trzy lata i, jak się okazuje, do trzech płyt sztuka. Nowe wydawnictwo Julii Holter w pełni potwierdza potencjał, który do tej pory jedynie nieśmiało zdradzała.

Mogło się skończyć przerostem naciąganej eksperymentu nad treścią – jak do tej pory. Minimalnie przeceniana faworytka niezależnych podsumowań ostatnich sezonów dowodzi jednak, że metoda prób i błędów się opłaca. Na „Loud City Song” błędów już nie ma, a dotychczasowe próby oswojenia sprzeczności krystalizują się tu w świadomie prowadzony koncept. To płyta kontrastów. Muzycznie – bo Holter odważnie i swobodnie zestawia konkret, zwięzłość i komunikatywność popowej piosenki z abstrakcyjnymi strukturami ambientu. W tekstach – bo konfrontuje realne z fikcyjnym, własne emocje z inspiracją cudzą historią. W tym przypadku punktem wyjścia dla płyty



Julia Holter
„Loud City Song”,
Domino/NoPaper
Records



była francuska powieść „Gigi”. I w ekspresji – bo balansuje na granicy nadmiaru w egzaltacji i absolutnego minimalizmu. Ta dwubiegunowość buduje

oryginalną, osobną całość. Nie tak dawno porównywano ją z Kate Bush. Dziś porównania, nawet tak nobilitujące, nie są już potrzebne. → Angelika Kucińska

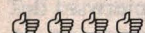


ALTERNATYWNY ROCK

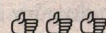
Gitary dla erudyty

Niby debiutują, choć w składzie Hokei nie ma żadnego debutanta. Ale ta alternatywna supergrupa nie stoi doświadczeniem, ale pokrewieństwem w muzycznych fascynacjach. W Hokei spotkali się muzycy Stworów i Ed Wood, zespołów dobrze znanych publiczności zainteresowanej krajową muzyką niezależną. Wspólnie nagrali fanowski hołd dla niezależnego rocka, swobodnie poruszając się wśród progresywnych, eksperymentalnych, formalnie nieoczywistych podgatunków alternatywnej muzyki gitarowej. Brzmienie, choć świadczące o dużej erudycji muzyków, spaja oczywista słabość do amerykańskiej sceny niezależnej. „Don't Go” to jednak zdecydowanie więcej niż powtórka z ogranych patentów. Niepopularne inspiracje zyskują autorską interpretację, wiarygodną zaangażowaniem (to bardzo intensywna płyta) i naturalnym wyczuciem (nie słuchają postrocka od tygodnia). Nic dziwnego, że wydało ich Lado ABC – ta wytwórnia w mig wylapuje to, co w polskiej muzyce najciekawsze. → Angelika Kucińska

Hokei, „Don't Go”,
Lado ABC



Karin Park
„Highwire Poetry”,
State of the Eye/NoPaper
Records



ELEKTRONIKA

Ale to już było

Bez sentymentów porzuciła przywileje popowej megagwiazdy i zaczęła nagrywać płyty alternatywne. Gdzie Karin Park znalazła nową publiczność? Wśród fanów skandynawskiej elektroniki.

Nie da się uciec od porównań. Choćby dlatego, że nad brzmieniem „Highwire Poetry”, czwartego albumu Karin Park (w Polsce płyta ukazuje się rok po światowej premierze), czuwał producent The Knife i Fever Ray, głównych towarów eksportowych muzyki elektronicznej ze Skandynawii. I dlatego, że śpiewa jak Karin Dreijer Andersson, wokalistka łącząca wspomniane projekty. Nie mówiąc o tym, że piosenki Karin Park niesie podobny mroczny surrealizm. Urodzona w Szwecji, doceniona w Norwegii, wcześniej pisała popowe melodie, by wreszcie zostać pierwszą damą gotyckiego electro. „Highwire Poetry” błyszczy odwołaniami

POP

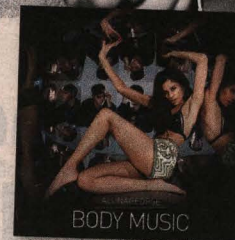
Spełnione nadzieje

Brawo, Aluna i George! Tak się robi dobry nowoczesny pop.

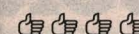
Sukces ubiegłorocznego debiutu Jessie Ware znacznie ułatwił zadanie innym łączącym pop, R'n'B i nowoczesne elektroniczne brzmienia. Wokalistka Aluna George i producent George Reid korzystają z tych połączeń równie umiejętnie i wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że im także przyniosą dużą popularność. Damska połowa duetu nie ma wprawdzie tyle wdzięku co panna Ware, a jej słodki, dziewczęcy głosik nie każdemu przypadnie do gustu, ale wystarczy, że świetną robotę robi jej partner. Pamiętajcie, jakie cuda na polu R'n'B wyprawiali niegdyś Aaliyah z Timbalandem? To właśnie do nich i do innych mocarzy czarnej muzyki z przełomu wieków odwołuje się Reid w swoich produkcjach. Tyle że przepuszcza to przez filtr tego, czym aktualnie oddycha klubowy Londyn.



Potencjalne przeboje? Co najmniej połowa płyty, choć trzeba przyznać, że najcięższe działa AlunaGeorge wytoczyli na singlach na długo przed premierą „Body Music”. Tak czy owak, warto było w nich wierzyć. → Bartek Winczewski



AlunaGeorge
„Body Music”,
Universal



ELEKTRONIKA

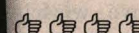
Muzyka końca świata

I co z tego, że zagrali na otwarciu igrzysk olimpijskich? Bezkompromisowi brytyjscy elektronicy z Fuck Buttons pozostają skarbem muzycznej alternatywy.

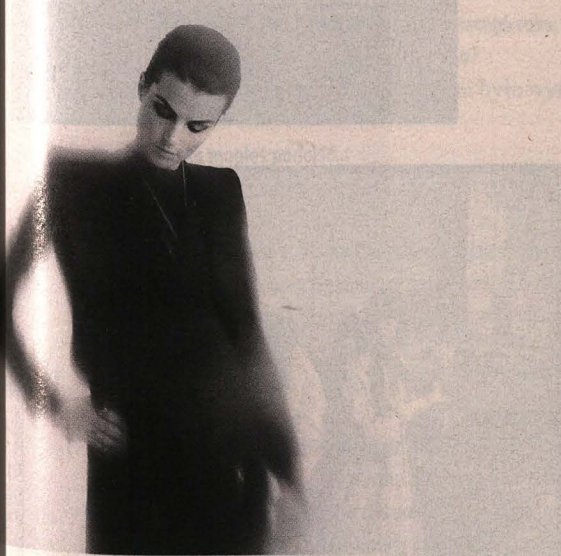
Fani muzyki do dziś nie mogą uwierzyć, że obok piosenek Beatlesów, Stonesów, Queen i The Who na stadionie olimpijskim usłyszeli też Fuck Buttons. I wcale nie chodzi o to, że do show oglądanego przez miliard widzów dopuszczono grupę, która w nazwie ma brzydkie słowo zabronione w telewizji. Chodzi o to, że elektroniczny hałas, jakiemu Andrew Hung i Benjamin Power oddali się w swojej twórczości, to muzyka odpowiednia raczej dla ceremonii otwarcia nowych kręgów piekielnych, a nie największego masowego widowiska na świecie. Na „Slow Focus”, ich trzecim albumie, jest jeszcze bardziej



Fuck Buttons
„Slow Focus”,
ATP



hałaśliwie niż ostatnim razem, kiedy wpuścili do swoich monumentalnych kompozycji nieco światła i melodii. Tu brzmią mrocznie, posępnie i niepokojąco jak nigdy wcześniej, nad melodię zdecydowanie przedkładają rytm. Ale ten apokaliptyczny w klimacie ekstrakt z Aphex Twina, Vangelisa, Mogwai i My Bloody Valentine to wciąż nie jest muzyka do tańca. Takie rzeczy zagra radio, kiedy już będzie kończył się świat. → Bartek Winczewski



niami do syntetycznych lat 80. zestawionych z industrialnym chłodem. Bogate w detale brzmienie intryguje – niewystarczająco jednak, żeby przymknąć ucho na ewidentny brak charakteru. → Angelika Kucińska

ŁUKASZ MODELSKI

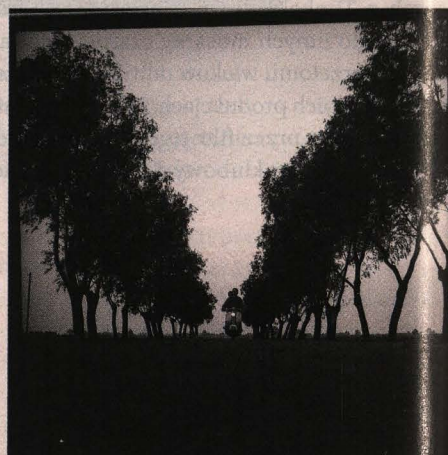
Autor książki „Fotobiografia PRL. Opowieści reporterów” zaprasza nas na rozmowy z mistrzami gatunku. Obok zamieszczamy fragment wywiadu przeprowadzonego z wybitnym fotografem Tadeuszem Rolkiem.



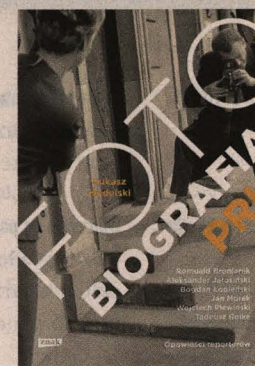
Sześciu fotografów i dwa Peerele

Z bierałem materiały do zupełnie innej książki. Szukałem „dziewczyn PRL-u”, córek kobiet, które w dorosłość wchodziły w czasie wojny. Jednym z moich źródeł był Tadeusz Rolke – poszedłem do niego, uważając (słusznie), że człowiek, który obracał się we „właściwym towarzystwie” lat 60. mógłby udzielić mi kilku wskazówek i wskazać parę kontaktów z pierwszej ręki. Ta rozmowa jednak rozlała się szerzej, a wiedza fotografa na temat towarzysko-zawodowo-uczuciowych zawirowań epoki zdawała się nie mieć granic. Tadeusz Rolke otworzył mi oczy na niezwykłą, uprzywilejowaną pozycję fotografa w Polsce Ludowej. Celowo używam tu terminu „Polska Ludowa”, a nie na przykład „czasy PRL-u”, dlatego że nie o czas tylko chodziło, ale właśnie o ustrojową „ludowość” kraju, w którym on i jego koledzy wykonywali swój zawód. Prawda, z jednej strony fotografia nie była jeszcze popularna jak dziś (technologia, złożoność procesu, koszty sprzętu) bez względu na to,

gdzie się żyło. Z drugiej jednak – „kraje demokracji ludowej” reglamentowały przecież nie tylko dostęp do sprzętu, ale przede wszystkim, mówiąc najogólniej, do informacji: jej przetwarzania, rozpowszechniania i – zwłaszcza – interpretacji. W tym ograniczeniu właśnie leżał niezwykle charakter pracy ówczesnych fotografów. Pracę fotografa prasowego, a z takimi mamy tu do czynienia, określa zamówienie z redakcji, to oczywiste. Redakcja składa je zgodnie ze swoją polityką, charakterem tytułu czy estetyczną wrażliwością, to również wiadomo. Naprawdę ciekawie jest jednak wtedy, kiedy zdamy sobie sprawę, że dotyczy to sytuacji, w której nie istnieje wolna prasa. Że zdjęcia, które fotograf dostarcza do redakcji, albo służą celowi politycznemu, albo funkcjonują mimo, wbrew niemu. Więc zaczyna się poszukiwanie obszaru własnej wolności, w tym wypadku – wolności twórcy. I to właśnie, choć nigdy nie zostało tak nazwane, jest tematem tych rozmów.



Łukasz Modelski, fragment wstępu do książki „Fotobiografia PRL. Opowieści reporterów”, Znak, Kraków 2013. Autor książki jest również kuratorem wystawy „Czas wolny. Fotografie”. Ekspozycję można oglądać do 22 września od wtorku do niedzieli w godz. 12–20 w Zachęcie Narodowej Galerii Sztuki, pl. Małachowskiego 3 w Warszawie.



Fotobiografia PRL. Opowieści reporterów

Łukasz Modelski

(...) Gdzieś znalazłem taki fragment z „Trybuny Ludu”, która pisze o tobie, że jesteś cudownym dzieckiem polskiej fotografii...

– To było po tej pierwszej wystawie ogólnopolskiej, na której była Madonna Cygańska. Napisał to współpracownik „Trybuny”, który był bliskim przyjacielem Ewy Garsteckiej – bardzo poważnej dziennikarki „Trybuny”, bardzo dobrze wykształconej, straszliwej komunistki. Znał się, przychodziła do galerii Krzywe Koło.

Zobacz, tu są zdjęcia z pięćdziesiątego dziewiątego roku, Chruszczow na Bemowie. Cała seria twoich zdjęć. Dla kogo?

– Dla „Stolicy” jeszcze. Coś tam trzeba było wydrukować.

Bardzo blisko mogłeś podejść...

– Tak, to jeszcze takie czasy, że reporterzy podchodzili blisko.

Najdziwniejsze zdjęcia z wizyty Chruszczowa, jakie widziałem. Bo oprócz oficjalnego Chruszczowa z Gomułką w samochodzie widzę Chruszczowa witającego się z paniami – groteska, braki w uzębieniu, głupie miny. To poszło?

– Nie.

A to, na którym fotografujesz trybunę od dołu? Z oddali – z niemal niewidoczną trybuną, ciemne postacie na tle nieba, jak figurki. Tego nawet pewnie nie próbowałeś dawać w redakcji?

– No, rzeczywiście. Nie dawałem. Podczas oficjalnej wizyty też można fotografować.

A milicja przy pracy? To ten sam rok?

– Tak, cały dzień spędziłem w radiowozie i dla „Stolicy” robiłem reportaż.

To w ogóle był jakiś milicyjny rok. Twoja seria „Pijacka sobota – znów dzielni milicjanci zabierają obywateli do izby wytrzeźwień”. To prawdziwy reportaż czy kazałeś im pozować?

– Prawdziwy. To był reportaż dla „Stolicy”, jeden z ostatnich chyba, bo wkrótce mnie wyrzucili.

Myślałem, że to ustawiane. Milicjant patrzy w obiektyw, uśmiecha się chyba, napis „Izba wytrzeźwień”, wszystko starannie skomponowane...

– No tak, mogłoby być ustawiane, rzeczywiście wygląda jakoś starannie. Ale nie było.

Dlaczego wyrzucili cię ze „Stolicy”?

– Zmienił się naczelny – odszedł Kobielski, przyszedł Wyszynski, raczej beton. I jemu już się nie podobałem. Politycznie niewłaściwy. Zresztą w ogóle musiałem odstawać.

Kiedy to było?

– W sześćdziesiątym roku. Przepracowałem niecałe cztery lata.

Ze „Stolicy” cię wyrzucili, ale zaraz trafiłeś do „Polski”. Precyzyjnie – do tak zwanej „Polski-Zachód”.

– Miałem poczucie, że trafiać na szczyt.

Bo zacząłeś uprawiać poważny reportaż prasowy, a „Polska” miała najbardziej światowe ambicje?

– Tak, to w „Polsce” był top. I tytuł wówczas najbliższy światowemu reportażowi.

Miałeś się od kogo uczyć, ktoś cię wtedy inspirował?

– Inspirowałem się zachodnimi pismami. Przychodził „Life”,

„Paris Match”, „L'Europeo”. Marzyłem, żeby wejść na ten poziom.

On był osiągalny technicznie?

– Tak. I jeśli chodzi o jakość fotografowania, i później – użycia tej fotografii, layoutu, druku.

Czy był taki moment, że zbliżyłeś się do tego albo poczułeś, że to osiągnąłeś?

– Tak, to się zdarzało. Kiedy było jakieś zdjęcie, które sam ceniłem, i zostało dobrze wydrukowane, to miałem poczucie, że jestem blisko.

A jak trafiłeś do „Polski”?

– Fotografowałem Barbarę Niezabitowską, w której bardzo kochał się Lech Zahorski, wówczas dyrektor artystyczny tego pisma.

Jak do tego doszło?

– Poznałem ją w czerwcu, w Warszawie. Miała pewnie ze dwadzieścia lat. Chciałem ją fotografować, była bardzo piękna. Powiedziała mi, że jedzie do domu, do Oliwy. A ja też akurat chciałem być na Wybrzeżu. Umówiłem się z nią, pojechałem, spotkaliśmy się w Sopocie, w galerii BWA, tam była wystawa sztuki współczesnej i zrobiłem jej tam bardzo dużo zdjęć. Dałem jej odbitki, a ona natychmiast pokazała je Zahorskiemu, to było jakoś jesienią. Był zachwycony i zaproponował mi pracę. To poza tym wielka historia miłosna – Barbara miała jedno dziecko z Niezabitowskim, to Małgorzata, rzeczniczka rządu Mazowieckiego, a drugie, też dziewczynkę, z Zahorskim. Wtedy to było niemowlę. Ona z Zahorskim chyba nigdy nie mieszkała. W każdym razie krótko po moim przejściu do „Polski” Barbara zmarła nagle na skręt kiszek. I Zahorski poprosił mnie, żebym mu dał jej zdjęcia – wszystkie, jakie mam. Dla dziecka. Miałem dużo, dałem.

Masz je w archiwum?

– Nie, to wszystko zaginęło, kiedy wyjechałem.

Poznałeś Zahorskiego bliżej?

– Miałem z nim bardzo dobry kontakt. Uwielbiał mnie zapraszać na kolacje z moją dziewczyną Matyldą, a później z Lucyną. Nie byłem takim typowym swojskim chłopakiem. Jedną piękną dziewczyną z Kanady powiedziała mi: „Ty jesteś inny niż twoi rówieśnicy”.

Miałeś tego świadomość? Pomagało ci to czy przeszkadzało?

– Pomagało. Umiem słuchać, poza tym zawsze byłem z ładną dziewczyną, a Zahorski był zawsze samotny, czego ja zupełnie nie rozumiem. Zawsze spotykaliśmy się w trójkę. On umiał gotować, robił coq au vin, bo studiował we Francji, w Belgii, zawsze miał czerwone wino z tych lepszych, sałatę skądś przywoził, sery, i myśmy jedli te francuskie dania, i pili dużo wina. Spotykaliśmy się dość regularnie.

To dość niepowszeczne wówczas. Kim on był?

– Był świetnym designerem, robił znakomite fotografie. Nie miał jeszcze czterdziestki chyba.

Dlaczego go postavili praktycznie niemal na czele „Polski”?

– Bo się świetnie nadawał – z Zachodu, wykształcony w Belgii, członek partii oczywiście, ale chodziło o stworzenie magazynu, który można pokazać na Zachodzie.

A kto był naczelnym „Polski-Zachód”?

– Bardzo mocny człowiek partii, Jerzy Piórkowski – pisarz, kolega Bratnego, z tych AK-owców, którzy poszli na współpracę z reżimem, a nie do więzienia. Słyszałem o nim straszne opinie, fatalnie o nim mówiono.

Ależ to było środowisko – z jednej strony dyspozycyjny pisarz, z drugiej

– sybaryta dysponujący serami nie wiadomo skąd...

– Sekretarzem redakcji był też mocny partyjniak Zdzisław Szakiewicz. Żaden orzeł, taki organizator. Sekretarką redakcji była Krysia Prutkowska, świetna dziewczyna, żona satyryka Józefa Prutkowskiego. Był też Tomek Łubieński, młody nabytek redakcji, bardzo ciekawy. Ukryty antykomunista zdecydowany, dobre pióro.

A co to właściwie było ta „Polska-Zachód”? Wentyl bezpieczeństwa?

Malowanie na różowo?

– Musiała być jakaś kolorowa wizytówka władzy. Taki „Kraj Rad”. „Ameryka” przychodziła do Polski. Więc musiał być taki polski „Kraj Rad”.

(...) Rozumiem, że to kolegium decydowało o tematach, ale też pewnie z góry przychodziło coś, co trzeba było sfotografować. A tobie się zdarzało proponować tematy?

– Przede wszystkim w obszarze sztuk wizualnych. Proponowałem, ale to musiał zatwierdzić Zahorski. Czasami również naczelnicy. Bywało, że coś proponowałem i słyszałem: „Nie, na razie nie”, ale na ogół to przyjmowano. Głos Zahorskiego chyba przede wszystkim się liczył. Tak teraz myślę.

Zdarzało się, że twoje tematy funkcjonowały wyłącznie jako fotoreportaż?

Bez tekstu?

– Nie, one zawsze miały tekst. Chociaż... może i coś było?

Czyli zawsze jechałeś z kimś, kto miał pisać?

– Nie. Na przykład kiedy robiłem materiał o Nikiforze, byłem sam. Często jechałem z kimś piszącym, ale bywało, że tekst już istniał. Albo, szczególnie w przypadku tematów naukowych, że nawet nie znaliśmy autora.

Kiedy fotografowałeś Nikifora?

– To był sześćdziesiąty drugi rok, zlecenie z „Polski”. Kilku-dniowy wyjazd do Krynicy, kontakt z jego opiekunem. Cho-

dziłem tam, dokąd on chodził. Raz pojechaliśmy z nim pod Krynice, do jakiejś ładnej cerkwi... Powstał duży materiał.

Jak zapamiętałeś ich obydwo, Nikifora i Mariana Włosińskiego, jego opiekuna?

– Co do Włosińskiego – widziałem, że facet zajmuje się chorym. Na ogół to wszystko wyglądało w porządku. A sam Nikifor... chory człowiek, który wymagał opieki.

Z kim najczęściej jeździłeś?

– Chyba z Tomkiem Łubieńskim. Zwykle wyjazdy – fotograf plus dziennikarz. Nie wiem, dlaczego szczególnie zapamiętałem reportaż z Pomorza. Wtedy w Polsce bardzo popularne były motocykle – o samochód było trudno, o motocykl łatwiej. Byliśmy w takiej wsi, gdzie było bardzo dużo zarejestrowanych motocykli, może i proporcjonalnie najwięcej, biorąc pod uwagę liczbę mieszkańców. Przyszli motocykliści, zrobiłem fajne zdjęcia – społeczne, anegdotyczne.

Czy kiedy przyjeżdżaliście z dziennikarzem do jakiejś wsi lub miasteczka, to zapraszano was, częstowano was czymś, bo „panowie z prasy”?

– Nie, ludzie się krępowali. Żeby nie było podejrzania jakiegoś przekupstwa, czy ja wiem... Ale też nigdy nie miałem kłopotu, żeby sfotografować to, co chciałem. Na przykład kiedyś byłem w Bolesławcu – była straszna zima, dwadzieścia stopni mrozu, a ja miałem zrobić coś szkolnego. Ziemie Zachodnie były faworyzowanym tematem, pokazywało się, jak to wspaniale Polacy gospodarują na swoich dawnych ziemiach piastowskich, tylko na chwilę porwanych przez Niemców. Mróz, miasteczko wymarłe, nie wiem, co robić. Idę do dyrektorki szkoły i mówię: „Proszę pani, jestem z pisma »Polska«, muszę mieć zdjęcia tej szkoły. Chciałbym panią prosić”... I po chwili cała szkoła wyszła na dwór, na mróz. Potem oczywiście zrobiłem parę zdjęć w budynku, w klasie, ale przede wszystkim miałem zdjęcie dzieci przed szkołą, niepokojące, robione z góry, zdjęcie, które otwierało ten reportaż. Nie było żadnego problemu.

Zdarzało się, że robiliście jakiś temat wspólnie z innym fotografem?

– Nie, jedyny fotograf, z którym robiłem jakiś projekt wspólnie, to był Kossakowski.

Co to było?

– Byliśmy razem w Pieninach i w Zielonej Górze. Bardzo niechętnie Piórkowski wysyłał nas razem.

Dlaczego?

– Bo nam zazdrościł, że pijemy sobie wódkę w knajpie gdzieś w Polsce.

A co to były za projekty?

– Pieniny to był taki temat „retro”, regionalny. A Zielona Góra – wiadomo – o mieście i Ziemiach Zachodnich.

Czy to wy decydowaliście, co będziecie fotografować?

– W takich regionalnych wyjazdowych tematach – całkowicie. Nie dostawaliśmy żadnych wskazówek. Co innego, kiedy trzeba było fotografować na przykład naukowców, tematy naukowe czy jakieś fabryki...

Jak się poznaliście z Kossakowskim?

– Kossakowski zaczął mnie, kiedy pracowałem w „Stolicy”. (...) Że przeprasza, wie, kim ja jestem, że on też fotografuje, i czy mógłbym obejrzeć jego zdjęcia. Umówiliśmy się, poszedłem do niego, on mi pokazał swoje zdjęcia, nawet miał okładkę w piśmie „Zwierciadło”, i się zakolegowaliśmy. Wkrótce wciągnąłem go do redakcji, przedstawiłem naczelnemu...

(...) A pamiętasz zdjęcia, które on ci wtedy pokazał?

– Pamiętam jego słynne zdjęcie: taka wysoka kobieta idzie w głębi kadru, a na pierwszym planie jest drewniana bariera czy szlaban, na którym suszą się jakieś białe ubrania... Pamiętam kilka bardzo wczesnych.

Co o nich sądziłeś?

– Że zrobił je dobry fotograf. On mi tłumaczył, że przerwał studia na architekturze, że rodzice przerażeni. Wtedy był świeżo po ślubie z Ewą, panią z bardzo dobrego domu. Oni się szybko rozstali, zaraz jak go poznałem. Potem miał kompletnie odjazdową dziewczynę z Akademii Sztuk Pięknych – Elżbietę Kurpieską. Istniały na szczęście istoty ludzkie, które trochę odstawały od normy. Zresztą skończyła oczywiście z mężem w Paryżu.

Kiedy Eustachy wyjechał z kraju?

– W siedemdziesiątym roku, tak jak ja.

Czy to był twój pierwszy wyjazd zagraniczny po powrocie z Niemiec?

– Nie. Poprzednio byłem we Francji i w Szwecji.

Do Francji wysłała cię „Polska”?

– Nie, pojechałem prywatnie, na miesiąc, w sześćdziesiątym piątym roku. Dużo fotografowałem. W Paryżu zrobiłem temat dla „Ty i Ja”. Dotyczył tego, jak się fotografuje modę we francuskim „Elle”. Takie kulisy, trochę backstage, jak by się dzisiaj powiedziało. To wszystko przygotował Romek Cieślewicz, który pracował w „Elle”. Zresztą to on wymyślił ten materiał dla „Ty i Ja”. Towarzyszyłem sesjom mody.

(...) Wyjazdy zza żelaznej kurtyny zawsze były inspirujące. Zobaczyłeś w Paryżu jakieś nowe tematy do fotografowania? Widziałeś jakąś różnicę pod tym względem, jeśli chodzi o tematy, które robiłeś w Polsce?

– Nie, niespecjalnie. Ale utwierdziłem się w swoim sprzeciwie wobec realnego socjalizmu. Stałem się bardziej Europejczykiem: pochodząc ze wschodniej Europy, zostałem jakby kandydatem na zachodniego Europejczyka. 📷



Bezwstydnicie



Po latach nietaski **burleska powraca**. Kiedyś rozbierana komedia, dziś zaangażowany performance z erotycznym twistem. Okazuje się, że w czasach, w których możemy zobaczyć wszystko, wolimy zobaczyć mniej, ale ciekawiej. Bo cała zabawa w domysłach.

Pokaż cycki!" – usłyszałam kiedyś z widowni i poczułam się dziwnie. Choć pokazuję piersi, to nie jest to najważniejszy element mojego show. Burleska to kabaret, taniec, pantomima, występy kuglarskie, no i też striptiz. Zanim jednak to zrozumiałam i nazwałam siebie striptizerką, musiało minąć kilka lat. Dziś nie mam z tym problemu. Burleska nie istnieje bez erotycznego twistu. A ten twist to właśnie piersi, pupa, pończochy. Oczywiście nie tylko o to chodzi, żeby się rozebrać. Ale zwykle na tym się kończy – śmieje się Candy, jedna z pierwszych burleskowych gwiazd w Polsce i założycielka Warszawskiej Szkoły Burleski. – Nagość to dla mnie nie cel, ale jedynie środek – mówi Betty, kolejna gwiazda gatunku. – Kiedyś burleska była typowo męską rozrywką, a performerki, które w niej występowały, robiły to raczej dla chleba, a nie z pasji. Dziś chodzi o coś zupełnie innego. Na widowni jest o wiele więcej kobiet niż mężczyzn, którzy po prostu się boją i wstydzą. Burleska to pokaz kobiecej siły. To odpowiedź na świat, w którym liczą się tylko idealnie chude ciała i buzie jak z magazynów. My jesteśmy piękne nie dlatego, że mamy wymiary 90-60-90 i przez godzinę układamy włosy, tylko dlatego, że jesteśmy kobiece. Nie oszukujemy się. Każda z nas ma cellulit, brzuszki, wystającą pupę. Wiem, że gdybym miała mniejsze piersi, to byłoby mi wygodniej w życiu. Ale nie mam, więc musiałam zaakceptować swoje ciało. Bo ciało jest fajne – śmieje się Betty.

Na dowód wystarczy obejrzyć kilka występów „Pin Up Candy Burlesque Star” czy „Betty Q and Crew”. Dziewczyny rzeczywiście są różne. Chude, niskie, grube, płaskie. Ale wszystkie emanują seksem. – Zajęcia zaczynam od pokazania dziewczynom lustra. Chcę, żeby każda uśmiechnęła się do swojego odbicia. Początki są trudne. Dziewczyny przychodzą w dresach i myślą, że są na kursie tańca. A taniec to tylko jeden z elementów burleski.

I wcale nie najważniejszy. Najważniejsza jest rewolucja w głowie – opowiada Betty. – Dziewczyna, która nie wierzy w siebie, nie ma szans zrobić wrażenia na scenie. Zaczynamy więc od nauki akceptacji, a reszta przychodzi z czasem. Powoli zauważam, że dziewczyny coraz odważniej ubierają się na zajęcia. Zaczynają się malować, zakładają obcasy. I co najważniejsze, robią to dla siebie, a nie – jak to zwykle bywa – dla mężczyzny – tłumaczy Pin Up Candy.

Mów do mnie, kocie

Kasia na pierwsze zajęcia trafiła przypadkowo. Miała za sobą kilka lat nauki tańca towarzyskiego i szukała alternatywy. Pierwsze, co ją zdziwiło, to wygląd nauczycielki. – Nie była wysportowaną trenerką, tylko bardzo zmysłową dziewczyną – opowiada. Początkowo Kasia do zajęć podchodziła z dużym dystansem. – Pamiętam, że ubrałam się w getry i za duży T-shirt. Trochę przerażała mnie pewność siebie, którą emanowała Betty. Z każdym tygodniem czułam się jednak coraz bardziej komfortowo w swojej skórze. Przełom nastąpił, kiedy przyjął pseudonim Kitty van Purr. Nagle zrozumiałam, że Kasia i ona to dwie różne osoby. I nawet trochę zazdrościłam Kitty. Ona nie liczyła się z cudzym zdaniem. Była śmiała, kobieca i odważna. Nie wstydziła się swojego ciała, bo czuła, że w ciele nie ma nic złego – opowiada.

Jednak zanim pierwszy raz rozebrała się na scenie, musiała długo się oswajać. W końcu coś w niej pękło i okazało się, że Kasia także na co dzień może być Kitty. Podobną metamorfozę przeszła Karolina, w burleskowym świecie znana jako Juicy Jane. Ona też miała za sobą doświadczenie tańca towarzyskiego i głębokie poczucie, że urodziła się 50 lat za późno. Burleskę pokochała od pierwszych zajęć. – Dzięki niej nauczyłam się intensywniej przeżywać własne emocje. Również te negatywne. Zawsze byłam raczej typem chłopczycy. Długo nie wiedziałam, czym jest kobieca siła. Odnala-

Burleska to pokaz kobiecej siły. To odpowiedź na świat, w którym liczą się tylko idealnie chude ciała i buzie jak z magazynów.

– Nagość to dla mnie nie cel, a jedynie środek – twierdzi Betty Q, dla której najważniejsza jest samoakceptacja.

BURLESKA

złam ją w tańcu. Na zajęcia przyszedłam, żeby nauczyć się tańczyć na krześle dla mojego męża. Dziś wszystko robię dla siebie. Moja otwartość wpłynęła też na nasz związek – opowiada. – Większość dziewczyn, które przychodzą na zajęcia, ma jakąś blokadę. Wspólnie się uczymy, jak podkreślić własne atuty, rozmawiamy o tańcu, ale także o życiu – dodaje Betty.

Burleska to nie tylko taniec, lecz także wygląd. Pin Up Candy w swoim buduarze prowadzi zajęcia ze stylizacji, na których można nauczyć się malowania kreski, czesania i dobierania stroju. Sama zaprojektowała linię ubrań, bo – jak mówi – nikt tak dobrze jak ona nie wie, co jest potrzebne prawdziwej pin-up girl. Na wieszaku znajdziemy więc kraciaste suknie z koła, halki i sukienki z dekoltem. Podczas warsztatów dziewczyny mogą korzystać z jej garderoby. Kurs trwa zwykle miesiąc i kończy się, kiedy dziewczyna potrafi wszystko zrobić sama. – Ja im tylko pokazuję ruchy, ale niczego nie nakazuję. Dla mnie burleska to otwartość. Każdy może interpretować ją po swojemu. I tylko wtedy jest szczerą – mówi Pin Up Candy.

Tancerki niezależnie organizują też pokazy na wieczorach panieńskich. – Dziewczyny zwykle myślą, że zaraz wejdzie chippendales i będzie się rozbierał. Kiedy wchodzę w piórach, są zaskoczone, ale szybko podłapują konwencję. Widzą, że nie jestem idealna, i to im się podoba. Po krótkim show pijemy razem szampana i uczymy się kroków. Z mojego doświadczenia wynika, że wieczór panieński to sytuacja, w której nikt nie chce się spocić i wszyscy mają niewygodne buty. Zamiast szalonych tańców uczyć dziewczyny, jak wyeksponować i polubić swoje piersi, nogi i seksapil – opowiada Betty.

Szampański show

Dziewczyny to jedna strona medalu. Przekonać je do burleski jest łatwo, bo to jeden z niewielu rodzajów ekspresji, który pozwala na tak dużą do-

– Nie wszyscy są gotowi na kontrowersje, które są przecież siłą napędową burleski – uważa Kitty.

wolność. Problemem w Polsce nadal jest publiczność, która miewa problem ze złapaniem konwencji. – Kiedy zaczęłam tańczyć, byłam bardzo ostrożna. Wiedziałam, że polski widz musi się oswoić z nagością. Moje pierwsze numery były bardzo grzeczne. Nadal zdarza mi się zacząć od nich show, kiedy czuję, że publiczność zupełnie nie wie, czego się spodziewać – mówi Betty. Dla Pin Up Candy najważniejsza jest energia. – Jeśli jej nie ma, trudno z siebie coś wykrzesać. Polska publiczność jest nauczona, że w teatrze się milczy. A tu jest inaczej. Trzeba klaskać, gwizdać, krzyczeć. Otworzyć się – mówi Candy. Jane dobrze pamięta numer, kiedy pierwszy raz musiała wciągnąć na scenę ochot-

Polska publiczność jest nauczona, że w teatrze się milczy. A tu jest inaczej. Trzeba klaskać, gwizdać, krzyczeć.

ników z sali. Bała się, że namówienie kogoś do współuczestnictwa będzie trudne. O dziwo, udało się i udaje do tej pory. Mimo że podczas numeru dwóch panów musi się nieco rozebrać. – Zwykle gdy ktoś przełamie lody, potem jest zachwycony. Czasem jednak znalezienie chętnych bywa trudne. Zdarza się, że musimy pokazać ludziom, jak się klaszcze, zejść do nich ze sceny, ośmielić. Ale kiedy widownia reaguje żywiołowo, to daje to wyjątkową frajdę – opowiada JJ.

– Na scenie czuję się jak królowa – mówi Betty. – Pamiętam, jak podczas imprezy firmowej na scenę wszedł mężczyzna. Strasznie mi przeszkadzał, więc trzymając się swojej roli w numerze, gdzie postać jest bardzo silną i zdecydowaną kobietą, chwyciłam go za koszulę, oblałam szampanem i wykopałam ze sceny. Publiczność zareagowała śmiechem, a ja byłam z siebie niezwykle dumna. Nie liczyło się dla mnie, czy to jakiś prezes czy dyrektor firmy. To mój

show i ja nim rządzę – opowiada Betty. Dziewczyny występują w całej Polsce. Czasem muszą zagrać do kotleta, czasem w jakimś podejrzanym miejscu w małej miejscowości. Ale się nie boją. – Od kiedy robię własne spektakle, nauczyłam się nie oceniać po pozorach – mówi Pin Up Candy. – Czasem scena na końcu Polski jest lepiej przygotowana niż to, co mogę znaleźć w dużym mieście. Różni też są ludzie. Udany show to wypadkowa wielu sytuacji. Każde wydarzenie jest jednorazowe i nigdy nie wiadomo, co z niego wyniknie – dodaje.

Gola dziewczyna to tępa dziewczyna

Niezależnie od tego, jak udany jest występ, dziewczyny wciąż muszą walczyć ze stereotypami. – Najczęściej słyszę, że burleska to machanie cyckami – żali się Kitty. – Poza tym cały czas pokutuje przekonanie, że atrakcyjna kobieta jest głupia. A ta, która decyduje się pokazać ciało na scenie, jest łatwa i zdesperowana. Nie wszyscy są gotowi na kontrowersję, a to siła napędowa burleski – tłumaczy Kitty. Mimo że w ostatnich latach o burlesce jest coraz głośniej, nadal pozostaje ona w offic. – Większość ludzi kojarzy burleskę z Ditą von Teese. Jednak z burleską, którą wykonuję, Dita nie ma wiele wspólnego. Udało jej się dostać do mainstreamu, bo sama jest mainstreamowa. Jej występy to eleganci striptiz, a ja robię performance, gdzie treść jest tak samo ważna jak forma – tłumaczy Betty. Oczywiście jest miejsce dla wszystkich. Betty tworzy bardziej w nurcie teatralnym, a Pin Up Candy, która odeszła od grupy i założyła własny zespół Burleskowe Cukierki, kieruje się raczej w stronę dużego, tanecznego show. Unika kontrowersji, nie kpi z uczuć religijnych i godła narodowego, skupia się na estetycznym wymiarze spektaklu. – Moje występy przede wszystkim muszą być piękne i dopracowane w każdym calu. W burlesce najbardziej cenię sobie indywidualność. Bo tylko wtedy, kiedy robimy coś od siebie, robimy to z serca – tłumaczy Pin Up Candy jako pierwsza w Polsce ma też swój fetysz show, który opowiada

o nylonowych pończochach. W jej spektaklach zdecydowanie większy nacisk położony jest na erotyzm. Występuje z dużymi scenografiami, a jej kostiumy są uważane za najlepsze w Polsce. Na zagranicznych festiwalach została okrzyknięta ambasadorką polskiej burleski.

Dla Betty bardziej liczy się historia. Jej spektakle są nie tylko słodkimi opowieściami o zakochanej dziewczynie, ale także studium złości czy rozpacz. W listopadzie Betty Q & Crew szykuje spektakl niepodległościowy. Będą



Juicy Jane na pierwsze zajęcia przyszła, by nauczyć się tańczyć na krześle. Dla męża. Dziś tańczy dla siebie. Ale jej mąż jest zachwycony.

nakładki na piersi w kształcie orzełka, owijanie się flagą i seksowne mundury. – Mówi się, że Polska jest kobietą. Chcemy to pokazać na scenie. W burlesce nie mam żadnych ograniczeń. Miałam już występ, w którym wcielałam się w Matkę Boską. Nie widzę w tym nic zdrożnego – opowiada Betty.

Kontrowersja to siła napędowa burleski, która w dzisiejszych czasach szczególnie rozwija się w środowiskach queerowych. – Geje kochają cycki i nie wstydzą się tego pokazać – śmieje się Betty. I rzeczywiście wśród burleskowej

publiczności sporo jest osób ze środowiska LGBT. – W Warszawie nadal brakuje miejsca, gdzie można by pokazywać tego rodzaju spektakle. Kiedyś pewnie organizowałybyśmy je w Le Madame. Ale, tak jak Klub Komedii Chłodna, już nie istnieje, więc jesteśmy skazane na różne kluby. Znajomi z zagranicy często mnie pytają, czemu pracuję w Warszawie, skoro nie tu nie ma. A ja odpowiadam, że właśnie dlatego. Ktoś musi to miasto zmienić – mówi Betty.

Jak idą te zmiany? Burleska rozwija się u nas od trzech lat. Zarówno Pin Up Candy, jak i Betty starają się raz w miesiącu pokazać nowy program. Obie też zdecydowały się na występ w popularnych reality show, które niewątpliwie przyczyniły się do rozwoju tej sztuki. W kilku szkołach tańca w Warszawie można się już zapisać na kurs, który mimo nazwy z burleską ma niewiele wspólnego. – Myślałam, że pójdzie to szybciej, ale nie narzekam. Utrzymuję się z pokazów i robienia zajęć, występuję za granicą i robię to, co kocham. Może to jeszcze nie jest biznes, ale na pewno już subkultura, której nie można nie zauważyć – mówi Betty. Jane i Kitty jeszcze nie oddały się w pełni burlesce. Pierwsza za dnia pracuje jako montażystka, druga jest lingwistką. Poza sceną są normalnymi kobietami i żonami, co sytuacji nie ułatwia. Za to Pin Up Candy dla burleski zdecydowała się zrezygnować ze swojej małej stabilizacji. Rzuciła pracę w korporacji i założyła Warszawską Szkołę Burleski. W jej buduarze odbywają się zajęcia, jest kącik z modą i studio tatuażu. – Burleska to całe moje życie. Zakładając szkołę, wiele ryzykowałam, ale opłaciło mi się to. Nie wiem, jak długo utrzyma się moda na retro, ale wiem, że znalazłam swój sposób ekspresji. W dzieciństwie byłam chłopczycą, miałam problem ze swoim ciałem i kobiecością. Dzięki burlesce to się zmieniło. Takich dziewczyn jak ja jest więcej. Nie wiem, czy burleska to jedyny sposób, żeby odkryć w sobie kobietę, ale na pewno najpiękniejszy – śmieje się Pin Up Candy i tanecznym krokiem kręci się wokół własnej osi, w eksponującej talię i biust kraciastej spódnicy z koła.

ROZMAWIAJĄ BARTOSIAK I KLINKE

Konie, golasy, wilki i koniaczek

O pracy, dorywczych zajęciach i fuchach, które musiała rzucić, by śpiewać, opowiada **Anja Orthodox**, wokalistka grupy Closterkeller.

Jak zarobiłaś pierwsze pieniądze?

Jako chłopak stajenny na Służewcu. Potem byłam już dżokejką. Oczywiście nie startowałam w wyścigach, tylko na treningach. Przez 10 lat objeżdżałam poranne galopy. Z końmi pracowałam też w stajni pod Brukselą. Dzięki temu w 1986 r. widziałam na żywo Killing Joke i Siouxsie and the Banshees! Niestety, gdy zaczęło się granie, nie mogłam pogodzić koni z rock'n'rollowym stylem życia. Nie dało się.

wypatrzył i zaprosił na casting do filmu. Na główną rolę! Poszłam jak jakiś baran, oczywiście głównej roli nie dostałam, ale drugoplanową już tak. Na planie przekonałam się, że aktorką jestem denną. I to do kwadratu. Chyba że muszę zagrać pijaną – to akurat wychodziło mi nieźle, wiadomo dlaczego.

Modelką byłaś lepszą?

Zdecydowanie. Modelingiem zajęłam się od razu, kiedy zaczęłam przypo-

Doiłam krowy, wyrzucałam gnój, odbierałam owcze porody, zajmowałam się kiszonką. Krótko mówiąc, byłam najprostszym robotnikiem rolnym. Także w polu.

A dało się być jeszcze statystką w Teatrze Wielkim?

Dało się. Mała kasa, za to wielka zabawa. Pracowałam tam cztery lata. Przebierałam się w suknie, nosiłam peruki, byłam malowana w garderobie... Z kumpelkami miałyśmy megaradochę. W „Carmen” wydałam nawet jakiś koguci skowyt... To była moja największa „rola”.

A rola Frani w filmie „O rany, nic się nie stało!!!”?

Przypadek. Kiedyś startowałam w wyborach Miss Polonia. Przepadłam już w drugim etapie, byłam za niska, a do tego bez cycków. Ktoś mnie jednak tam

minać kobietę. W tym temacie byłam opóźniona w rozwoju, co akurat teraz mi plusuje (śmiech). Ale jak miałam kilkanaście lat, to wcale nie cieszyło mnie, że ludzie mówią do mnie: „chłopczyku”... Gdyby nie pomoc chirurga, byłoby cienko albo płasko. Jak zwał, tak zwał. Pracowałam w dwóch agencjach: w jednej byłam fotomodelką, a w drugiej chodziłam na pokazach. Podobno, mimo 166 cm wzrostu, robiłam wrażenie.

Już wtedy czuć było sceniczną charyzmę.

Zapewne (śmiech). Miałam swoją stawkę godzinową i pozowałam na zamó-

wienie. Również na golasa, bo wtedy płacili zdecydowanie lepiej. Pojawiałam się też w reklamach szminek, na wystawach fotografii artystycznej i... rozłożona na stole bilardowym.

Reklamowałaś kije?

Gorzej. Miałam być tylko fajną dupą, która popija koniaczek i przygląda się, jak faceci grają w bilard. Koniaczek był prawdziwy, a dubli dużo. Zbombardowałam się niewiarygodnie. Na szczęście „zgięło” mnie dopiero, jak wyszłam na ulicę. Musiałam się trzymać słupa, żeby nie upaść. Okazało się, że zagrałam w reklamie tokarek, na których powstały kule bilardowe. Moja reklama trafiła, niestety, do kin. Do dziś pamiętam kumpli z liceum wychodzących z seansu i pozginanych wpół ze śmiechu.

Trafiłaś kiedyś na fotografów-zboczeńców?

Ze dwa razy się zdarzyło. Jeden kazał mi się położyć, zamknąć oczy i się nie ruszać. Facet zajmował się głównie rozwieraniem moich ud i „ustawianiem cienia”. Miałam to gdzieś, stukał mi licznik i tylko o tym myślałam. A niech se popatrzy i fotografuje, co mi tam. Twarzy nie widać (śmiech).

Na co wydawałaś licznikowe kwoty?

Jak każda baba – na pierdoły, odjechane ciuszki i oczywiście płyty, które kupowałam w Peweksie. Do dziś mam wszystkie winyle Strangersów i Xmal Deutschland.



Zarabiałaś kiedyś w wyuczonym zawodzie zootechnika?

Nigdy, ale trochę popracowałam na praktykach. Doiłam krowy, wyrzucałam gnój, odbierałam owcze porody, zajmowałam się kiszonką. Krótko mówiąc, byłam najprostszym robotnikiem rolnym. Także w polu. Przede wszystkim jednak chciałam być naukowcem. Tylko dlatego poszłam na SGGW. Mój plan był niezwykle prosty: hodowla koni. Docelowo miałam być genetykiem.

Grzebanie w komputerach to moja wielka pasja. Często chodziłam z różnymi problemami do zaprzyjaźnionego serwisu. Chłopaki szybko się zorientowali, jak dużo umiem, i zaproponowali mi pracę.

Badającym wilki kanadyjskie?

Z nimi akurat pracowałam przy okazji pracy magisterskiej o hodowli dzikich zwierząt w niewoli. Siedziałam na dużym wybiegu w warszawskim zoo, obserwowałam je, głaskałam basiora i robiłam notatki. I to nie ja się bałam wilków, tylko one mnie.

Jak dorabiałaś na studiach?

Głównie siedziałam na centralach telefonicznych i przełączałam kabelki. Najlepiej zapamiętałam wielką centralę w GUS-ie. Niestety, nie miałam czasu na podsłuchiwanie rozmów, a na pewno były ciekawe. Cały czas łączyłam i pstrykałam, a jak już byłam w domu, to odbierałam telefon, mówiąc: „GUS, słucham”. Poza tym w ramach Studenckich Hufców Pracy zamiatałam ulice, sprzątałam u ludzi w mieszkaniach, a nawet byłam chłopcem na posyłki w pewnej firmie.

Dlaczego, gdy już byłeś u szczytu sławy, podjęłaś pracę w sekstelefonie?

Pewnego dnia przybiega do mnie koleżanka i wrzeszczy: „Anka, ale robotę podłapałam! Można skonać ze śmiechu”. I zaczyna opowiadać o sekstelefonie. Cholernie mi się to spodobało. Tylko dlatego się zatrudniłam (śmiech). Na początku trochę mnie to kręciło, potem było śmiesznie, ale po pewnym czasie zaczęło tylko irytować. Byłam zmęczona i wypalona, a nie napałona. Nie mogłam już być uroklwym, dość głupim dodatkiem do narządu. Ale pamiętam, że zarabiał się tam całkiem spoko pieniądze.

Kto dzwonił?

Różni. Ale głównie młodzi chłopcy, którzy robili to dla jaj. Klasyczni koniobijcy nie zajmowali zaszczytnego pierwszego miejsca. Byli drudzy. Na trzecim miejscu plasowały się ekipy remontowe dzwoniące z cudzych mieszkań. Nie chciałabym być w skórze właścicieli, kiedy po remoncie odbierali rachunek telefoniczny.

Gdzie była twoja sekscentrala?

W jednym z biurów w centrum Warszawy. Wytrzymałam tam niecałe dwa miesiące. Miałam nawet ze trzech wiernych fanów. Byłam dla nich Dianą. Ogólnie powyglupiałam się, nauczyłam się niezłej gadki, którą potem wykorzystywałam w życiu osobistym, i tyle. Byłam na to za uczciwa. Dlatego tak szybko się wypaliłam. Mimo że codziennie były superjaja, rzuciłam tę robotę w cholerę.

A jakie były jaja w radzie dzielnicy Ochota?

Byłam radną tylko przez półtora roku. Załapałam się na skróconą kadencję samorządową 1998–2000. I bardzo dobrze, bo pełnej bym nie wytrzymała. Tam w ogóle nie było jaj. Nie dość, że nuda, to jeszcze bardzo niewielki wpływ na rzeczywiste decyzje. Dość szybko zrozumiałam, że polityka nawet na najniższym szczeblu wyklucza wszelką

działalność artystyczną. Totalnie podciął skrzydła i tłamsi wyobraźnię.

W przeciwieństwie do kariery serwisantki komputerowej?

Dostałam się tam przypadkiem, ale grzebanie w komputerach to moja wielka pasja. Często chodziłam z różnymi problemami do zaprzyjaźnionego serwisu. Chłopaki szybko się zorientowali, jak dużo umiem, i zaproponowali mi pracę. Zgodziłam się. Następnego dnia już pracowałam.

Co na to mąż?

To informatyk z wykształcenia, z którym nie można pogadać o kompach. On z kolei narzeka, że ze mną nie da się gadać o muzie. Nie był zachwycony, szczególnie kiedy zostawałam po godzinach.

Ta robota tak mnie wciągnęła, że rzuciłam muzykę. Chłopaki z zespołu myśleli,

że robię ich w konia. Ale z czasem już im nie było do śmiechu. Po 10 miesiącach wyciągnęli mnie stamtąd siłą. Płyta „Graphite” była moim komputerowym detoksem.

Kiedy zarobiłaś najwięcej?

To piękna historia. Przychodzę kiedyś do ZAiKS-u, niedługo po ukazaniu się nowej płyty. Pani mówi: „Jest niezłe. 28 tysięcy”. Zrozumiałam jednak, że dwa osiemset, i mówię: „Nie najgorzej, ale spodziewałam się trochę więcej”. Popatrzyła na mnie takim wzrokiem, że mnie wcięło. Okazało się, że ta suma była wyrównaniem za emisję dysków w stacjach telewizyjnych. Kupiłam za nią matiza. Do tej pory nim jeżdżę.

A gdzie zarobiłaś najwięcej poza sceną muzyczną?

Znowu musicie napisać o moich rozbiętych zdjęciach... Ale od razu uprzedzam, że nie ma ich co szukać. Nawet ja ich nie znalazłam. Może szkoda?

Bartosia & Klinke – Wywiadowcy.pl

ANJA ORTHODOX

rocznik 1964. Wokalistka zespołu Closterkeller, didżejka, autorka tekstów, felietonistka, jurorka konkursów muzycznych. Ma na koncie współpracę z wieloma rodzinnymi artystami, m.in. Voo Voo, Iry i Kobranocką.

MARCIN DAWIDOWSKI/FORUM

KUBA DĄBROWSKI

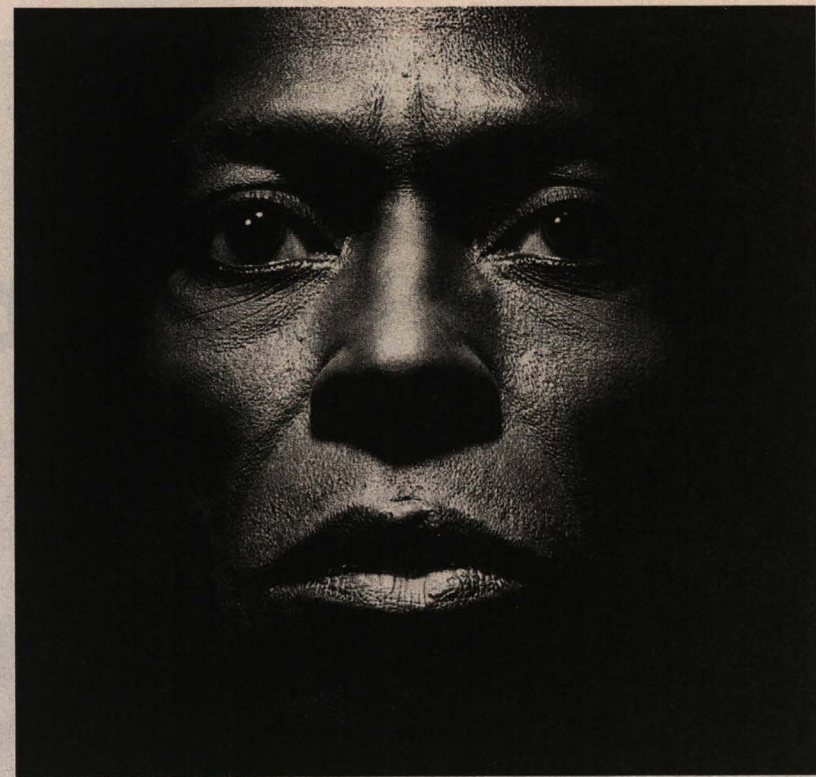
Wiśnie kwitną w Wielkim Jabłku

Zakorzeniona we wschodniej tradycji ikona czarnej amerykańskiej muzyki.

Nowy Jork, rok 1986. Eiko Ishioka ma 48 lat, przyjechała do Ameryki z Japonii. Jest dyrektorem artystycznym i grafikiem. W rodzinnym Tokio zrobiła gigantyczną karierę. Jako pierwszej kobiecie w historii kraju, na początku lat 70., udało jej się przebić do designerskiej czołówki. Pracowała dla kosmetycznego giganta Shiseido i ekskluzywnego domu towarowego Parco. Jej znakiem rozpoznawczym było łączenie japońskiej skromności i ascezy z wpływami kultur Zachodu, Afryki i innych części Azji, gra erotyką oraz pozbawiona teatralnej umowności ekspresja. W reklamach dla Parco w ogóle nie pokazywała produktów. Zachód poznał ją dzięki fantastycznym dekoracjom i kostiumom do filmu „Mishima” Paula Schradera o japońskim pisarzu Yukio Mishimie, za które dostała nagrodę w Cannes. Laur otworzył wiele nowych drzwi; Ishioka postanowiła skorzystać z okazji i spróbować sił w Nowym Jorku. Z jednej strony przyjeżdża tam jako gwiazda swojej dziedziny, z drugiej – znając ją tylko najwięksi branżowi eksperci.

Kuba Dąbrowski

co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książek i płyt, logotypach.



Amerykańscy klienci nie są niestępi tak wyrobieni jak Japończycy i nie do końca są gotowi na abstrakcyjne pomysły Ishioki. Pierwszą pracą, przy której projektantka naprawdę może się wykazać, jest zlecona przez wytwórnię Warner okładka nowej płyty Milesa Davisa – nagranej w hołdzie dla południowoafrykańskiego pastora Desmond Tutu. Ishioka wie, że w Ameryce oczekuje się od niej japońskiej wrażliwości i że tą właśnie kartą powinna grać, jeżeli chce się odróżnić od projektanckiej masy i odnieść w Stanach prawdziwy sukces. Dostaje do zilustrowania płytę w jednym z rdzeni amerykańskich gatunków muzycznych, w dodatku nagranych przez jego absolutną legendę. Projektantka dochodzi do wniosku, że powinna zrobić to, w czym specjalizowała się w Japonii, ale w drugą stronę. Ascetyczną, teatralną japońską estetykę zaaplikować do stricto amerykańskiego produktu. Chce, żeby na okładce znalazły się możliwie najprostsze zdjęcia, bez żadnej typografii i stylizacji, sfotografowane mają być jedynie „narzędzia pracy”

trębacza – twarz i dłonie. Do współpracy Ishioka zaprasza legendę fotografii portretowej – Irvinga Penna, który wcześniej pracował m.in. z Isseyem Miyake i doskonale się odnajduje w japońskiej ascezie. Podczas sesji Penn każe muzykowi zdjąć błyszczącą koszulę i wszystkie złote łańcuchy. Davis nie do końca rozumie dlaczego, twierdzi, że to nie ma sensu. W miarę robienia zdjęć zaczyna jednak wczuwać się w ascetyczną ideę. Po sesji zadowolony całuje fotografa w usta.

Powstaje ikoniczna okładka, za projekt której Ishioka dostaje nagrodę Grammy. Amerykańska kariera projektantki nabiera zawrotnego tempa. Eiko Ishioka ustawia się na pozycji osoby, która para się wszystkim, co kreatywne. Zajmuje się całą gamą projektów – od plakatów przez teledyski po kostiumy filmowe. Tworzy wizje i umiejętnie dobiera ich technicznych wykonawców. Współpracuje między innymi z Björk i Francisem Fordem Coppolą, za kostiumy do jego „Draculi” dostaje Oscara. W 2012 r. umiera na raka.

ANNA ZIELIŃSKA

Niezbędnik detoksu cyfrowego

W czasie kompletowania dla was tego **miniprzewodnika** odkryliśmy niszę. Odpoczynek od mediów został okrzyknięty przez Randi Zuckerberga, byłą szefową marketingu Facebooka, jednym z 10 najważniejszych trendów przyszłości. Mimo to nie dorobił się jeszcze narzędzi pomocniczych.



1



2



3



4



Przykładowo w kategorii „nakrycia głowy blokujące sygnał Wi-Fi” znaleźliśmy wyłącznie domowe roboty berety z folii aluminiowej. Spodziewaliśmy się również bogatego asortymentu pojemników maskujących dla laptopów i komputerów stacjonarnych. Tymczasem poza klasycznym rękawem i koronkową serwetką babci Jadzi dotkliwie brakuje faktycznego kamuflażu mogącego przekonać nas samych, że komputer bardziej się nadaje do dekoracji wnętrza niż do połykania całej naszej uwagi i czasu wolnego. Wzywamy więc projektantów z pięknego kraju nad Wisłą, mieszkańców zielonych pól Europy i obywateli ostatniej nadziei dla cyfrowych cyborgów z Zachodu, by ruszyli do boju! W Kalifornii już funkcjonuje Camp Grounded, gdzie dorośli mogą odbyć retrokolonie odcięci od mediów i urządzeń przenośnych, więc czasu na zagospodarowanie tej cennej niszy mamy niewiele. Łaknących natychmiastowej odtrutki bez opuszczania granic kraju proponujemy skromny zestaw pomocniczy.

1 Udawaj przed dziećmi

W końcu nasze pociechy uparcie nas naśladować, zamiast słuchać naszych mądrych rad. Jeśli więc nie potrafimy lub nie możemy się odłączyć, wysyłamy do ich podświadomości inny obraz tego, czym najchętniej zajmują się dorośli.

2 Jeden pokój z netem

Farba i tapeta blokujące Wi-Fi mają za zadanie pomóc nieporadnym posiadaczom prywatnych sieci bezprzewodowych ograniczyć kradzież przepustowości przez sąsiadów. Można jednak użyć tych

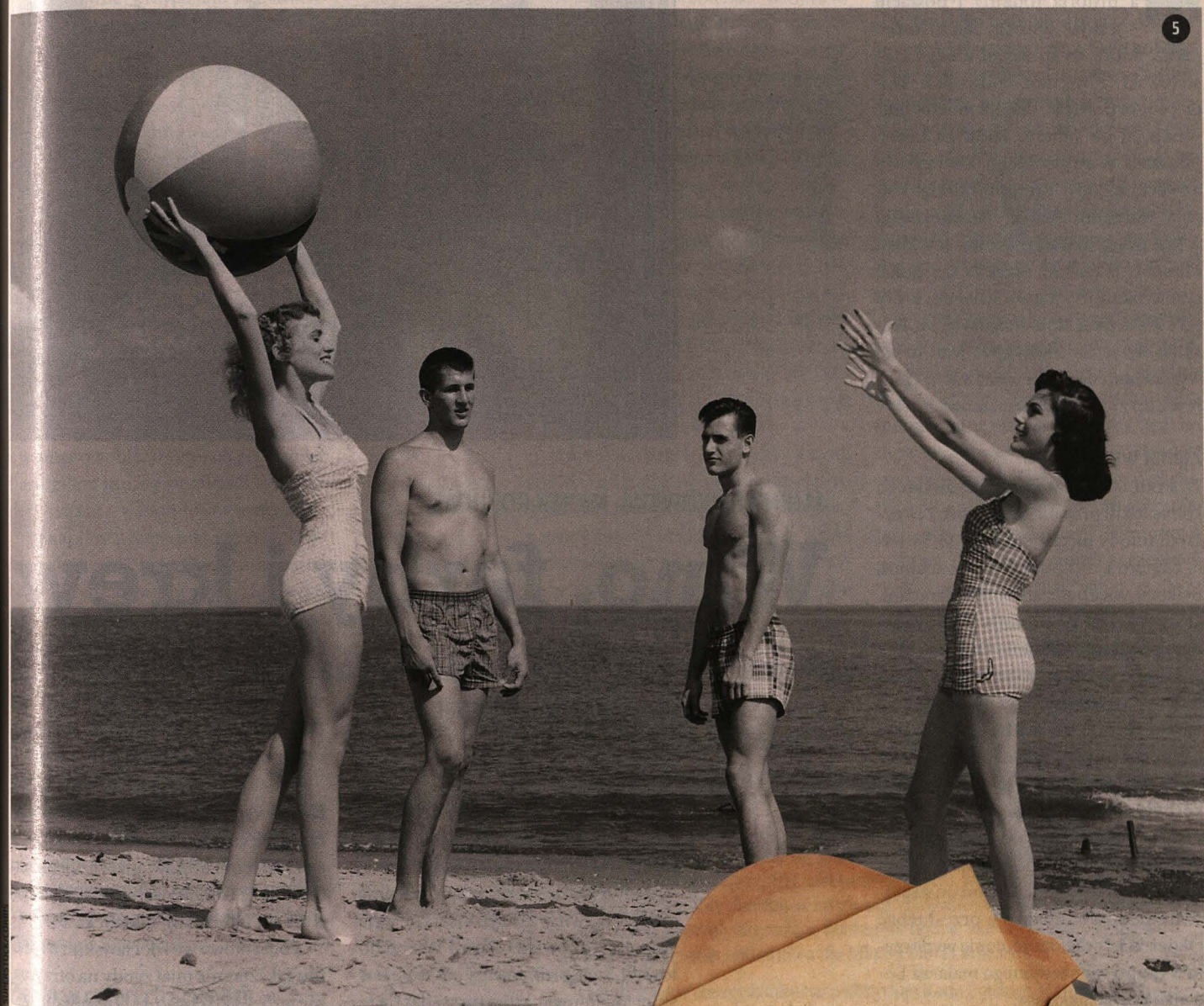
cacek przewrotnie – by zamknąć domowy dostęp do Internetu w jednym pomieszczeniu. W ten sposób tablet w toalecie i „lajkowanie” w łóżku przestaną nas kusić.

3 Czas to wolność

Psychologowie radzą, by ograniczać, zamiast odstawiać. Realisci wiedzą, że to bardziej prawdopodobne niż całkowita abstynencja od netu. Proponujemy więc gustowną klepsydrę do odmierzania czasu, który zaplanujesz sobie na udzielanie się towarzysko lub bezproduktywnie w sieci. Kiedy herbata w całości spłynie do dolnej komory, odłącz się. To znaczy, że naszedł czas na relaks z ulubionym naparem poza szumem informacyjnym.

4 Uwieszone komórki dla trudnych przypadków

Nie każdy silną wolę ma. Ale każda rodzina zwykle posiada w swych szeregach osobę z mocą sprawczą, więc niech ona zarządza kłatką. Przed obiadem wszy-



5

6

scy karnie odkładają do niej telefony. Sprawcza lub sprawczy trzyma klucz. Po obiedzie – a najlepiej po zmywaniu – komórki odzyskują wolność.

5 Mokra kryjówka

Choć z tabletem lub telefonem można już funkcjonować prawie wszędzie, jest jeden wyjątek. Skoro nasz sprzęcik ze swej natury lubi pływać o wiele mniej niż my, a seksowne kąpielówki (tak, męskie też) kieszeni na smartfony nie mają, uciekajmy przed technologią i informacją do wody.

6 List zamiast mejla

Każdy listonosz wam powie, że dawno, dawno temu ludzie do siebie pisali. Mieli charakter pisma. Zнали pracowników lokalnej poczty. Choć nasze małe śledztwo ujawniło, że papeterię produkuje się teraz niemal wyłącznie na potrzeby zaproszeń ślubnych, to koperty, zwykły papier i znaczki są wciąż w obiegu. Pokażmy dzieciom oraz wnukom, co można z nimi zrobić.

Ta historia rodziny i postacie – jest jak wstrząs. Jak historia, którą wykorzystał kiedyś Dostojewski... Być może powstanie kiedyś o tym powieść, dramat, może film” – napisał po śmierci Ludwika Lecha Jaksztasa w swym blogu Mieczysław Szweczek, który od ponad 20 lat kieruje Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Radomiu. To w tej placówce jest kilka obrazów Jaksztasa, malarza samouka, rysownika i ilustratora książek, który od 1979 r. był członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków. Jego prace wystawiano na wielu wystawach. Trafiły też do zbioru kilku muzeów.

Zginął we śnie

W środę 20 marca do mokatowskiego komisariatu przy ul. Wita Stwosza przyszedł młody mężczyzna. Był to 34-letni Olgierd J. – Zabiłem ojca – oznajmił. Bełkotał, więc policjanci użyli alkomatu, który wykazał 2,5 promila w wydychanym powietrzu. Ubranie Olgierda było poplamione krwią. Policjanci pojechali do domu mężczyzny. W wieżowcu na osiedlu Służew nad Dolinką znaleźli w pokoju leżące na kanapie zmasakrowane zwłoki mężczyzny. Wszędzie wokół była krew. – Zbryzgane było dosłownie wszystko. Ściany, podłoga, kanapa, obrazy – wspomina policjant, który był na miejscu. Dopiero dwa dni po zabójstwie śledczym udało się przesłuchać Olgierda J. i odtworzyć, co się wydarzyło w domu warszawskiego malarza Ludwika Lecha Jaksztasa.

Był środek dnia, 63-letni Jaksztas spał na kanapie w salonie. Jego syn Olgierd wyszedł do sklepu. Kupił wino. Wypił całą butelkę, a potem ściągnął ze ściany w kuchni jeden z tasaków i zaczął uderzać nim śpiącego ojca. Choć był drobnej postury, ciosy miał potężne. – Jakby dostał jakiejś nowej, niemal magicznej siły – opowiadał jeden z policjantów. Głowa ofiary pękła niczym orzech.

W czasie oględzin zwłok lekarz doliczył się kilkudziesięciu ciosów zadanych ofierze. – Tym tasakiem waliłem tak długo, aż ojciec przestał się ruszać – opowiadał Olgierd J. podczas przesłuchania. Przez kilka godzin ojciec



JANINA BLIKOWSKA, MAREK KOZUBAL

Wino, farby i krew

Najpierw sam pod wpływem alkoholu o mało nie spalił żony, po latach jego pijany syn **zamordował go**, gdy spał.

ca składał wyjaśnienia. – Raz był spokojny, innym razem zaczynał się śmiać. Nie wykazał skruchy – wspominają śledczy. – Kiedy usłyszał zarzut zabójstwa, przyznał się do winy. Złożył obszernie wyjaśnienia – opowiada Paweł Wierzchołowski, szef prokuratury na warszawskim Mokotowie, która prowadzi śledztwo w sprawie zbrodni. Został aresztowany na trzy miesiące. Potem ten areszt już dwukrotnie przedłużano.

Siedział i tworzył

W 1999 r. Ludwik Jaksztas został skazany na pięć lat więzienia za spowodowanie ciężkich obrażeń ciała u żony. Podpalił ją w czasie wizji artystycznej. Był wtedy pod wpływem alkoholu. W grudniu 1999 r. malarz trafił do warszawskiego więzienia, potem był w zakładzie karnym we Włocławku. – Gdy go tylko do nas przywieziono, budził zainteresowanie wśród więźniów. Niski, szczupły, z długimi włosami i brodą. Do tego artysta ze swoimi tec-

kami – wspomina Ryszard Seroczyński, rzecznik więzienia we Włocławku, który 13 lat temu odpowiadał za więzienną bibliotekę i opiekował się Więziennym Klubem Literackim Bartnicka 10.

Początkowo we włocławskim więzieniu Jaksztas nie miał zgody na otrzymywanie farb. – Wiadomo, to chemikalia. Zaczął więc rysować długopisem. Bardzo mu się to spodobało. Rysował w taki sposób nawet później, gdy te farby już miał – opowiada Seroczyński. Artysta sporo malował w więzieniu. Miał nawet wystawę, na którą przyjechali jego żona i obaj synowie. Podczas jej otwarcia w 2002 r. żona malarza powiedziała dziennikarzowi: „Są prawdziwi bandyci i chodzą na wolności, a mój mąż siedzi przez głupi wybryk w stanie upojenia. Nigdy nie miałam do niego pretensji. On nie chciał mnie skrzywdzić”.

Więzienny Klub Literacki wydał książki z twórczością więźniów. Do trzech („Exodus”, „Katharsis” oraz

„Ryszard i (nie) przyjaciele”) ilustracje oraz okładki stworzył Jaksztas. W jednej z nich swoje utwory opublikował inny znany więzień z Włocławka – Sławomir Sikora, który wraz ze swoim dłużnikiem Arturem Brylińskim dopuścił się podwójnego morderstwa na przestępcach, którzy poprzez zastraszanie chcieli odzyskać swoje pieniądze. Na kanwie tej historii powstał głośny film Krzysztofa Krauzego „Dług”. – W książce „Ryszard i (nie) przyjaciele” znalazły się utwory więźniów oraz pracowników zakładu. To pierwsze takie wydawnictwo w Polsce – zauważa Ryszard Seroczyński. – To dzięki mnie Ludwik zaczął pisać. Miał potrzebę wygadania się, opowiadania o sobie, o tym, co się dzieje. Doradziłem mu, by przelewał te historie na papier – wspomina Seroczyński.

W kaplicy więziennej we Włocławku do dziś wisi obraz Chrystusa Frasobliwego namalowany przez Ludwika Jaksztasa. – Kapelan długo musiał go do tego namawiać. On tłumaczył, że nie jest kopistą. Wtedy ksiądz dodał, że może zmienić tło i przy nim się wykaże – wspomina Seroczyński. Po dwóch latach we Włocławku Jaksztasa przewieziono do więzienia w Radomiu. „Był tu znany. Utrzymywał kontakty ze środowiskiem radomskich plastyków – i w radomskim więzieniu odsiedział część pięcioletniego wyroku za podpalenie żony” – wspomina w swym blogu Mieczysław Szweczek.

Piekło w czterech ścianach

W marcu, gdy malarz został zamordowany, jego obrazy można było zobaczyć na wielkiej wystawie „Treści i forma w sztuce współczesnej” radomskiego muzeum. – Te dwa obrazy, powieszone na wprost wejścia, między dziełami wybitnych malarzy, Wojciecha Fangora i Jacka Rykały, jak zawsze zwracają uwagę. Portret żony i autoportret na tle widoku z okna mieszkania w Warszawie, na Służewie. Za oknem ogromny teren błota, a za nim szereg wieżowców, blokowisko. To najlepsze jego obrazy w zestawie, z lat 1985 i 1987. Hiperrealistyczne, zwracają uwagę perfekcją. Mamy wrażenie prawdziwości ludzi i otaczającym świecie. Jest

w nich siła, są jak uderzenie – stwierdził Mieczysław Szweczek. Przypomina, że Jaksztas dążył do perfekcji. – I to osiągnął. W publikowanych tekstach, które można przeczytać w Internecie, prozie, notatkach z życia, wierszach też był perfekcyjny. Są lapidarne, autor był świadomy, czym jest każde słowo – dodaje kierownik radomskiego muzeum. Zastanawia się też, dlaczego malarz został zamordowany. – Alkohol, wciąż alkohol, w tekstach, w relacjach świadków, przyjaciół. W tekstach miał odwagę pisać o alkoholu wprost, żadnej próby kamuflażu. Wręcz manifestacja. Sąsiedzi współczują tylko synowi. Rozumieją, że dłużej nie mógł wytrzymać – uważa Szweczek.

Odpowiedzi na pytanie o przyczynę zbrodni od pięciu miesięcy szuka prokuratura. Przesłuchała podejrzanego o zabójstwo drugiego syna pary, a także sąsiadów. Ci wspominali o przemocy w domu małżeństwa, która trwała

przez wiele lat. – Nieraz Lech (bo używał drugiego imienia – przyp. red.) pijany wyzywał żonę i syna, tłukł kobietę. Nieraz słyszał było, jak uderzał jej głową o ścianę – opowiadali mieszkańcy służewieckiego wysokościewca. O samym Ludwiku Jaksztasie mówią, że raczej z nimi nie rozmawiał, nikomu się nie kłaniał. – A syn Olgierd wstydził się za niego, chodził ze spuszczoną głową. Ten chłopak od dzieciństwa musiał przeżywać piekło – uważają sąsiedzi.

Olgierd J. jest na obserwacji psychiatrycznej, która w ubiegłym tygodniu, na prośbę biegłych, została przedłużona o kolejne cztery tygodnie. – Gdy otrzymamy opinię psychiatrów, będziemy kończyć postępowanie. Jeśli lekarze stwierdzą, że podejrzanym był poczytalny, wyślemy do sądu akt oskarżenia, jeśli nie, sprawa zostanie umorzona – mówi Dariusz Ślepokura, rzecznik stołecznej prokuratury.

REKLAMA

Nagroda dla młodych, dynamicznych polskich marek



„Rzeczpospolita” zaprasza firmy do udziału w III edycji konkursu Młoda Marka Sukcesu. Jego celem jest promocja firm, które w ciągu ostatnich ośmiu lat potrafiły zbudować i rozwinąć dynamiczne, podziwiane rodzime marki. Główną nagrodą w konkursie będzie warta czterysta tysięcy złotych kampania reklamowa dla Młodej Marki Sukcesu.

O wyborze zwycięzcy konkursu zadecyduje Rada Polskich Marek składająca się z szefów wielkich, renomowanych polskich firm. Na jej czele stoi **Zbigniew Jagiello**, prezes PKO Banku Polskiego, fundator nagrody.

W konkursie Młoda Marka Sukcesu mogą startować marki konsumenckie utworzone specjalnie na polski rynek, które zadebiutowały na polskim rynku po 1 stycznia 2005 roku.

Spśród marek biorących udział w konkursie Rada Polskich Marek wybierze Młodą Markę Sukcesu, biorąc pod uwagę m.in. jej rozpoznawalność oraz jej efektywność i dynamikę rozwoju.

Formularz zgłoszenia do konkursu i jego zasady można znaleźć na www.rp.pl/markasukcesu. Czekaemy na zgłoszenia do 15 października.

Organizator

RZECZPOSPOLITA

Partner główny
Fundator nagrody



Bank Polski

FRANCISZEK BARWIŃSKI

Za wolność naszą i naszą

To coś pomiędzy obrożą i dłonią. **Parciane, skórzane, z łańcuszkiem.** Kosztują grosze w porównaniu na przykład z przeznaczoną dla psów kanapowych tiarą za ponad 4 mln dolarów (serio, ktoś to kupuje).

Psiarze szczególnie upodobili sobie smycze regulowane i automatyczne. Właściciele czworonogów, którzy chcą podkreślić, że ich pupila od zapchlonego kundla wioskowego dzieli przepaść, mogą wybrać *canine couture*. Tak, tak, psie *haute couture*. Domy mody, m.in. Louis Vuitton, Versace i Bottega Veneta, oferują mnóstwo akcesoriów dla szlachetnie urodzonych przedstawicieli gatunku *Canis lupus familiaris*. Szczególnie polecamy smycz firmy Bottega Veneta za jedyne 470 dolarów (ok. 1500 zł przy obecnym kursie). Za Vuittona trzeba zapłacić za ledwie 300 dol., a Burberry życzy sobie nędzne 170. Chętnych zapraszamy do wybranych salonów na terenie Unii Europejskiej lub do najbliższego sklepu internetowego. Mniej wybrednych psiarzy uprasza się o wizytę w osiedlowym sklepiu dla zwierząt.

No właśnie – czy zauważyli państwo, że jest już ich niemal tyle co budek z kebabami, a na pewno więcej niż sex shopów? A propos, gdyby państwu w środku nocy zapadziało się smycz, proszę walić jak w dym do sklepu dla dorosłych. Sex shopy mają tę przewagę nad sklepami dla zwierząt, że są przeważnie otwarte dłużej, niektóre nawet 24 godziny na dobę. W salonie erotycznym z całą pewnością kupią pań-



Franciszek Barwiński zajmuje się zwykłymi rzeczami. Píše o ich historii, twórcach i użytkownikach.

stwo nie tylko smycz, ale też obrożę oraz moc silikonowych akcesoriów, które z powodzeniem mogą posłużyć jako gryzaki dla psów.

I to by było na tyle, proszę państwa, jeśli idzie o smycz. Smycz jako przedmiot. Bardzo nas bowiem pociąga smycz... Bez obaw, nie dosłownie, nie zamierzamy obrażać niczych uczuć religijnych ani też pozostałych uczuć, za obrażenie których nie grozi kara pozbawienia wolności do lat dwóch. Ujmijmy to więc bezpiecznie: bardziej nas bowiem interesuje smycz w sensie metaforycznym. Nawet uczestnicy konkursów audiotek doskonale wiedzą, że związek frazeologiczny „być krótko utrzymanym na smyczy” oznacza „być jak nieszczęśliwy miejski czworonóg”. Nie aż tak nieszczęśliwy jak wiejski pies łańcuchowy, bo przecież większość z nas nie siedzi przykuta do ściany w lochach Bastylii, ale i niecierpiący się pełni wolności, jak na przykład wilk (*Canis lupus*) w parku Yellowstone.

Jest spora, ale przecież nie dominująca grupa ludzi, którym uległość daje satysfakcję. Jednak większość z nas ponad podporządkowanie przedkłada wolność. Wielu z nas, dojrzałych czytelników „Przekroju”, na własnej skórze się przekonało, jak to jest, gdy

komuna chce trzymać obywateli krótko na smyczy. I to właśnie my, pokolenie, dla którego przeznaczone są kremy przeciwzmarszczkowe z etykietą 40+, najdoniśniej domagamy się wolności. Najchętniej niczym nieskrępowanej. Musicie zrozumieć, drogie szczeniaki, że chcemy się czuć jak wilki. Nie dotarło? Nic dziwnego, przecież większość z was nie potrafi czytać ze zrozumieniem („Dawniej to były szkoły...”). W ogóle już nie czytacie, bo zamiast czytać, oglądacie vlogi („Kiedyś po książkę stało się w kolejkach...”). Ukłonimy się więc w waszą stronę i wytłumaczymy najprościej, jak się da. Tylko, na miłość boską, nie pytajcie, siorbiąc kawę z papierowe-

go kubka: „Hełoł, to gdzie jest link do twojego wideo, dziadu?!”. Aż tak łatwo nie będzie.

Kochamy wolność, ale nie lubimy się nią dzielić, sorry. Zwłaszcza na naszym podwórku. Wreszcie coś jest nasze! I o to nasze będziemy walczyć do upadłego. Na naszej działce możemy sobie postawić pałac z tuzinem wieżyczek. Nasz sklep oblepiemy walącymi po oczach bannerami według projektu siostrzenicy, która dostała na zakończenie zerówki wyróżnienie z plastyki. Nasze osiedle ogrodzimy, żeby nam się nie panoszył pod oknami niepożądany element.

Drogi są nasze, więc będziemy jeździć po nich, jak nam się podoba. Podoba nam się nasz styl jazdy, bo jesteśmy najlepszymi kierowcami, ale nie podoba nam się wiele rzeczy, zwłaszcza w naszym mieście. Po pierwsze, psiarze. Psiarze na wieś. Miasto to nie miejsce dla psów. Wprowadzić taki podatek, żeby problem sam się rozwiązał. Po drugie, bachory. Najpierw drą się wniebogłosy, bo mają kolki albo ADHD (za naszych czasów były urwisy, które się łało pasem), a jak podrosną, jeżdżą pod blokiem na deskorolkach. A przecież jest zakaz. Po trzecie, stare baby, które dokarmiają szczające po piwnicach koty i paskudzące maski naszych samochodów gołębie. Po czwarte, roweżyści. Precz z chodników. Chodnik jest dla pieszych. Precz z ulicy. Ulica dla nas, kierowców. Po piąte, przyjezdni. Słoiki do siebie. Stolica jest dla warszawiaków. Po szóste, klubokawiarnie i knajpy za miasto. Chcemy móc poodpoczywać po ciężkim dniu walki o wolność. Po tysiąc pięćset dwudzieste czwarte... Capisci? To nasze główne postulaty. Podpisano: dzielni weterani. Ci sami, którzy to was nazywają pokoleniem roszczeniowych półgłówków.

Surfując na fali wspomnień, sięgamy pamięcią do końcówki lat 80. ubiegłego wieku, gdy dogorywał już stary dobry punk rock. Przypominamy sobie z rozrzewnieniem słowa szlagieru „Prawdziwe oblicze szatana” grupy Sexbomba: „Ja wiem,



ty wiesz. Każdy trochę jest Hitlerem, chociaż mówi nie”. Ani hipsterem, ani robiącym ostatnio furorę w sieci kitlerem. Hitlerem. To, rzecz jasna, czysta prowokacja i całkowita bzdura. Nikt przecież nie chce nikogo likwidować. Nie dzielimy nas na prawdziwych Polaków i zaprzańców. Nie uważamy, że każdy chłopiec w przykrótkich rurkach i z kołczykiem w uchu to pederasta, a każdy pederasta to pedofil. Od wieków chlubimy się to-

lerancją i naszą wyjątkowością, polską gościnnością. Znajdzie u nas miejsce i Czeczen w Białymstoku, i posłanka Grodzka w sejmowej ławie. Zastanówcie się jednak, fanboje Apple'a wyciągający od nas kasę na fritz-kolę i szkiełka Mykity, komu to wszystko zawdzięczacie. Może zrozumiecie wtedy, dlaczego jesteśmy tak pod... dennerwowani. Ze gdy ktoś zajedzie nam drogę, musimy otworzyć okno i serdecznie pouczyć, najczęściej słowami: „Jak jeździsz, kurwo pierdolona!”.

Choć czasami poniosą nas nerwy i musimy zwrócić się nieco dosadniej. Pomyślcie, a zrozumiecie, że jest nam po ludzku przykro, jeśli choć raz dziennie nie przywołamy kogoś do porządku. Ale nikt tu niktogo nie zamierza trzymać na smyczy. Chyba że psy. A te agresywne dodatkowo w kagańcu. Nie no, sorry, przecież każdy pies jest potencjalnie agresywny. Nie mówiąc o rodowitych pyrusach, krakusach i tych z Zagłębia. Natomiast co do słoików... najbardziej lubimy te, jak im tam, weki!

Hubert Kropielnicki

Pod prąd



BMW jesienią rozpoczyna sprzedaż elektrycznego auta miejskiego, które ma na nowo otworzyć historię motoryzacji.

Wielka chwila wymaga wielkich słów. I słowa te padły równo dwa tygodnie temu, gdy dr Norbert Reithofer, prezes zarządu BMW, prezentował auto o nazwie i3 na uroczystym pokazie, który dzięki Internetowi odbył się równocześnie w Nowym Jorku, Londynie i Pekinie. „Rewolucyjne wynalazki mogą odmienić społeczeństwo”, oświadczył zamiast wstępu, gdy auto, zaparkowane obok niego na obrotowej scenie, ukryte było jeszcze pod opalizującą, jedwabistą plandeką. „Oto stoimy w blokach star-

towych, u progu ery zrównoważonego transportu miejskiego”, ciągnął, „która dzięki i3 wreszcie stanie się faktem”. Podobnie jak telefon komórkowy zrewolucjonizował komunikację między ludźmi, tak egzystencja miast zmieni się dzięki bmw i3, albowiem najbardziej doniosłe zmiany następują czasem „dzięki rzeczom małym”.

Rekin czy rekiniątko?

Typowym ucieleśnieniem beemki jest wóz przynajmniej średniej wielkości, gdy i3 to rzecz bardziej w rozmiarze

kompaktowym, jak np. toyota auris. Samochód ma cztery miejsca i czworo drzwi, z których przednie są duże i otwierają się w tradycyjny sposób, do przodu, natomiast druga para jest krótsza i otwierana do tyłu – jak w niektórych oldtimerach lub w sportowej maździe RX-8. „Zakładkowa” konstrukcja sprawia, że tylnych drzwi nie można otworzyć bez wcześniejszego otwarcia przednich, więc ewentualne dziecko na tylnej kanapie będzie doskonale zabezpieczone. Ponadto auto pozbawione jest środkowego słupka, dzięki czemu nawet dorosły hipster z yerba mate w garści z łatwością wskoczy do środka, o nie nie zaczepi butelką i nie zapaskudzi tapicerki.

O ile jednak na przednich siedzeniach komfortowo poczuje się każdy człowiek do dwóch metrów wzrostu, o tyle z tyłu niekoniecznie. Jeżeli więc odłożymy na bok marzenia o rodzinnej bagażówce, to polecalibyśmy auto raczej parom z piskiem albo najskromniejszym, trzyosobowym związku poliamorycznym.

Wnętrze samochodu wyróżnia subtelna, lekka konstrukcja siedzeń, wymuszona energetycznymi ograniczeniami napędu. Ładowanie akumulatorów z gniazdka trwa ok. ośmiu godzin, a zasięg na pełnym naładowaniu wynosi najwyżej 180 km, więc ważny jest każdy kilogram. Ale nawet lekkie włókno węglowe, które posłużyło jako

BMW i3 to pierwszy pojazd z serii „i”, łączącej radość z jazdy i ekologię.

budulec nadwozia, nie czyni z bmw i3 motylka. W wersji elektrycznej samochód waży ok. 1200 kg; wersja z dodatkowym małym silnikiem spalinowym, który zwiększa zasięg auta do 300 km, waży ponad 1300 kg. Dla porównania – to prawie dwa razy tyle, ile ważył pierwszy golf, produkowany w latach 70. XX wieku. I fani marki mają prawo do niepokoju: czy TO będzie śmigać po zakrętach tak jak normalne, rasowe bmw? Na dużych i efektownych, ale wąskich ekooponach?

Odpowiedź brzmi – jest dobrze. Wprawdzie maksymalna prędkość wynosi ok. 150 km/h, ale jeśli chodzi o dynamikę, i3 nie ma się czego wstydzić. Auto zapina setkę w trochę ponad 7 sekund, co należy uznać za dobry wynik wśród wielkoseryjnych ekosamochodów. Porównywalny w sensie użytkowym nissan leaf potrzebuje na to prawie 11 sekund (przy zasięgu ok. 200 km), podobnie jak ford focus electric.

Jednak osiągi to nie wszystko. Klientela marki BMW przyzwyczajona jest do drapieżnego designu swoich gablot. Do rekiniastej, długiej maski, ciemnych lakierów i czarnych szyb – tymczasem i3 zdecydowanie przypomina zabawkę. To z wyglądu auto bardziej francuskie, jasno przeszklone, z fikuśną deską rozdzielczą i frywolnymi przetłoczeniami na burtach, krótkim przodem i okrągłą rufą, dla którego trzeba będzie chyba poszukać całkiem nowego klienta. To wątpliwość numer jeden; dwa – z ceną zaczynającą się od ok. 140 tys. zł to samochód bardziej dla córki biznesmena, która właśnie zrobiła prawo jazdy, niż dla przeciętnego mieszkańca miast. Na przykład dla mnie, choćbym nie wiem jak liczył, bmw i3 jest zdecydowanie za drogie. Mam prawo jazdy kategorii C, N, A+Ż i ze 2 miliony kilometrów na rozkładzie, ale ekologiczne żądze mieszczucha zaspokajam z użyciem hulajnogi. Więc gdzie tu rewolucja, skoro potrzeba do niej wojsk?

Zielone paradoksy

Obwieszczając motoryzacyjną rewolucję, prezes BMW przemilczał kilka kwestii. Na przykład taką, że pierwsze

elektryczne pojazdy powstały w głębokim XIX wieku, zanim jeszcze Nicolaus August Otto wynalazł w roku 1876 silnik benzynowy. Magiczną granicę 100 km/h także jako pierwszy pokonał pojazd elektryczny, który zresztą można zobaczyć w muzeum motoryzacji w Compiègne (Francja). Nosi imię La Jamais Contente (Wiecznie niezadowolona), kształtem zaś przypomina dwustronnie zaostrzony czopek. Rekord padł na przełomie kwietnia i maja 1899 r., a jego autorem był nieustraszony belgijski kierowca Camille Jenatton, który osiągnął w owej rakiecie 106 km/h. I wypadałoby w tym miejscu dodać, że prapoczątki firmy BMW datują się dopiero 17 lat później, a jej pierwszym obszarem zainteresowań wcale nie była motoryzacja, tylko lotnictwo.

To jednak detale. Ważniejsza jest odpowiedź na pytanie: czy elektryczne samochody faktycznie są eko, bo w końcu to jest tutaj najważniejsze. Otóż na polskiej stronie „Deutsche Welle” w artykule Ulricha Klause i Andrzeja Pawlaka znalazłem raport z konferencji naukowej na ten temat, zorganizowanej w zeszłym roku w Stuttgarcie przez redakcję cenionego pisma motoryzacyjnego „Auto Motor und Sport”. Według dziennikarzy debata z udziałem 300 specjalistów zakończyła się zdumiewającą konkluzją. „Samochody elektryczne w obecnym stadium ich rozwoju wykazują gorszy bilans ekologiczny niż samochody z silnikami spalinowymi i wydają w ogólnym rachunku, uwzględniającym metody ich produkcji, więcej niż one dwutlenku węgla”, miał stwierdzić Wolfgang Lohbeck, ekspert organizacji Greenpeace. Jego zdaniem „przyszłość motoryzacji w najbliższych kilkunastu latach należy do małodrożowych aut z doładowaniem, bo to jest najlepsza metoda zmniejszenia zużycia ropy naftowej na Ziemi”.

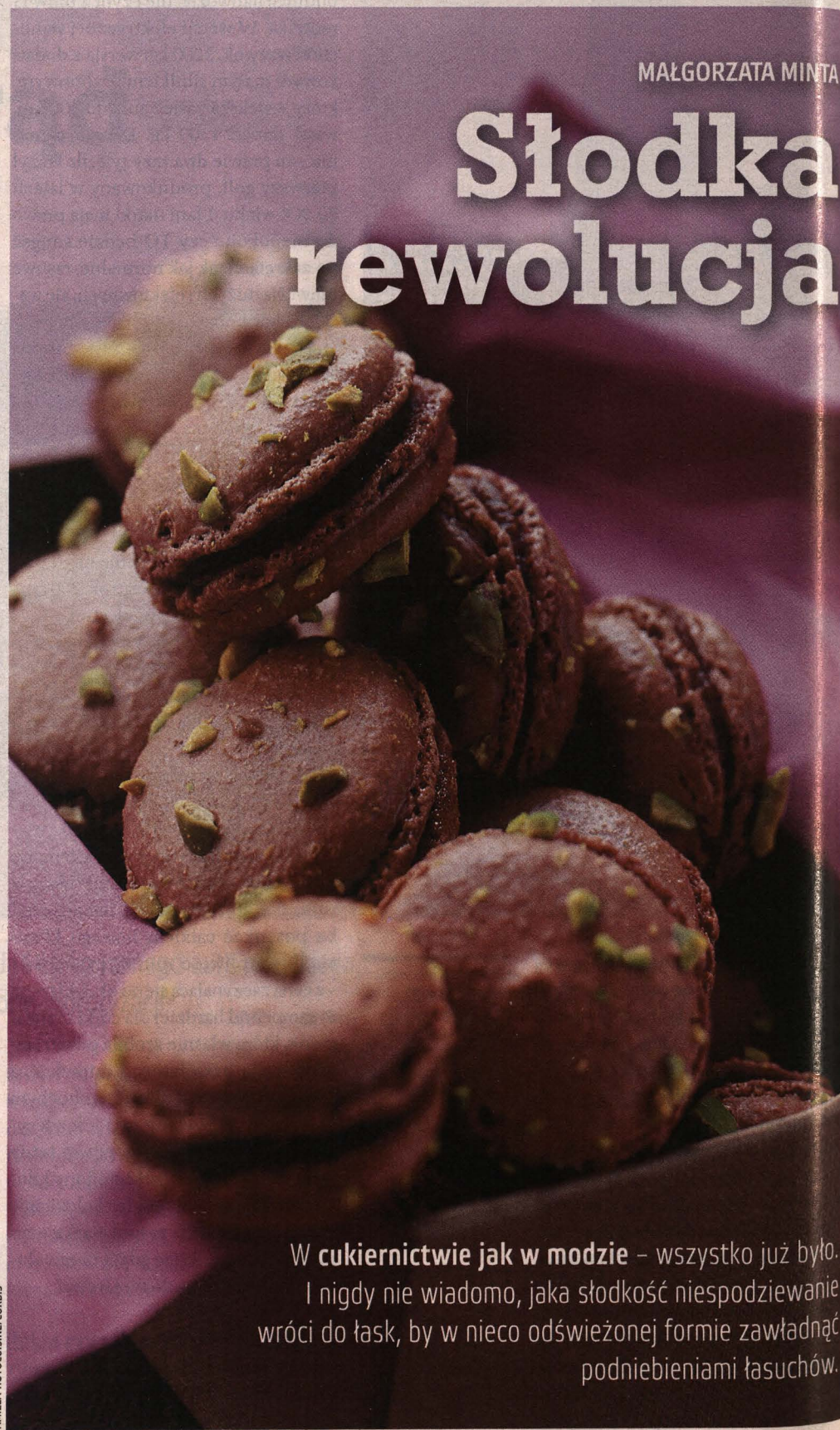
Szczegółowych liczb porównujących w projekcji ekologicznej cały żywot auta spalinowego oraz elektrycznego w artykule zabrakło. A szkoda, bo liczby są znacznie bardziej zrównoważone niż nawet największe słowa. ☐

Niektórzy zwiedzają Paryż tropem muzeów, inni butików słynnych projektantów. A jeszcze inni cukierni. Ladurée, Lenôtre czy Pierre Hermé przyciągają tłumy klientów spragnionych kolorowych makaroników, lukrowanych religieuse, czyli łakoci z ciasta ptysiowego w kształcie bałwanka czy mille-feuille z delikatnym kremem.

– Nie ma czegoś takiego jak „nowoczesne cukiernictwo”. Nie ma nic nowego – mówi Didier Averty, profesor prestiżowej szkoły kulinarnej Ecole Gregoire Ferrandi. Averty wcześniej pracował jako szef cukierników paryskiego hotelu Ritz oraz w cukierni Dalloyau, w której opracowano słynne ciasto Opéra. Nawiasem mówiąc, w lipcu Didier Averty przyjechał do Polski na zaproszenie właścicieli warszawskiej cukierni Lukullus Alberta Judyckiego i Jacka Malarskiego. Przez dwa tygodnie wspólnie dopracowywali bazowe receptury, np. na krem masłany, ciasto na croissanty czy bezę. Efekty pracy z mistrzem są już do spróbowania w Lukullusie. Jak twierdzi Averty: – Wiemy wszystko, znamy receptury. Na ciasta, na kremy – tu nic się nie zmienia. To, co jest nowe, to forma. Jest nawet na to nazwa – revisitée, czyli „ponownie odwiedzony”.

Niejadalny niebieski?

Co kryje się pod modnym hasłem? Didier wyjaśnia mi to na przykładzie klasycznego ciastka o ponadstuletniej historii – Paris-Brest. Powstało ono dla uczczenia wyścigu kolarskiego, odbywającego się na trasie z Paryża do Brestu. Nawiązując do rowerów, ciastku nadano kształt obwarzanka z ciasta ptysiowego, które wypełnia słodki, karmelowy krem. W wersji revisitée ciastko będzie miało zupełnie inny kształt, np. składać się będzie z połączonych, ułożonych w rzędu kulek z ciasta ptysiowego, a karmel w półpłynnej postaci może zostać ukryty w kremie. Z kolei tartę cytrynową można zaprezentować w formie tabliczki kruchego ciasta, pokrytej warstwą cytrynowego kremu. Mille-feuille, czyli kremówkę z francu-



MAŁGORZATA MINTA

Słodka rewolucja

W cukiernictwie jak w modzie – wszystko już było. I nigdy nie wiadomo, jaka słodkość niespodziewanie wróci do łask, by w nieco odświeżonej formie zawładnąć podniebieniami łasuchów.

skiego ciasta – ustawić na boku, by płatki ciasta znajdowały się prostopadle do płaszczyzny talerza, a klasyczne ptysie mogą zyskać kruszonkę. Odnawienie może się też przejawiać w kolorach. – Klasycznie w cukiernictwie nie używa się ostrych, jaskrawych kolorów, bo są uważane za „mało jadalne”. Jednym z takich kolorów jest np. niebieski. Ale przecież można go użyć – dodaje Averty.

Ptysie na fali

Nawet Francji nie omijają mody, np. na cieszące się też wielką popularnością w Polsce, odległe od francuskiej klasyki amerykańskie muffiny i cupcakes. Co będzie następne? – Tego nie da się przewidzieć – mówi francuski mistrz cukiernictwa. Jako przykład podaje makaroniki. – To stare, klasyczne ciastko. Dlaczego nagle stało się tak popularne i zapanowało na nie moda, także w Stanach czy Japonii? Nikt nie wie. Teraz przeżywamy boom na pâte à choux (wyroby z ciasta ptysiowego, np. ptysie, eklerki – przyp. red.), w Paryżu masz nawet cukiernie sprzedające wyłącznie takie ciastka. Jedną z nich jest niezwykle popularna L'Éclair De Génie Christophera Adama, byłego szefa cukierników w słynnej pracowni Fauchon. W cukierni sprzedawane są wyłącznie eklerki w kilkunastu różnych smakach, np. o smaku zielonego jabłka, z yuzu i cytryną, z solonym karmelem czy waniliowe z orzechami pekan (drugim oferowanym smakołykiem są firmowe czekoladki). Ustawiają się po nie kolejki chętnych. – Z kolei Popelini sprzedaje wyłącznie miniaturowe ptysie. Teraz te eklerki i ptysie są na fali. Ale za 10 lat znikną – mówi.

Zapytany o cukiernię, do której powinien się udać każdy smakosz, podpowiada Pierre'a Hermé. – To prawdziwy cukiernik, ma ogromną wiedzę, ale też potrafi w świetny sposób łączyć smaki, tworząc intrygujące kombinacje. Jedną z nich jest połączenie malin, czerwonej papryki i parmezanu. To jedno z ciekawszych zestawień smaków w deserach, jakich próbowałem – mówi Averty.

L'Éclair De Génie
www.leclairdegenie.com

Ladurée
www.laduree.com

Pierre Hermé
www.pierreherme.com

La Pâtisserie des Rêves
www.lapatisserie-des-reves.com



Amatorzy oryginalnych połączeń kulinarnych znajdują też u Hermé makaroniki o smaku foie gras oraz oliwy. – Do cukiernictwa także dotarło to, co do kuchni, czyli fuzje smaków z różnych stron świata, mieszanie ze sobą składników o różnym pochodzeniu. A to właśnie smak liczy się przecież najbardziej.

Ambitni, a uzdolnieni kulinarnie amatorzy słodkości mogą też zawsze spróbować odtworzyć przepisy cukierników w swych domach, bo – co może być zaskoczeniem – ci najwięksi zdradzają je szerszej publiczności, np. w firmowych książkach z przepisami. – Kie-

dyś, gdy opracowało się przepis, był on pilnie strzeżonym sekretem, szefowie zachowywali je dla siebie. Aż nagle pojawił się cukiernik, który zdecydował się robić inaczej – Gaston Lenôtre. To samo robią inni, np. Pierre Hermé. Nie da się całkowicie ukryć receptury. A poza tym nawet korzystając z tego samego przepisu, i tak każdy uzyska inny efekt, bo użyje nieco innych składników, będzie mieszać słabiej lub mocniej, ma inną osobowość i tak dalej. Jeśli na zajęciach dam 14 studentom ten sam przepis na tartę cytrynową, otrzymam 14 różnych ciast – zaznacza cukiernik.



Autorka jest dziennikarką Wyborcza.pl, Minta Eats

WOJCIECH BOŃKOWSKI

Subiektywny ranking marketów

Gdzie najlepiej kupować wino? Podpowiadam w pierwszej edycji winnego rankingu.

W 2012 r. sprzedaż wina w Polsce wzrosła o blisko 8 proc. Ale dyskonty zanotowały aż 25-proc. wzrost sprzedaży. Coraz więcej win kupujemy w sklepach wielkopowierzchniowych. Przyczyn jest wiele. Sklepy te oferują coraz lepszy wybór win i relację ceny do jakości. Energicznie zagospodarowały kluczowy segment cenowy 10–20 zł. W specjalistycznych sklepach z winem, przy ich licznych zaletach, w tym przedziale trudno cokolwiek dostać. Niektóre sieci, szczególnie Biedronka i Lidl, z impetem wzięły się także za promocję wina, co przyniosło natychmiastowe efekty – w powszechnej świadomości kojarzą się dziś z miejscami, gdzie można dostać dobre wino w niskiej cenie.

Dyskont marketowi nierówny. Gdzie warto kupować wino? Gdzie tanie chilijskie na grilla, a gdzie ambitniejsze francuskie na romantyczną kolację? Wyjaśniam w subiektywnym rankingu winnych marketów. Powstał na podstawie wielomiesięcznych doświadczeń i setek degustowanych win.

I miejsce

– najlepszy wybór win marketowych w Polsce

LECLERC

Na tak: Pełen profesjonalizm w podejściu do wina. Bardzo szeroka oferta – kilkadziesiąt tytułów z różnych krajów, od Francji i Włoch po Bułgarię i Mołdawię. Jak przystało na francuski market, najlepiej kupować tu flaszki z kraju Moliera. Z każdego regionu – Alzacja, Bordeaux, Dolina Rodanu – mamy do wyboru kilkadziesiąt etykiet. W Leclercu nie ma

Côtes du Rhône Combes Saint-Sauveur 2010, czereśnie, porzeczki, rozmaryn, ok. 22 zł

Mineralstein Riesling 2012, jabłko, cytryna, miód, ok. 39 zł

Vallado Quadrifolia Tinto 2010, jeżyny, wiśnie, pieprz, ok. 20 zł



win ultratanich – poniżej 15 zł. Za to za 25–30 zł możemy zaszaleć. Pewniaki to białe Muscadet, alzacki Sylvaner lub Pinot Blanc, czerwone Bordeaux i Bordeaux Supérieur oraz Côtes du Rhône. Ciekawe wina z Langwedocji – Mine- rvois, Saint-Chinian, a w sezonie, czyli zimą – najlepsze Beaujolais Nouveau w Polsce.

Warto też sięgnąć po wina z Portugalii i Hiszpanii, w mniejszym stopniu Chile i Argentyny.

Na nie: Kiepska oferta z Włoch i Niemiec. Duże różnice w asortymencie pomiędzy sklepami – każdy market sieci Leclerc zaopatruje się bowiem samodzielnie. Prymusem jest Leclerc Ursynów w Warszawie, który sam importuje doskonałe pozycje z Francji.

II miejsce

MARKS & SPENCER

Na tak: Przemysłana, ciekawa oferta win z całego świata. Od razu widać,

że jest dziełem fachowców z centrali M&S w Londynie, w odróżnieniu od przypadkowej zwłaki taniocy z całego świata, jaka straszy w wielu polskich marketach. Doskonałe oznakowanie win – z kontretykiet dowiemy się krótko i konkretnie, jak wino smakuje i z czym je pić.

Najsilniejszy oręż M&S to Nowy Świat: Australia (m.in. świetne wina z Tasmanii za 29 zł), Nowa Zelandia, RPA, Argentyna. Ale też dobra Hiszpania, niemieckie rieslingi, a nawet Węgry. Dodatkową zaletą są promocje cenowe – sześć butelek (może być miks) to zniżka 15 proc., a wina miesiąca przecenione są niekiedy o 30 proc. i te zniżki się kumulują.

Na nie: Wyraźnie słabsze wina z Włoch, nie zachwyca Kalifornia. Drogie wina – w M&S nie brakuje flaszek powyżej 60 zł, ale tutaj już market przegrywa konkurencję ze sklepami specjalistycznymi



Bestheim Crémant d'Alsace, gruszka, miód, drożdże, ok. 30 zł

The Tapas Wine Collection Verdejo 2012, mango, limonka, agrest, ok. 25 zł

Finca Rosal Monastrell 2011, porzeczki, śliwki, asfalt, ok. 24 zł

sce mamy błąd cię tej oferty. Warto sięgnąć po uczciwą serię Tesco Simply za ok. 15 zł – wina z Francji, Hiszpanii i Nowego Świata – oraz droższą Tesco Finest. Drugą zaletą są promocje cenowe – obniżki nawet o 30 proc. albo formuła „2 w cenie 1”. Są pijalne wina po 10 zł (seria Ogio).

Na nie: Większość win poza importem własnym Tesco jest słaba. Fatalne są Włochy, Węgry, Bułgaria. Sprawdzaj na kontretykietach, czy importerem jest Tesco.

CARREFOUR

Na tak: Niewiele. Jesienią zdarza się wysyp Bordeaux w dobrych promocjach cenowych. Generalnie trzymać się Francji, sprawdzać na kontretykietach, czy importerem jest Carrefour.

Na nie: Praktycznie cała reszta. Nudna oferta „wiodących marek” ze wszystkich krajów świata.

AUCHAN

Na tak: Tak jak w Carrefourze, głównie Francja. Ciekawa Langwedocja i Rodan w cenie 20–30 zł.

Na nie: Przeterminowane białe i różowe z roczników 2008–2010. Unikać najtańszych win. Kraje inne niż Francja to przypadkowa sieczka.

ALMA

Na tak: Wina z własnego importu – Włochy, Hiszpania, Francja. Seria Oucitan z Langwedocji (25 zł) to jeden z ciekawszych marketowych zakupów. W sklepach są ekrany dotykowe, które w minutę pomogą dobrać wino do obiadu. Gadżet, ale zmyślny.

Na nie: Wysokie ceny pozostałych win. Alma kupuje je od polskich importerów (czyli w cenie są dwie marże), jest ich za dużo i trudno się połapać. Zapowiadane są zmiany na lepsze.

PIOTR I PAWEŁ

Na tak: Własny import z Hiszpanii – np. fajne wina z serii The Tapas Wine Collection (25 zł).

Na nie: Wysokie ceny pozostałych win. P&P kupuje je od polskich importerów (dwie marże) i stawia na półki tysiące win od Szwajcarii po Chiny. Po co?

III miejsce

BIEDRONKA

Na tak: Relacja jakość/cena. Biedronka stawia na wina bardzo tanie – średnia cena to ok. 15 zł. I często trafiają się wina zaskakująco dobre, niekiedy nawet te po 9,99 zł (wartość produktu to w takiej flaszce mniej niż 4 zł). Oczywiście to wina prościutkie, ale dadzą się wypić.

Warto kupować zwłaszcza wina portugalskie – to ojczyzna tego dyskontu, tam ma dostęp do najlepszych okazji. Nieźle wypadają Hiszpania i Francja. Oferta zmienia się co dwa miesiące, jednorazowo dostępnych jest tylko ok. 30 etykiet – to zaleta, jeśli jesteśmy ciekawi nowości, i wada, jeśli przyzwyczajamy się do ulubionego wina.

Na nie: Włochy – generalnie kiepskie. Nie warto kupować flaszek powyżej 25 zł – nie umyją się do win z małych sklepów. Opisy win w gazetce roją się od komunałów i głupstw, wartość praktyczna bliska zeru.

Wyróżnienie

LIDL

Na tak: Ambicje. Jesienna oferta win francuskich z kampanią reklamową Pascal – Okrasa obiecała lepsze jutro. Od tej pory niewiele się zmieniło (ale ma się zmienić). Sporo dobrych Bordeaux, Côtes du Rhône, Rioja po 15–50 zł, wyłożonych w niby-drewnianych skrzynkach.

Na nie: Wina poniżej 15 zł – przemysłówki butelkowane w Niemczech (sprawdzać na kontretykietach), zwłaszcza Nowy Świat. Włochy bardzo przeciętne. Nie ma nic z Portugalii.

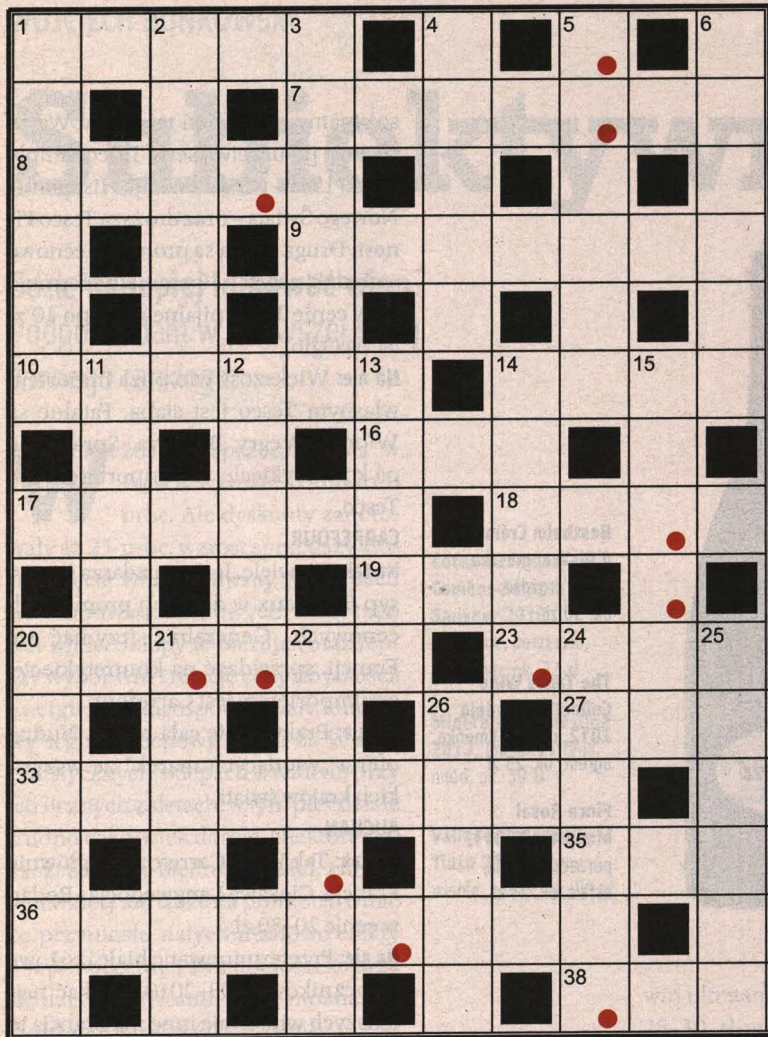
Pozostałe markety

TESCO

Na tak: Tesco mogłoby być potęgą. Jest nią w Anglii, gdzie wina selekcionowane przez zespół pod wodzą master of wine Laury Jewell zdobywają wszelkie możliwe medale w konkursach. W Pol-

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.

PRZYGOTOWUJE:
ZESPÓŁ KALIBER 45



RYT. MAREK RACZKOWSKI/ARCHIWUM „PRZEKRÓJ”

POZIOMO:

- | | | |
|---------------------------------|------------------------------------|----------------------|
| 1. CHŁOPAK MARCA | 18. KIOSK, KTÓRY NIE POWINIEN STAĆ | 33. II POŁ. XX WIEKU |
| 7. WYKUTY NA PAMIĘĆ | 19. NIECH JEGO MOC BĘDZIE Z TOBĄ | 34. CZYSTA ŻYWA |
| 8. W STAREJ PIERSI SIĘ SŁYSZAŁO | 20. PASKI Z ZIEMNIA-KÓW | 35. GDZIE PRZYDROŻNY |
| 9. LESSIE, ZWRÓĆ | 23. SARMATA DO BRATA | CHRYSZTUS STAŁ |
| 10. MAŻ CHŁOPÓW | 27. MA MĘŻA I ŻONĘ | 36. KOŁOBRZEG |
| 14. ZAMYKA ZAMEK | | 37. TO NIE JA BYŁAM |
| 16. MOCNY W RĘKACH | | EWA |
| 17. PRZY NADZIEI | | 38. KOCIA ŁAPA ŁAPĘ |
| | | MYJE |

PIONOWO:

- | | | |
|--|---|----------------------------------|
| 1. ZAINSPIROWAŁ GEORGE'A LUCASA DO NAKRĘCENIA „GWIEZDNYCH WOJEN” | 6. WODY JEJ ODESZŁY | 22. NA ŻARTY CZŁOWIEK |
| 2. SŁOWO DŹWIĘCZNE I NIEWDZIĘCZNE | 11. PODRÓŻ ŚWIATA DOOKOŁA | 24. NA GŁÓWKĘ DO BASENU |
| 3. WINO Z RANA | 12. GLUPI, AŻ SIĘ KURZY | 25. FILOZOFIA NICZEGO |
| 4. PADA NIEDALEKO OD GRUSZKI | 13. TYNFA WARTA | 26. SZEWSKA PASJA |
| 5. ZNAK SZCZEGÓLNY | 14. DROGA DO BOGA | 28. CZYTA OD PRAWEJ DO LEWEJ |
| | 15. MŁODY ZDROWY | 29. STARŁA SIĘ Z TRUDNYM TEMATEM |
| | 20. Z GÓRY PAZURY | 30. POD DACHAMI PARYŻA |
| | 21. POZWALA CIESZYĆ SIĘ CUDZYM SZCZĘŚCIEM | 31. DZWONNICZEK UCZNIA |
| | | 32. CZUJESZ W KOŚCIACH |

Nagrodą w tym tygodniu jest książka „GO Żagle. Trening z instruktorem na filmie DVD” autor Steve Sleight, wyd. Global PWN

Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiązania należy przesłać NA KARTCE POCZTOWEJ na adres: GREMI MEDIA sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 32/33”.

Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 25 sierpnia 2013 r. (decyduje data stempla pocztowego).

GREMI MEDIA Sp. z o.o. jest organizatorem konkursu z nagrodami rzeczowymi. Aby wziąć w nim udział, należy w trakcie trwania konkursu prawidłowo rozwiązać krzyżówkę publikowaną w tygodniku „Przekrój”. Rozwiązanie krzyżówki należy przesłać na kartce pocztowej na adres redakcji. Zwycięzcy zostaną wyłonieni po zakończeniu konkursu w drodze losowania. W przypadku wygranej imię i nazwisko laureata oraz miejscowość jego zamieszkania zostaną opublikowane w tygodniku „Przekrój”. Udział w konkursie i przesłanie kartki pocztowej z rozwiązaniem krzyżówki są jednoznaczne z wyrażeniem zgody na przetwarzanie danych osobowych. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom.

LAUREACI Z NR. 29

Marcin Nowak, Opole; Małgorzata Gajska-Balcerek, Zielona Góra; M. i R. Jaroszek, Szczecin; Karolina Czepiżak, Gubin; Janina Oldakowska, Szczecin; Anna Kostecka, Wrocław; Danuta Kiepińska, Toruń; Józef Kamiński, Bydgoszcz; Marzanna Zagórska, Dzierżoniów; Tadeusz Dulowski, Trzebinia

ROZWIĄZANIE Z NR. 30
KRZYŻÓWKA: STRACONA SZANSA

POZIOMO: 1. DWIE SZÓSTKI Z MATEMATYKI – TUZIN 7. TAKA GRA – AKTORKA 8. KARETĄ PO PIENIĄDZE – POKER 9. BIAŁOGŁOWA – CZASZKA 10. ATAK RAKIETOWY – SMECZ 13. W GÓRĘ SZELKI – HOSSA 17. JEGO ZDANIE TO TWOJE ZDANIE – EGZAMINATOR 18. OFICJALNA WPADKA – WIZYTA 21. POZYCJA DO TRZEPANIA – ZWIS 25. ODBIERA DZIECKO MATCE – AKUSZER 31. TEMPO WALCA – POWOLNOŚĆ 32. ŚNIEGIEM W OCZY PRÓSZY – ZAWIEJĄ 33. KLECHDA BIUROWA – PODANIE 34. SYTUACJA Z WYJŚCIEM – EWAKUACJA 35. PIEPRZY Z SENSEM – KUCHARZ 36. NA ŻÓŁTYCH PAPIERACH – NOTATKA

PIONOWO: 1. NIE MA GÓR NAD MORZEM – TOPLES 2. ŁUK AMAZONKI – ZAKOLE 3. SAMOLUB – NARCZY 4. TOWARZYSZ NIEBEZPIECZNYCH WYPRAW – STRACH 5. MÓWKA FARAONA – FRAZES 6. APSIKATOR – TABAKA 11. DO ZUPPY – MAGGI 12. W ZŁOŚCI ZOSTAŁY RZUCONE – CZARY 14. SKIBOL – ORACZ 15. NIE MA N W SŁOWNIKU – SŁOWIK 16. MAKOWA PANIENKA – FIGA 18. WYSZEDŁ Z FORMY – WYPIEK 19. MACHA SKRZYDŁEM – ZAWIAS 20. LEŻY PRZY TORZE – TALMUD 22. SZLACHCIC NA ZAGRODZIE MÓWI WOJEWODZIE – WAĆPAN 23. W ZWIĄZKU Z HILARYM I SZUKANIEM – SURDUT 24. RZUCONE NA POŻARCIE – KOŚCI 26. NAJWYŻSZY W NIEBIE – ZENIT 27. KRESKA NIEBIESKA – RZĘKA 28. GRUSZKI NA WIERZBIE – OWOCE 29. DRZYZGA W MAŁYM PALCU – TEMAT 30. DWIE KRESKI – PAUZA

W wakacje czytaj
BEZ OGRANICZEŃ



DARMOWE WI-FI

W WYBRANYCH PLACÓWKACH POCZTOWYCH

CZYTAJ Z NAMI
E-WYDANIA GAZET!



Bloomberg
Businessweek



PRZE
KRÓJ

MAGAZYN
SUKCES

UWAŻAM RZE
HISTORIA

W czasie wakacji przyjdź na pocztę* i:

- skorzystaj z bezpłatnego dostępu do Internetu
- czytaj bez ograniczeń e-czasopisma („Rzeczpospolita”, „Bloomberg Businessweek Polska”, „Sukces”, „Przekrój”, „Uważam Rze Historia”)
- wypróbuj tablet firmy Samsung – jeżeli chcesz go kupić, wystarczy złożyć zamówienie we wskazanej placówce pocztowej*



*dotyczy wybranych placówek pocztowych w lipcu i sierpniu 2013 r.

Partnerzy akcji:



ROZMAITOŚCI

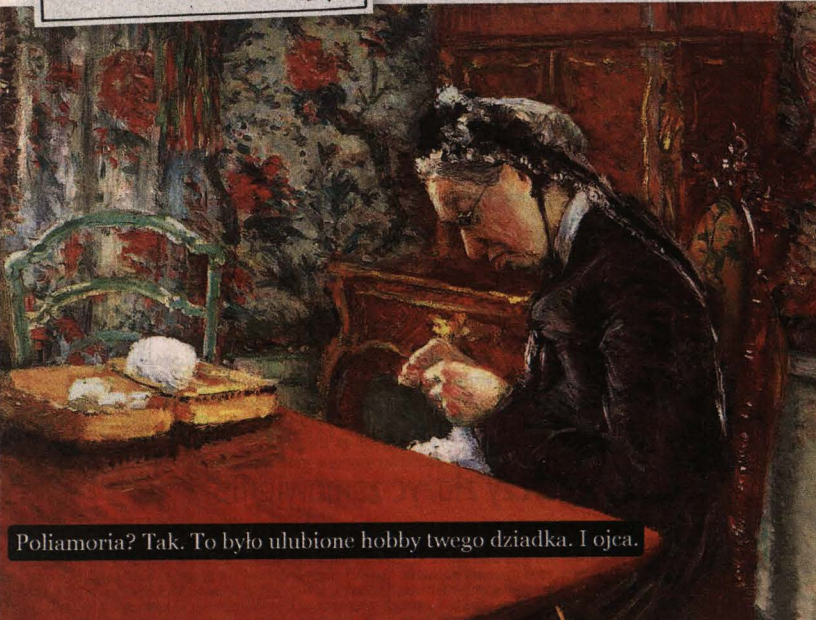
FILUTER



Marek Raczkowski



Można organizować, kierować, planować z góry każdą godzinę, a wciąż jest bałagan. Truman Capote



Poliamoria? Tak. To było ulubione hobby twego dziadka. I ojca.



Kociak tygodnia: Kornelia Strzelecka. Jeździ po świecie i jak wino czeka na starość, bo ponoć jest lepsza. Fot. Sonia Szóstak

Sztuczne Fiolki (Gustave Caillebotte)

Wierzę w to, że filantropia nie powinna być tylko chwilową metodą na poprawienie sobie samopoczucia, lecz długotrwałą inwestycją w ludzi i w stałą zmianę ich życia.

Sukces to rzecz osobista. Dowiedz się, czym tak naprawdę jest dla Dominiki Kulczyk-Lubomirskiej

NOWY NUMER W SPRZEDAŻY
Czytaj m.in.:

Polskie polo
- sport nie tylko dla elit

Prof. Piotr Moncarz
nasz człowiek w Dolinie Krzemowej

Tajemnice kabały
czerwona nitka, którą nosi pół świata.



SUKCES. MAGAZYN LUDZI WYJĄTKOWYCH

www.sukcesmagazyn.pl



**verva street
racing**
EDYCJA SPECJALNA



21.09.2013
STADION NARODOWY, WARSZAWA

www.ornlen.pl/topgearlive

Bilety do nabycia na eBilet.pl

Patroni
medialni:



Partnerzy:



Sponsor:

